

Ann Rettman

Dama nigdy się nie dziwi

Na parapet okna, jak co rano, przyfrunął gołąb. Dorota poznała go po ciemniejszym, sino-popielatym pasku między skrzydłami. Jak zwykle wysypała mu okruszki ze śniadania. Dziobał niespiesznie, bez strachu przybliżając się do jej dłoni. Patrzyła na niego ze wzruszeniem; przypominał jej inne ptaki – jakże liczne – w tamtym ogrodzie, który należał do dawnego życia. Tak różnego od obecnego, że wydawało się snem...

Jasny pałac z rzędem wysokich okien, w których purpurowe błyski zapalało popołudniowe słońce, taras ze schodami prowadzącymi do rozległego parku, dalej staw, na którym żyła królewska para łabędzi. Rano na gałęzi wielkiego kasztana, zagładającej do jej sypialni, odbywał się ptasi sejm, czasami tak głośny, że przykrywanie głowy poduszką nie na wiele się zdało. Zresztą kto by tam spał, gdy rosa tak cudownie perliła się na trawie, a w stajni jej ukochana klacz, Gama, już postukiwała kopytami, czekając na poranną przejażdżkę; Wakacje...

Dziewczyna podniosła wzrok, ogarniając panoramę dachów, nad którymi przez opalizujące opary miasta wznosiło się czerwone słońce. Widziała rzadki las dachów – czerwonych, popielatych, z czarnymi plamami koło kominów. Ze swojej mansardy, na czwartym piętrze niegdyś eleganckiej kamienicy, miała daleki widok na miasto.

To była chyba jedyna dobra strona jej obecnego położenia.

Z głębi pokoju dobiegł ją stłumiony kaszel i serce jej ścisnął znany lęk – ojciec znowu miał ciężką noc. Trzeba będzie poprosić doktora Feldmanna, aby go osłuchał i zapisał nowe leki. Pieniądze za sprzedaną broszkę po babci już się rozeszły, więc trzeba będzie sięgnąć po następny klejnocik, żeby zapłacić honorarium, wykupić receptę. Co prawda, stary doktor, patrząc na nią współczująco, nieraz dawał do zrozumienia, że gotów jest poczekać na zapłatę albo nawet z niej zrezygnować, ale duma nie pozwalała jej przyjąć tej pomocy. Jak długo będzie miała pracę i tę resztkę klejnotów po matce, nie będzie zebrać o wsparcie. Nie ona, hrabianka von Belenburg, która teraz pracuje w sklepie jubilerskim jako zwyczajna sprzedawczyni. Pewnie, że sklep jest

elegancki a klientela zamożna, ale ona została wychowana na osobę, która zjawia się tam po przeciwnej stronie lady niż to, które zajmowała obecnie. Przez osiem godzin dziennie, z krótką przerwą na posiłek południowy.

I tale miała szczęście, że dostała to miejsce. Zawdzięczała je pierwszym klejnotom po matce, które zaczęła sprzedawać za pośrednictwem pana Bergera. Jubiler uczciwie oszacował wartość jej biżuterii, wziął umiarkowaną prowizję i – chyba podczas ich trzeciego spotkania – zaproponował jej pracę. Ponieważ znał się na ludziach (w jego zawodzie taka wiedza jest kluczem do powodzenia), więc swoją propozycję ubrał w tak taktowne słowa, że zdawać by się mogło, iż panna Dorota Belenburg wyświadcza mu wielką grzeczność, zgadzając się codziennie stawać za dyskretnie podświetloną gablotą z pierścionkami, bransoletami, wisiorkami i całą tą jubilerską galanterią (prawdziwe precjoza spoczywały bezpiecznie w sejfie) i służyć radą bogatej i wytwornej klienteli. Innej pan Berger, oczywiście, nie miał.

Właśnie zbliżał się czas wyjścia z domu. Dorota już posprzątała po śniadaniu, które przygotowała w mikroskopijnej kuchence koło wejścia. Zostawiła ojcu na palniku przygotowany wczoraj rosół z kawałkiem mięsa, myśląc melancholijnie, że gotowanie jest umiejętnością, której – niestety – nie uczono na pensji w Szwajcarii. Stąd zapewne tych kilka potraw, które na zmianę przygotowywała, nie różniło się szczególnie od siebie smakiem, za to bardzo różniło się atrakcyjnością od cudownie pachnących i wspaniale wyglądających dań, które dostarczano z pałacowej kuchni.

Z uśmiechem przeszła do sąsiedniego pokoiku, gdzie jej ojciec zasiadł już w fotelu, ustawionym przy oknie. Widział stąd spory szmat nieba nad miastem; pod ręką, na małym stoliczku, miał tom mów Cycerona, który dzielił z nim to smutne odosobnienie.

– Pa, tatusiu, muszę już iść – powiedziała serdecznie, ale jej oczy z troską wypatrywały oznak choroby. – Dobrze się czujesz?

– Doskonale – oznajmił pan Herman Belenburg, siląc się na dziarski i żartobliwy ton. – Już niedługo stanę całkiem na nogi,

rozejrzę się za jakimś zajęciem, a wtedy ty będziesz mogła sobie odpocząć.

Widział, oczywiście, troskę w oczach córki i starał się ją uspokoić. Bolało go, że zamiast otaczać ją opieką w tak trudnych chwilach, kiedy niedawno skończyła się żałoba po jej matce, a jego żonie – niezapomnianej, cudownej kobiecie – sam wymaga opieki, bowiem astma i choroba stawów unieruchomiły go w fotelu. Dla tego dzielnego, czynnego mężczyzny była to tragedia, którą chował głęboko przed córką, żeby nie pogłębiać jej smutku.

Tak to udawali oboje przed sobą że jest lepiej niż było, a było kiepsko, ponieważ, jak powiedział doktor Feldmann, poprawę mogła przynieść tylko solidna, długotrwała kuracja w Szwajcarii lub w którymś z uzdrowisk na południu. Klimat Wiednia choremu nie służył.

Na wyjazd zaś brakowało pieniędzy. Starszy pan stanowczo nie zgodził się, aby sprzedać na ten cel resztę rodzinnej biżuterii; chciał zostawić córce po swojej śmierci – której się niedługo spodziewał, a nawet jej wyglądał – jakieś zabezpieczenie na czarną godzinę.

Myślał czasem, czyby nie przyspieszyć swego odejścia, ale ucieczkę przed cierpieniem uważał za niehonorowe wyjście, a poza tym widział, że jest dla córki moralnym wsparciem i ostoją i gdyby jego jeszcze teraz zabrakło, mogłaby się załamać. I tak wyglądała już krucho i delikatnie, choć ciężkie warunki ich obecnego bytowania w niczym nie ujęły jej \ urody. Jej świetliste, w odcieniu dojrzałego zboża, włosy gęstą chmurą okalały jej twarz, w której zwracały uwagę duże, trochę jakby zdziwione szaroniebieskie oczy. Lekko zadarty nosek przydawał jej wdzięku, a pięknie wykrojone, łagodne w wyrazie usta – słodczy.

Wiedział, że jest inteligentna i ciekawa świata. Konwencjonalne wychowanie, obowiązkowe dla panienki z jej sfery, uzupełniały dzięki zachęcie rodziców poważne lektury, solidne zainteresowanie historią sztuki, szczególnie malarstwa i niebanalny gust – muzyczny. Byłaby wspaniałą panią domu, ozdobą najelegantszych salonów, godną partnerką i żoną dla

światłego mężczyzny z najwyższych nawet kręgów towarzyskich, gdyby...

Właśnie, gdyby on sam, dobrowolnie, nie skazał się na banicję z tych sfer po utracie majątku. Najpierw nadszarpnęły go dostawy dla armii, za które dostał bezwartościowe – jak się okazało – asygnaty z Banku Drzewnego. Potem zgodził się na obciążenie hipoteki swych nieruchomości, aby poręczyć za przyjaciela, gdy temu zagroziło bankructwo. Choć prowadził z nim wspólne interesy, mógł się ratować, uchylić od odpowiedzialności, powiedzieć – zgodnie z prawdą – że o niczym nie wiedział. Ale jego przyjaciel nie był aferzystą i oszustem. Popełnił błąd; taki błąd mógł się zdarzyć i jemu; dlatego wspólnie z nim przyjął na siebie odpowiedzialność finansową. Wartość jego majątku, który poszedł na licytację, została drastycznie obniżona przez przejmujący go bank. Wiedział, w czym imieniu działał, choć ugrzecznieni urzędnicy stanowczo odmawiali jakichkolwiek informacji. Ten bezwzględny wierzyciel, który pozbawił jego rodzinę majątku i zajmowanego od kilku pokoleń domu, był kiedyś jego rywalem. Nieszczęśliwym rywalem. To nie jego wybrała piękna Anna-Luiza, choć wytrwale starał się ojej rękę. Wybrała młodego kapitana Belenburga i nigdy nie żałowała tego wyboru.

Dlatego on sam teraz, w tym trudnym zaiste położeniu, nie potrafił nienawidzić barona von Ludova. Myśląc o nim, nawet czasem uśmiechał się pod wąsem mruczając do siebie: – Mimo wszystko nie zamieniłbym się z nim.

Świadomość, że nie jest ofiarą własnej nieudolności, a jedynie ponosi konsekwencje własnego pojmowania wymogów honoru i doświadcza skutków zemsty rywala za utratę najwspanialszej kobiety pod słońcem, pomagała mu znosić ciąg jednostajnych dni, kiedy to czekał na powrót córki, obserwując niebo za oknem i przypominając sobie Cyncerona. Nie wierzył w żadną poprawę swego zdrowia; powierzył swój los Bogu i ze spokojem oczekiwał na to, co nieuchronne.

Dorota pocałowała ojca w czoło, rejestrując mimo woli, że

chyba ma podwyższoną temperaturę. On uśmiechnął się do niej i poklepał ją po ręce, opartej na poręczy fotela.

– Dobrego dnia, córeczko. Życzę ci kilku szejków arabskich, którzy przyjadą kupować nowe komplety biżuterii dla swoich haremów.

Wiedział, że dziewczyna dostawała niewielką gratyfikację za szczególnie korzystne transakcje, które pan Berger zawdzięczał jej staraniom.

– Dziękuję, tатku. Żal mi, że musisz tu tak samotnie siedzieć...

– Nie martw się, jestem sam ze swoimi wspomnieniami, a to dla mnie najlepsze towarzystwo. No, idź już, bo się spóźnisz – zakończył, bo nie lubił patrzeć, jak oczy córki robią się szkliste od powstrzymywanych łez.

Dorota wyszła na korytarz, wycierając oczy wierzchem dłoni. Wstydziała się tych „rozczułań”, ale czasem nie potrafiła zapanować nad skurczem żalu, który zaciskał jej gardło. Podniosła głowę, potrząsnęła włosami i przywołała wszystkie pocieszenia, które pomagały jej znosić takie chwile: że są tutaj z własnego wyboru, bo nie chcieli żyć na łasce krewnych, którzy przecież zaoferowali im gościnę. Że ona sama pracuje przez osiem godzin dziennie, a nie jest do dyspozycji od rana do wieczora jako uboga krewna, zobowiązana do pomocy pani domu i do bycia „pod ręką”.. Dzięki temu, że wspomaga ojca i utrzymuje ich skromne gospodarstwo, ma poczucie, że jest coś warta i potrzebna. To sto razy lepsze niż łaskawy chleb u ciotki Herminy, która nie ukrywała, że spodziewa się mieć wpływ na decydowanie o losie ich obojga, a zwłaszcza pięknej i utalentowanej córki „drogiego kuzyna”.

No, teraz już mogła się uśmiechnąć na myśl, co powiedziałaaby droga cioteczka, widząc ją schodzącą – samą! – przez ciemną klatkę schodową tej kamienicy, która swoje dobre czasy miała już dawno za sobą. Chociaż kto wie? Jedną z zasad starszej pani, które chętnie wpajała córce kuzyna, była maksyma: „Dama nigdy się nie dziwi”. Podkreślała też stanowczo, że damę tworzy stan ducha, umysłu i charakteru, a nie okoliczności zewnętrzne,

zwłaszcza – tu ciocia Hermina z lekką odrazą marszczyła nos – finansowe.

Tylko że szanowna cioteczka nigdy nie musiała się martwić o pieniądze. Ona je po prostu miała.

Dorota uśmiechnęła się na wspomnienie tej stanowczej w sądach niewiasty, którą cała rodzina traktowała z należyтым respektem, i ruszyła po schodach. Kiedy znalazła się na podeście trzeciego piętra, usłyszała zza prawych drzwi czysty kobiecy sopran, wyśpiewujący z determinacją:

*Artystki, artystki, artystki z variété
Nie biorą miłości zbyt tragiicznie...*

Obce jej były zarówno słowa, jak i melodia. Na lekcjach śpiewu u panny Mondini uczono ją pieśni o uczuciach solennych, „na wieki” albo o romantycznych pejzażach „gdzie cytryna dojrzewa”. Ale było coś w tej beztroskiej arii, a może w głosie śpiewaczki, że uśmiech pozostał na twarzy dziewczyny, gdy okrążyła zakręt schodów, by zejść niżej. Jeszcze tylko zza drugich drzwi wionął za nią zapach czegoś pysznego do zjedzenia, zapach, który przypominał jej śniadania z tych, tak przecież niedawnych czasów, w pałacowej jadalni, gdzie siwy i godny lokaj dyrygował podawaniem do stołu... Znów potrząsnęła głową, żeby odpędzić wspomnienia i wrócić do rzeczywistości.

Na ulicy ogarnął ją ruch dużego miasta rozpoczynającego nowy dzień. Słońce drżało w liściach platanów, dozorczyńni energicznie zamiatała ulicę, pan Herman, piekarz, układał artystyczną kompozycję z kajzerek, rogali i chlebów na wystawie, a sprzedawca z pobliskiej trafiki, jak co dzień, posłał jej przez szybę uśmiech połączony z grzecznym ukłonem. Był Francuzem i ostentacyjnie podkreślał, że umie docenić kobiecą urodę i być szarmancki wobec damy. Bo nie wątpił, że ta szczupła, skromnie, ale elegancko ubrana dziewczyna jest damą. Świadczył o tym sposób chodzenia, lekkie podniesienie głowy, dyskretny uśmiech, którym odwzajemniała jego pozdrowienia, rezerwa, z jaką

odpowiadała na jego – bardzo taktowne! – pytania, gdy czasem zaszła po coś do jego sklepu.

Z nieokreślonym uczuciem podziwu i tęsknoty odprowadził wzrokiem jej smukłą sylwetkę do rogu ulicy, dopóki nie zasłonił jej przejeżdżający tramwaj.

Dorota szła piechotą; na szczęście miała niedaleko do pracy. Ich skromne mieszkanie na mansardzie miało jednak niezły adres – była to dzielnica eleganckich sklepów, nie opodal opery. Na placu obok niej, za dyskretnymi witrynami znaleźć można było magazyny dla ludzi bogatych i obdarzonych dobrym gustem, co w tych czasach nie zawsze chodziło w parze.

Dziewczyna skręciła do jednej z solidnie wyglądających, przepastnych bram. Przed wejściem dla personelu zawahała się przez chwilę, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Rozglądnęła się. Przy wylocie bramy od strony podwórza zobaczyła mężczyznę w prochowcu i w kapeluszu nie pierwszej młodości. Spod jego runda patrzyły na nią młode i wesole oczy tak intensywnie niebieskie, że aż trudno było oderwać od nich wzrok. Uśmiechnął się przyjaźnie i uchylił kapelusza. Czyżby ją znał? – Niemożliwe. Na pewno nikt jej go nie przedstawił; zapamiętałaby to. Ten człowiek od pierwszego wejrzenia budził zaufanie. Ale ona nie może stać i patrzeć na nieznajomego, choćby wyglądał tak sympatycznie jak ten. Nieco zmieszana, wybrała szyfr otwierający drzwi i weszła do sklepu.

Tu panowała atmosfera świątyni. Bo i była to w pewnym sensie świątynia, w której pan Berger pełnił funkcję naczelnego kapłana, a Dorota z panną Irmą, drugą pracownicą, dbały o odpowiednią atmosferę. Klienci zaś za łaskę posiadania diamentowych czy szmaragdowych klejnotów płacili odpowiednie sumy; ich wysokość podawano nabożnym szeptem, by nie urazić ducha wytworności i elegancji przypomnianiem jego związków z szylingami. Tysiącami szylingów.

Pan Berger, ubrany, jak zwykle, w dyskretny, ciemny garnitur od najlepszego krawca i jedwabny krawat, zaprezentował na jej powitanie jakby szkic uśmiechu pod lekko wypomadowanym

wąsem. Oczywiście, w stosunku do Irmy Merg, zwykłej panny sklepowej, taka łaskawość byłaby zupełnie nie na miejscu, ale bądź co bądź hrabianka zasługiwała na wyjątkowe względy, zwłaszcza że była doskonałym nabytkiem. Rozmawiała swobodnie w trzech językach: po francusku, angielsku i włosku, a jej maniery i tytuł (który pan Berger jakby mimochodem, ale chętnie wymieniał) podnosiły prestiż jego firmy. I to za całkiem umiarkowaną sumę, ponieważ ta nieco naiwna i nieobyta w świecie interesów osoba przyjęła pierwszą, skromną sumę, jaką wymienił, proponując jej pracę. Teraz tylko bał się, żeby inny kupiec nie poznał się na jej wartości i nie zaproponował jej przyzwoitszych warunków. Wtedy trzeba by rozpocząć negocjacje i przypomnieć, że to on pierwszy wyciągnął do niej pomocną dłoń, kiedy znalazła się w trudnej sytuacji...

– Dzień dobry panu – pozdrowiła go grzecznie Dorota. – Czy ma pan jakieś polecenia dla mnie?

– O dwunastej mają przyjść państwo Lebrottowie obejrzeć garnitur ze szmaragdów. Proszę ich przez chwilę zająć rozmową, a potem przyprowadzić do mojego biura. Zaanonsuje mi pani ich przybycie przez naciśnięcie dzwonnka pod ladą. Zresztą, to już pani wie.

– Oczywiście. Czy coś jeszcze?

– Nie, na razie dziękuję.

Dorota podeszła do Irmy, która z zapalem polerowała szybę na podświetlonej gablocie, w której na granatowym aksamicie leżały broszki z rubinami. Pan Berger nie lubił mieszać różnych kamieni szlachetnych, stąd w sklepie były gabloty: „szmaragdowa”, „brylantowa”, „szafirowa” i tak dalej.

Irma uśmiechnęła się filuternie.

– Oho – szepnęła, gdy pryncypał majestatycznie zniknął za drzwiami swego biura – Lebrott pewnie znów wdał się w awanturkę z jakąś baletniczką i teraz kupuje dla szanownej małżonki prezent przeblągalny. Tamta też musiała dostać coś gustownego. Dzięki słabości tego bogacza do artystek jego żona może wyglądać podczas kolejnej premiery w operze jak nie

przymierzając ta gablota. – Tu Irma dyskretnie splunęła na szkło i zrobiła kilka ruchów irchową ściereczką. – Wygląda na to, że kiedy długo nie dostaje nic nowego, nudzi się i czeka na następny wyskok „kochanego mężusia”.

Dorota słuchała zakłopotana. Plotki o klientach wydawały jej się czymś w bardzo złym guście, zwłaszcza dotyczące tak... osobistej sfery życia. Zdrady, artystki („artystki z variete nie biorą miłości zbyt tragicznie”, przypomniał jej się zasłyszany rano strzęp piosenki), przymykanie oczu – o tym się nigdy nie mówiło na herbatkach u cioci Herminy! Może co nieco na ten temat można było wyczytać ukradkiem w najsurowiej zakazanych francuskich romansach, ale żeby to się zdarzało naprawdę? – Niesłychane! I trochę intrygujące... Nie, nie zwróci Irminie uwagi na niestosowność jej komentarzy. A poza tym ta dziewczyna z wesołymi dołeczkami na policzkach i poczuciem humoru łobuziaka z przedmieścia jest tu jedyną przyjazną i szczerą duszą i nie ma powodów, by zrażać ją morałami, których pewnie nie pojmie...

Dorota uśmiechnęła się więc, nie podtrzymując tematu, i poszła do pana Bergera po pęk kluczyków do gablot. Jej pracodawca był dumny ze swojego systemu zabezpieczeń przed włamaniem i kradzieżą. W dyskretnie schowanych, strategicznych punktach sklepu znajdowały się dzwonki alarmowe; każda gablota była zamykana na kluczyk. Jego sprzedawczyni dostawała codziennie jeden komplet do rąk własnych, a wieczorem musiała je osobiście oddać właścicielowi. Były chowane do wielkiego sejfu, który został wmurowany w ścianę we wnęce jego gabinetu i przysłonięty kotarą z kosztownej tkaniny. W gabinecie byli przyjmowani stali klienci lub tacy, którzy mogli nimi zostać. Ich wejście było anonsowane brzęczkiem ze sklepu, żeby pan Berger mógł zamknąć sejf – nikt nie miał szans na podpatrzenie kombinacji cyfr – a potem przybrać odpowiednio godny i przyjazny wyraz twarzy*

Tym razem ceremonia wręczania kluczy odbyła się jak zazwyczaj; kiedy dziewczyna weszła do gabinetu, już leżały na

biurku i zostały jej z namaszczeniem podane. Skinęła grzecznie głową i bez słowa wyszła, by zająć swoje miejsce za ladą.

Pierwsze godziny przeważnie wlokły się niemiłosiernie, ponieważ rano klientów było zazwyczaj niewiele. Dzisiaj jakiś młodzieniec z niezdecydowaną miną przyglądał się pierścionkom. Dorota najpierw taktownie pozwoliła mu rozejrzeć się, potem spytała:

– Czy mogę panu w czymś pomóc? Uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Owszem, mam kupić pierścionek zaręczynowy dla mojej Elzy... to znaczy mojej narzeczonej, ale nie bardzo wiem, który będzie najbardziej odpowiedni.

Dorocie zrobiło się jakoś ciepło na sercu, a jednocześnie smutno. Czy dla niej kiedykolwiek jakiś mężczyzna będzie wybierał pierścionek z takiej okazji? Chyba nie... Niech więc chociaż ta szczęśliwa dziewczyna dostanie dziś śliczny prezent zaręczynowy.

– Czy wolno mi spytać, jaki typ urody prezentuje pana narzeczonej? – zapytała.

– Och, jest skończoną pięknnością! – odparł z entuzjazmem młody człowiek.

– W to nie wątpię – zapewniła go. – Chodzi mi tylko o to, czy jest blondynką, czy brunetką.

– Szatynką – odrzekł, zawahawszy się na moment.

– A jakiego koloru ma oczy?

– Oczy? Ogromne. Jak dwa jeziora. Chyba niebieskie. Może trochę szare. Tak coś między tym a tym. Wie pani, to trudno wyrazić...

– Doskonale to rozumiem. A w jakie kolory lubi się ubierać panna Elsa, jeśli wolno mi tak o niej mówić?

– Niebieskie. Błękitne. Szafirowe...

– No i widzi pan. Myślę, że pierścionek z szafirem będzie najbardziej odpowiedni.

– Rzeczywiście... Jak pani na to wpadła?

– Bardzo mi pan pomógł – uśmiechnęła się, otwierając

kluczykiem „szafirową” gablotę. Wyjęła z niej kilka delikatnych, odpowiednich do dziewczęcych dłoni pierścionków i położyła na wyłożonej czarnym aksamitem tacce. – Może któryś z tych?

Młody człowiek wbił w nie zafrasowane spojrzenie i po chwili stało się oczywiste, że podejmowanie decyzji nie jest jego mocną stroną. – Wygląda na to, że w tym małżeństwie rządzić będzie najmilsza żoneczka – pomyślała Dorota i ściszym głosem, mówiąc jakby do siebie, podpowiedziała:

– Ten nieduży, ale czysty kamień o intensywnym blasku, w platynowej oprawie, wygląda bardzo odpowiednio na taką okazję.

– Istotnie – rozpromienił się młody mężczyzna. – Też tak sobie pomyślałem.

Dalej już poszło jak z płatka. Szczęśliwy narzeczony z ulgą zapłacił umiarkowanie wysoką cenę, a pierścionek został zapakowany do ślicznego pudełeczka, które Dorota wybrała szczególnie starannie. Kiedy je zamykała, szafir błysnął do niej jeszcze takim niebieskim ogniem, jaki miały chyba oczy tego nieznanego w bramie...

Boże, do czego prowadzi kontakt z zakochanymi...

Parę minut po dwunastej do sklepu weszli, a raczej wkroczyli, państwo Lebrottowie. Nie można się było pomylić. Mężczyzna w sile wieku, mocnej, by nie powiedzieć – tęgiej postury, miał na palcu sygnet odpowiednio masywny, ubranie szyte na zamówienie pewnie w Londynie, krawat nieco za żywy w tonie, ale w najlepszym gatunku, buty robione zapewne ręcznie na miarę. Ale i tak przy szanownej małżonce wyglądał szaro i nijako. Ona bowiem olśniewała i jedwabnym kostiumem, i biżuterią, którą mimo dość wczesnej pory udekorowała każdy nadający się do tego fragment ciała i garderoby. Na jej twarzy i figurze widać było biegłość kosmetyczki i siódmy pot masażystki, a zapach egzotycznych perfum przyprawiał osoby stojące bliżej o zawrót głowy.

Dorota powitała ich grzecznie i poprosiła, żeby zechcieli na chwilę spocząć na wybitej skórą kanapce, która stała pod boczną

ścianą.

– Pan Berger zaraz państwa przyjmie – dodała, dyskretnie naciskając przycisk pod ladą.

Pan Lebrott zaczął posapywać ze zniecierpliwienia. Nie miał zwyczaju czekać na kogokolwiek i w żadnej sytuacji, ale skoro już ma odpokutować za tę fertyczną ślicznotkę z rewii, to trudno...

Jego małżonka natomiast była zadowolona z chwili zwłoki. Uważnie obserwowała, jak Dorota rozmawia właśnie po francusku z nowym klientem, który wszedł do sklepu. Podczas poprzedniej wizyty usłyszała jej nazwisko: von Belenburg. Sprawdziła u wiarygodnej osoby, że to solidne, stare nazwisko...

I wtedy zaczęła myśleć.

Państwo Lebrottowie mieli dwóch dorosłych synów. Starszy, Otto, ożenił się już z odpowiednio posażną panną i pomagał ojcu zarządzać rodzinną fortuną, wspierany przez swą może niezbyt piękną, ale solidną i przygotowaną do swej roli żonę. Pani Lebrott była z Berty jako synowej zupełnie zadowolona.

Ale miała słabość do młodszego syna i pieściła w duszy pewne marzenie. Chciała, żeby został dyplomatą. – Mój syn, ambasador...

– bardzo chciałyby móc tak kiedyś napomknąć mimochodem na przyjęciu lub herbatce w gronie przyjaciółek. Mieć dostęp do plotek z najwyższych sfer, samej uczestniczyć czasem w najwytworniejszych przyjęciach... Bardzo lubiła te marzenia.

A ponieważ była osobą praktyczną i znającą życie, zabrała się do ich realizacji z istic pruską konsekwencją. Zapraszany przez nią systematycznie na bardzo atrakcyjne kolacje emerytowany trzeci radca wielu ambasad roztaczał przed nią obrazy wspaniałego życia dyplomatów, a chytrze podpytywany informował, jakie zalety, talenty i cnoty powinien mieć kandydat na dyplomatę. A więc musi być odpowiednio wykształcony i znać biegle języki obce. To drobiazg – ucieszyła się pani Laura. Najlepsi nauczyciele i korepetytorzy, sownie opłacani, przepchali Hansa przez studia na renomowanym uniwersytecie i zapewnili mu biegłość w posługiwaniu się francuskim, angielskim i hiszpańskim. Inna rzecz, że młody człowiek, lubiący głównie

szybką jazdę sportowymi samochodami, w żadnym z tych języków nie miał nic ciekawego do powiedzenia. Ale od dyplomaty nie wymaga się, żeby był oryginalny, tylko żeby był dobrze wychowany i umiał trzymać język za zębami, prawda? Tu małomówność Hansa mogła okazać się zaletą. Dobre maniery zostały mu, oczywiście, wpojone przez wychowawcę, który kiedyś wprowadzał w życie młodego grafa von N. Trudno o lepszą rekomendację.

Oczywiście, na początek, dzięki swoim pieniądзом i opartym na solidnych finansowych podstawach stosunkom mogła zapewnić synowi jakieś skromniejsze stanowisko przy niezbyt eksponowanej ambasadzie, ale od czegoś trzeba przecież zacząć, nie?

Tylko jednego Hansowi jeszcze brakowało – odpowiedniej żony. Z dobrego domu. Żadna z córek znajomych, których staranny przegląd robiła nieraz w myślach, nie nadawała się. Nie miały tego czegoś, czego pani Lebrott sama również nie miała, ale co potrafiła rozpoznać – klasy. To coś miała ta zbiedniała arystokratka, w którą teraz wpatrywała się uważnie, obserwując jej urodę – trochę mdła, ale w porządku – sposób bycia: spokojne i eleganckie ruchy, umiejętność prowadzenia rozmowy bez spoufalania się i głupiej przymilności. Ta dziewczyna nawet tu zachowywała się godnie. Tylko ją odpowiednio ubrać, dać parę klejnotów... Tu pani Lebrott przypomniała sobie kilka błyskotek z własnej kolekcji, które jej się już opatrzyły i które wspaniałomyślnie mogłaby podarować przyszłej synowej...

Zaraz jednak jej praktyczny umysł wrócił do rozwiązywania problemu strategicznego: co zrobić, żeby wyciągnąć stąd tego rzadkiego ptaszka i wydać za mąż za Hansa? Oczywiście, jej syn jest znakomitą partią, ale coś jej mówi, że on nie może tak po prostu przyjść i oświadczyć się tej nieco chłodnej pannie. Trzeba będzie przejść przez te wszystkie ceregiele ze staraniem się o względy. Cóż, szlachectwo zobowiązuje...

Pan Berger, który właśnie z ukłonem zapraszał szanownych gości do gabinetu, nie miał zielonego pojęcia, że na jego

znakomitą pracownicę szykuje zamach nie żaden właściciel eleganckiego magazynu, tylko ta obwieszona biżuterią niewiasta o duszy lewentyńskiego kupca.

Kiedy małżonkowie weszli do sanktuarium jubilera, na ciemnym dębowym stole już stały trzy wyłożone aksamitem pudełka z całymi „garniturami” ze szmaragdów. Na każdy składała się kolia, bransoleta, pierścionek, kolczyki i coś do przybrania głowy: diadem lub brosza do przypięcia ozdobnego pióra.

Właściciel wskazał gościom wyściełane krzesła, sam stanął obok i zaczął po kolei otwierać pudełka.

– Wybrałem dla państwa trzy najpiękniejsze i najbardziej wartościowe komplety, ponieważ zakładałem, że dla szanownej pani – tu ukłon w stronę pani Lebrott – tylko klejnoty najwyższej klasy są odpowiednie.

Komplement został przyjęty przez nią z nieco roztargnionym uśmiechem.

– Ponadto – ciągnął nie zrażony kupiec – dzięki swojej wartości są dobrą lokatą kapitału... – Tu porozumiewawcze spojrzenie w stronę małżonka, tym razem odwzajemnione.

Ku zdziwieniu obu mężczyzn pani Lebrott ociągała się z wyborem, jakby oczekiwała, że pan Berger wyciągnie jeszcze ze swego sejfu coś zupełnie specjalnego. Owszem, przez moment oczy jej zalśniły, gdy spojrzała na rzeczywiście pięknie oprawione kamienie, ale zaraz jej twarz przybrała znów nieco wahający wyraz.

– Sama nie wiem – powiedziała powoli. – Istotnie, to ładne rzeczy, ale musiałabym chyba przymierzyć je do mojej nowej sukni, a tutaj nie da się tego zrobić...

Pan Berger, który już zaczął się obawiać, że tym razem nie zrobi dobrego interesu, z ulgą zaproponował: – Ależ to da się zrobić, proszę pani! Jeśli pani pozwoli, będę miał zaszczyt przywieźć te klejnoty do pani domu, aby tam mogła pani dokonać najtrafniejszego wyboru.

– To świetnie! – ożywiła się pani Lebrott. – Tylko... wie pan,

wolałabym, żeby w wyborze pomogła mi pana pracownica, ta panna... zapomniałam...

– Panna von Belenburg – z naciskiem powtórzył kupiec. – Rozumiem szanowną panią. Cieszę się, że pani poznała się na jej kompetencji. Tylko...

– Mój mąż udzieli panu, oczywiście, wszelkich gwarancji finansowych. Po pannę von Belenburg przyjedzie nasz samochód z odpowiednią ochroną. Zgadzasz się, kochanie? – Uśmiech skierowany do męża tchnął taką serdecznością, że pan Lebrott z ulgą powitał koniec pokuty i męczącego ceremoniału.

– Oczywiście, dostanie pan gwarancję z mojego banku. To możemy się już zbierać, tak? – Podniósł się ciężko zza stołu.

– Zadzwonię do pana jutro, żeby uzgodnić termin. Jestem pewna, że będę zadowolona z porady pańskiej pracownicy. Do widzenia. – Pani Lebrott wyciągnęła łaskawie dłoń, nad którą pan Berger szarmancko się pochylił.

Kiedy już odprowadził gości do drzwi sklepu, zwrócił się do Doroty:

– Panno Bellenburg, w najbliższych dniach będzie pani proszona o zawieszenie kilku garniturów ze szmaragdów do rezydencji państwa Lebrottów, ich samochodem. Cieszyłbym się, gdyby pani zechciała doradzić naszej klientce najodpowiedniejszy wybór. Może pani oczekiwać gratyfikacji, jeśli sprzedaż dojdzie do skutku.

– Jak pan sobie życzy – zgodziła się Dorota.

Nigdy jeszcze nie sprzedawała niczego poza tym lokalem, więc poczuła się nieco zaniepokojona, choć z drugiej strony szansa na dodatkowe pieniądze była bardzo pociągająca. Lekarz i lekarstwa dla ojca!

Kiedy wracała do domu, przedwieczorne światło nadawało miastu jeszcze więcej uroku. Kontury kamienic, latarni, ławek na skwerze stały się bardziej miękkie. Z kawiarni na rogu dobiegał gwar głosów zmieszany z modną piosenką graną na pianinie. Lubiła te chwile, kiedy szła wzdłuż eleganckich wystaw,

kawiarnianych stolików wystawionych na chodnik, przy których siedzieli odprężeni ludzie i spokojnie sączyli kawę, wino albo małego sznapsa. W donicach pyszniły się czerwone pelargonie, skądś dobiegał zapach pieczenia. Świat był przez chwilę znów bezpieczny i swojski.

W pobliżu domu wstąpiła do rzeźnika, który odkładał jej zawsze najchudszy kawałek mięsa (kupowała je głównie ze względu na dietę ojca, zaleconą przez lekarza), potem do sklepiku spożywczego, skąd wyszła z butelką mleka na jutrzejsze śniadanie, chlebem i serem na kolację.

Jej torba na zakupy nie była ciężka, szła więc szybko, chcąc jak najprędzej dotrzymać towarzystwa ojcu. Na schodach w swojej kamienicy zobaczyła przed sobą idącą z trudem zażywną niewiastę z siatką wypełnioną warzywami. W pewnej chwili kobieta przystanęła, wierzchem dłoni otarła spocone czoło i ciężko westchnęła. Jej oddech był świszczący. Dorocie żal się zrobiło tej starszej, zmęczonej osoby. Zapytała grzecznie:

– Czy mogę pani pomóc nieść te zakupy?

Niewiasta uśmiechnęła się z wdzięcznością i odparła: – Dobra z pani dziewczyna... Przepraszam, panna...

– Nazywam się Dorota Belenburg.

– Belenburg... Zaraz... Coś mi się kojarzy, ale to chyba niemożliwe... Czy jakiś pani krewny... daleki krewny bywał w majątku Hellenrau?

– U pułkownika Lebnitza? Mój ojciec jeździł tam czasem na polowania. Znali się jeszcze ze służby w jednym pułku...

– A czy wolno spytać, jak godność ojca pani?

– Herman Belenburg. Pan Herman von Belenburg? – w głosie pytającej zabrzmiało niedowierzanie.

– Tak.

– Święci pańscy! – złapała się za serce kobieta. – Przyjaciel mojego pana! Pamiętam go! Lubił moje szparagi w śmietanie. Raz sam się pofatygował do kuchni, żeby mi o tym powiedzieć. Taki wielki pan, a nie wstydził się przyjść do mnie i podziękować za „wspaniałą ucztę”. Tak powiedział. I jeszcze wręczył mi grzecznie

trochę marek na „kawę i łakocie”. Tak powiedział. I pani jest jego córką? To co pani tu robi?

W międzyczasie zaszły powoli na trzecie piętro i stanęły przed drzwiami opatrzonymi wizytówką z napisem *Otylia Kluge*. Starsza kobieta otworzyła drzwi i gestem zaprosiła dziewczynę do mieszkania. Weszły do małego, schludnego przedpokoju. Dorota chciała zostawić zakupy i wyjść, ale pani Otylia wzięła ją za rękę i wprowadziła do niedużego pokoju stołowego z paradnym kredensem, ozdobionym wieloma robionymi ręcznie serwetkami. Prawie siłą posadziła ją na krześle i powtórzyła:

– Co pani tu robi? W tej kamienicy? Musiała pani opuścić dom? – Na jej twarzy odmalowało się jednocześnie potępienie i współczucie.

Dorota, starając się opanować uśmiech rozbawienia, pomyślała, że starsza pani wzięła ją za upadłą latorośl rodu Belenburgów, której rodzina się wyrzekła.

– Ojciec mieszka tu ze mną. Zajmujemy tę mansardę powyżej.

– Pan pułkownik tutaj? – Oczy pani Otylii zrobiły się okrągłe ze zdziwienia a ręka powędrowała znowu w stronę serca. – Jak to?

– To długa historia i trudno mi ją streścić w, paru słowach. Zapewniam panią tylko, że żadne z nas nie ma nic na sumieniu. A teraz muszę się pożegnać, bo ojciec na mnie czeka.

– Nie może pani tak sobie pójść! Proszę mi obiecać, że po kolacji zejdzie pani do mnie na herbatę. Przecież mieszkamy po sąsiedzku; trzeba się jakoś poznać... Serdecznie zapraszam! Ja nawet z tą zza ściany – tu pani Otylia ściszyła głos, robiąc zboląłą minę – nawet z nią dobrze żyję. Ja tam się do cudzego życia nie wtrącam, a ona, nie powiem – czasem wpadnie, pośmieje się, poopowiada, jak tam jej jest w tej... operetce. – To słowo najwyraźniej z trudem przechodziło szanownej niewieście przez usta. – No jak, przyjdzie pani, panno Belenburg?

– Owszem, na chwileczkę – obiecała Dorota myśląc, że istotnie nie powinna się odgradzać od innych mieszkańców kamienicy.

Przecież nie jest nikim lepszym od nich. Rano widzi z okien to samo co oni, a przez cały dzień pracuje i trudzi się codziennymi obowiązkami. Kiedyś uważała się za osobę wyjątkową i należąca do kręgu wybranych, ale wydarzenia ostatnich miesięcy pokazały jej, jak bardzo się myliła. Czasem myślała sobie, że jej obecne położenie to kara za grzech pychy; wtedy zaczynała się spierać z Panem Bogiem, tłumacząc mu, że przecież tak ją wychowano, że nie była temu winna. Teraz już nie prowadziła takich wewnętrznych dialogów, tylko próbowała akceptować wszystko, co przynosiło jej życie. Tego uczył ją ojciec.

Weszła do mieszkania, wołając od progu: – Tatuśku, jestem! Jak się masz?

– Doskonale – odparł nieco schrypnięty głos ojca z sąsiedniego pokoiku, a jej serce znów ścisnęło się bólem i współczuciem, ale nie pozwoliła sobie na łzy.

– Jak ci minął dzień? – zapytał starszy pan, witając uśmiechem wchodzącą córkę.

– Bardzo dobrze. Wprawdzie szejkwowie jeszcze nie przybyli, ale będę sprzedawała garnitur ze szmaragdów pani Lebrott w jej rezydencji. Wyobrażasz sobie? Twoja córka awansowała na pracownicę do specjalnych poruczeń – próbowała żartować, choć nie było jej specjalnie do śmiechu.

Ojciec jednak docenił jej starania, aby być dzielną i umieć żartować nawet w trudnej sytuacji. Bez słowa pogładził ją po ręce i nieznacznie skinął głową.

– To znakomicie – potwierdził. – Nie spodziewałem się, że masz aż tyle talentów. Na pewno świetnie ci pójdzie.

Boże, jak wytrzymałaby tutaj bez tej porcji otuchy i wsparcia, które ten chory człowiek dawał jej co dzień? Na myśl, że mogłoby go zabraknąć, gdzieś w głębi piersi rodził się przejmujący ból. Dlatego czym prędzej musiała zająć czymś ręce.

Zabrała się do sprzątnięcia ich małego gospodarstwa. Żeby opróżnić głowę z czarnych myśli, zaczęła opowiadać o spotkaniu z panią Otylią.

– Szparagi ze śmietaną! – rozpromienił się starszy pan. – Pamiętam! Te polowania w Hellenrau miały też atrakcyjny wymiar kulinarny. Kiedy opowiadałem o tym twojej matce, była nawet troszkę zazdrosna, choć nasz kucharz też sprawował się znakomicie. Pan Juraszek, Czech. Robił znakomite knedle ze skwarkami, tylko trzeba było o nie specjalnie poprosić, bo uważał je za danie dla pospólstwa. Był większym snobem niż świętej pamięci ciotka Klaryssa...

Pan Herman wyraźnie się ożywił, a w jego wspomnieniach nie drżała, jak dotychczas, nuta stłumionego żalu, tylko jakby – nostalgii, tęsknoty?

Za tamtymi czasami, czy za szparagami i knedlami, których Dorota nie potrafiła przyrządzić?

Kiedy posprzątała po skromnej kolacji, zachęcona przez ojca, zeszła, by odwiedzić panią Kluge. Ledwie przebrzmiał dzwonek do drzwi, kiedy ona sama otworzyła je z zapraszającym uśmiechem. Wprowadziła Dorotę do tego samego, schludnego pokoju, posadziła przy nakrytym haftowaną serwetą stole, na którym już stały dwie filiżanki ze złożonymi brzegami i takie same talerzyki.

– Zaraz zaparzę herbatę – oznajmiła uroczyście gospodyni.

– Taką, jak lubił mój pan. Pięć minut na parze, aromatyczna, ale niezbyt mocna. Odpowiada to pani?

– Jak najbardziej – odparła Dorota. – Zresztą proszę sobie nie robić kłopotu, ja tylko na chwilę...

– Żaden kłopot. Gdybym wcześniej wiedziała, że pani przyjdzie, upiekłabym ciastka. A tak będziemy miały tylko drożdżówki ze śniadania.

Pani Otylia zniknęła za drzwiami i po chwili wróciła, niosąc talerz pełen lukrowanych, niedużych, drożdżowych bułeczek. Dorota rozpoznała ten sam apetyczny zapach, który rozmarzył ją rano. Mimo woli uśmiechnęła się.

– Lubi pani takie zwyczajne wypieki? – spytała serdecznie pani Kluge.

– Bardzo. Przypominają mi śniadania w... domu. Dawnym

domu.

– Rozumiem panią. Tak, los nam gotuje różne niespodzianki. Trudno jest tak się przestawić na inne życie. Wiem po sobie. Pewno pana hrabiego spotkało wielkie nieszczęście. – Westchnęła ze współczuciem.

– Mój ojciec był zmuszony sprzedać majątek, ale nie jest bankrutem i nic nikomu nie jest winien. To wynik niefortunnnych inwestycji – powiedziała Dorota, nie chcąc w niczym uchybić ojcu, którego decyzję w głębi duszy akceptowała i szanowała.

Pani Otylia pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Tak, różne kłopoty spadają na porządnych ludzi. Wojna... Nie ma już naszego dobrego cesarza, Franciszka Józefa. W miejscu dobrze urodzonych rozpychają się teraz jacyś kramarze... Szkoda mówić! Ja na przykład pracowałam przez trzydzieści lat u pana majora. Mój świętej pamięci mąż był jego ordynansem, potem został starszym lokajem. Kiedy umarł... – pani Otylia urwała na chwilę, spuściła oczy i westchnęła. – Świeć. Panie, nad jego duszą, dobry był z niego człowiek, chociaż czasem zaklął po wojskowemu.

– No więc kiedy mój mąż umarł, major zaopiekował się mną i powiedział, że mogę u niego dalej mieszkać, a jak zechcę pracować, to mi będzie płacił pensję. Zaczęłam pomagać w kuchni; z czasem zostałam główną kucharką. Pan major chwalił mnie często, na każde święta i na imieniny dostawałam od niego w kopercie pieniądze, żebym sobie sama kupiła ładny prezent. Pan major nie miał żony, więc tak było mu poręczniej. Nieraz pytałam go, czemu się nie ożeni, przecież słuszny był z niego mężczyzna i na pewno znalazłby odpowiednią kandydatkę, ale on śmiał się tylko i mówił, że ród ludzki przetrwa i bez jego starań.

– O czym to ja mówiłam? Aha, opresje. No i kiedy i jemu się zmarło, jego majątek przeszedł na jego siostrzeńca, który zaczął wprowadzać do domu różne zmiany. Takie nowoczesne porządki. Już nie wydawał normalnych przyjęć, tylko jakieś „party”. Jego żona snuła się od rana po domu. No i do tego wszystkiego zatrudnili francuskiego kucharza. I wtedy ja podziękowałam za

pracę. Powiedziałam im: „Albo on, albo ja! W jednej kuchni może rządzić tylko jedna osoba. Ja miałabym słuchać jakiegoś „mesje” od zagranicznych frykasów? O, nie!”. No i odeszłam.

Pan major zapisał mi w testamencie niewielką sumę, miałam też spore oszczędności, więc nie musiałam bać się nędzy na starość. Chciała mnie wziąć do siebie moja bratanica, dobra dziewczyna, ale w jej domu jest dużo dzieci, ciągły rwetes, a ja do tego niezwykczajna. W dodatku wypadałoby jej pomagać, a już sił tyle nie mam, żeby gotować dla dużej rodziny. Dlatego odwiedzam ją dwa razy do roku i tak jest dobrze. Przywożę prezenty, pobawię się z dziećmi, upiekę coś dobrego i wracam do tych swoich czterech kątów.

Powiodła ciepłym spojrzeniem po pokoju i znów westchnęła.

– Dobrze mi tutaj. To porządna dzielnica; jak wyjdę na zakupy, to grzecznie mnie traktują... Kościół niedaleko, piękny bardzo. Ksiądz Benedykt mówi wspaniałe kazania, prawda? W czasie procesji trzymam wstęgę od figury Matki Boskiej. Tylko na co dzień czasem tak jakoś pusto... Nie ma dla kogo co zrobić, nikt nie pochwali, słowa dobrego nie powie... – usta pani Otylii wygięły się w dół. Zaraz jednak zrobiła trochę bezradny ruch ręką, jakby odpędzając smutek i pochyliła się w stronę dziewczyny.

– Ja tu tak o sobie, a to przecież nic. Życie mam za sobą, dobre życie i niewiele teraz oczekuję, byleby Pan Bóg dał jakie takie zdrowie i lekką śmierć. – Pani Otylia przeżegnała się szybko. – Ale panienka to przecież jeszcze niczego nie użyła i już musi się borykać z życiem. Pani ojciec jest w dodatku chory?

– Tak. Ciężko mu chodzić po schodach, więc przeważnie siedzi w mieszkaniu.

– Wiem, wiem, mnie samą czasem taka zadyszka łapie, że muszę stanąć i długo czekać, aż wróci mi oddech. Więc pani sama się o wszystko troszczy?

– No, tak. Po pracy...

– To panienka jeszcze pracuje? A gdzie, jeśli wolno spytać?

– W sklepie jubilerskim koło opery.

– Patrzcie państwo! Dzielna z pani osoba, panno Belenburg.

I gotuje pani sama szanownemu ojcu?

– Oczywiście – Dorota z zaskoczeniem stwierdziła, że pochwała z ust tej prostej kobiety sprawiła jej przyjemność. – Gotuję mu rosół...

– Tak, rosół z wermiszlem jest dobry dla chorego. – Pani Otylia poprawiła się na krześle.

Dorota przezornie wolała nie przyznawać się do tego, że nie wie, co to jest wermiszel. Starsza pani jednak dociekała dalej:

– A na drugie?

– No, mięso...

– Pewnie siekane zraziki na parze?

– Nie, mięso, gotowane. W tym rosole... rozumie pani...

– Zwykle mięso? – W oczach pani Otylii pojawiło się niedowierzanie. – Sztukamię? W , sosie chrzanowym?

– No, nie...

– A co jeszcze mu pani gotuje?

– Gulasz z jarzynami.

– Dla chorego?

– No tak...

– I pan hrabia to je? – W głosie byłej kucharki zabrzmiała zgroza.

– Oczywiście, nawet chwali! – Dorota poczuła, że ogarnia ją irytacja.

– Święty człowiek – westchnęła pani Kluge i wtedy dostrzegła zaczerwienioną twarz dziewczyny. – Niech się pani nie gniewa, panno Belenburg. Nie chciałam, broń Boże, pani urazić. Tylko to jest takie jedzenie... jakby tu powiedzieć... mało urozmaicone i dietetyczne, rozumie pani...

– Rozumiem, ale nikt mnie nie uczył gotowania. Taki przepis znalazłam w książce „Zdrowe żywienie” i tak robię. Mało soli...

Przerwał jej serdeczny wybuch śmiechu pani Otylii.

– Z książki! Gotowanie z książki! Co też ludzie nie wymyślą! Prawdziwe przepisy dostaje się od dobrych gospodyń. Jak pani chce, to kiedyś pokażę pani, jak się robi siekane zraziki na parze.

Dorotę ogarniały na przemian zakłopotanie i rozdrażnienie.

Kiedy jednak wspomniała rozjaśnione oczy ojca, gdy mówił o tych dawno zjedzonych szparagach, schowała resztki dumy do kieszeni i odparła:

– Dziękuję, chętnie skorzystam z pani uprzejmej propozycji. Pani Otylia rozpromieniła się z zadowolenia. Umówiły się na sobotni wieczór, żeby Dorota mogła zaimponować ojcu niedzielnym obiadem. Pożegnawszy panią Otylię, dziewczyna wróciła do siebie i położyła się do łóżka w swoim kąciku za parawanem. Spojrzała w okno, przez które zaglądała jedna, odległa gwiazda. Nie myślała już o gotowaniu, tylko o tym, czy kiedyś jeszcze zobaczy nieznajomego mężczyznę, któremu uśmiech tak rozblękitnia oczy.

Kiedy nazajutrz szła przez plac koło opery, rozglądnęła się dyskretnie, ale nigdzie nie zobaczyła dobrze zapamiętanej sylwetki. Sama nie wiedząc dlaczego, poczuła rozczarowanie, a słoneczny dzień przestał być taki obiecująco radosny, jaki się wydawał wcześniej. Weszła do ciemnej, chłodnej bramy, nastawiła szyfr i nacisnęła klamkę.

Za klamkę był włożony spory bukiet fiołków.

Dorota poczuła, że serce jej bije żywiej. Coś jej mówiło, że te kwiatki są przeznaczone właśnie dla niej. Nucąc wesoło weszła do biura, rzuciła miłe „dzień dobry” Irmie i w pokoiku na zapleczu, który służył im za szatnię i „pokój śniadaniowy” (określenie pana Bergera) włożyła bukiet do szklanki z wodą. Kiedy już odebrała klucze od szefa, wróciła jeszcze i wyciągnęła z wiązanki kilka kwiatów, żeby je sobie przypiąć do klapy kostiumu i móc na nie spoglądać podczas pracy. Podeszła do szyby wystawowej, żeby się w niej przejrzeć i wtedy po drugiej stronie, na ulicy zobaczyła nieznajomego, który kłaniał jej się grzecznie, trzymając kapelusz przy piersi. Włosy miał gęste, ładnie przystrzyżone, kasztanowe z miedzianym połyskiem.

Dorota stanęła jak wryta, czując, że mocny rumieniec ogarnia łuną jej policzki aż po czoło. Nie wiedziała, czy wypada mu się odkłonić, skoro nikt ich sobie nie przedstawił. Z drugiej jednak

strony...

Przez szybę posłała mu krótki, nieśmiały uśmiech i wycofała się w głąb sklepu. Była tak rozkojarzona, że ledwo z sensem odpowiadała panu Bergerowi, który instruował ją, jak ma prezentować klejnoty pani Lebrott, do której ma się udać nazajutrz.

– Dobrze, proszę pana – odpowiedziała na jego ponowną obietnicę prowizji od udanej transakcji.

Pan Berger spojrzał na nią zdziwiony, ale dość widoczne wzburzenie i trochę niezborne odpowiedzi dziewczyny przypisał jej przejęciu się ważnością transakcji. – Nie myślałem, że ta panna tak osobiście traktuje moje interesy – pomyślał z zadowoleniem, wchodząc do swego biura. – A może nie tylko interesy? – Jego próżność zamruczała jak kot na kolanach u dobrej pani.

Tymczasem w willi państwa Lebrottów, stojącej w eleganckiej dzielnicy na obrzeżach miasta, odbywała się pierwsza z serii poważnych rozmów pani Laury z synem. Hans przysiadł na pufie obok fotela matki i spoglądał na nią z posłusznym wyrazem twarzy.

Miał ciemne włosy, uczesane z przedziałkiem, nienagannie dobrany krawat do popielatego garnituru, starannie ogoloną, nieco okrągłą twarz. W ciemnobrązowych oczach i ich oprawie widoczne było podobieństwo do matki.

Pani Lebrott z czułością spojrzała na syna i zaczęła: – Słuchaj, Hans, wczoraj znowu późno wróciłeś do domu.

– Johann ci doniósł?

– Nie muszę wypytywać służby. Zbudziły mnie w nocy hałasy w twoim pokoju. Sądzę, że nie byłeś trzeźwy.

– Och, mamu, daj spokój! Jedna butelka szampana do kolacji. Wiesz dobrze, że umiem zachować umiar w picciu.

To akurat było prawdą, więc pani Laura zmieniła temat: – znowu puszczałiście pieniądze na jakiejś bibce? Z kim byłeś?

– Mamuśka, to było porządne towarzystwo. Syn bankiera, kilku oficerów, hrabia... Sama mi mówiłaś, że mam podtrzymywać

dobre znajomości.

Posłuszny syn wolał nie dodawać, że ozdobą tego wytwornego przyjęcia w osobnym gabinecie restauracji „Pod Trzema Królami” było kilka pięknych i przystępnych tancerek z najnowszej rewii. Syn odziedziczył gust do kobiecych wdzięków po ojcu.

– Słuchaj, synu – zaczęła pani Lebrott, a Hans zastrzygł uszami, bo taki wstęp zazwyczaj poprzedzał jakieś niemiłe w skutkach decyzje. – Najwyższy czas, żeby poważnie pomyśleć o twojej przyszłości.

– O, kurczę, znowu się zaczniesz z tą dyplomacją. Myślał, że sprawa przyschła i dalej będzie mógł się cieszyć życiem wolnego od obowiązków i niezależnego finansowo dżentelmena. Ale na upór mamuśki nie ma rady. Trzeba będzie stulić uszy, ponieważ niemałe sumki, którymi zasilala jego budżet, były wydatnym uzupełnieniem kieszonkowego, które wydzielał mu ojciec, mruczając w dodatku o zabraniu się do uczciwej roboty.

Hans westchnął z rezygnacją i zapytał: – Co mama ma na myśli?

– Mam już obiecane przyjęcie cię na stanowisko młodszego radcy do naszej ambasady w Lizbonie, tylko...

– W Lizbonie? No, mogło być gorzej. Bałem się, że będziesz chciała mnie wysłać do Australii.

– Skądże, tam nie mogłabym cię często odwiedzać, a w Europie wszędzie jest blisko. Tylko przedtem musisz się ożenić.

– Domyślam się, że mama już mi znalazła narzeczoną?

– Skoro sam nie jesteś wystarczająco zaradny...

No cóż, żegnajcie piękne czasy kawalerskie, żegnaj, złota wolności! Trzeba będzie włożyć głowę w małżeńskie jarzmo. Żegnajcie miłe i beztroskie dziewczęta z rewii! Teraz jakaś zasadnicza, cnotliwa panna zacznie brać go pod pantofel. Na samą myśl o tym wstrząsnął się.

– Czy jest chociaż ładna? – zapytał bez nadziei na twierdzącą odpowiedź, dlatego nieco ożywił się, gdy usłyszał stanowcze zapewnienie:

– Gdy dostanie odpowiednią oprawę, będzie najbardziej

atrakcyjną kobietą w salonach twojego ambasadora!

– To już lepiej. Kiedy ślub?

– Najpierw musisz się oświadczyć i zostać przyjęty.

– Dobrze, skoro mama nalega. Kiedy i gdzie mam się stawić z odpowiednim bukietem?

– Na bukiet trochę za wcześnie. Ona cię jeszcze nie zna.

– To mama jeszcze wszystkiego nie załatwiła?

– Co to znaczy: załatwiła? – zirytowała się pani Laura. – Znalazłam ci odpowiednią kandydatkę, to chyba niemało, co? A o to, żeby cię zechciała, musisz się postarać sam. Ja co najwyżej mogę ci udzielić kilku rad i sugestii.

Hans zmarszczył brwi i zamyślił się. Sytuacja nie była jeszcze najgorsza. Staranie się o rękę tego znaleźnika mamusi może potrwać jakiś czas. A może uda się dostać kosza? Wtedy cała procedura zacznie się na nowo, a tymczasem życie będzie wolne i atrakcyjne!

– Słucham mamy – powiedział więc posłusznie. – Od czego mam zacząć?

– Od tego, że jutro przywieziesz ją autem od mojego jubilera.

– A co ona będzie tam robiła?

– Ona tam pracuje.

– W sklepie? I mama mówi, że to odpowiednia kandydatka?

Wolne żarty!

– Wiem, co mówię. To hrabianka von Belenburg.

– Więc co robi u jubilera?

Pani Laura wzniosła oczy w górę i pokrótce streściła swoje domysły na temat sytuacji Doroty. Niewiele się w nich pomyliła.

– Zresztą – dodała na koniec – wynajęłam wczoraj prywatnego detektywa, żeby zrobił wywiad na temat jej rodziny i jej samej, chociaż nie spodziewam się raczej żadnych niespodzianek. Obiecał mi raport najdalej za tydzień. A wy poznacie się jutro. Wszystko już umówione. Przyrowadzisz ją tutaj, na chwilę zostawisz nas same, a potem cię zawołam, żebyś nam dotrzymał towarzystwa przy herbacie. Potem odwieziesz ją do sklepu.

– A potem co?

– Nie potem, a przedtem. Masz na niej zrobić jak najlepsze wrażenie. Jeśli odzwyczyłeś się od towarzystwa porządnych kobiet – tu w głosie pani Laury zgrzytnęła ironia – to odwiedź swojego byłego guwenera i poproś o dodatkową lekcję.

Po co mam chodzić do pana Hergutta? – pomyślał Hans. – Zapytam szelmy Augusta, jak się zabrać do tej szacownej dziewicy. „Szelma August” był młodszym synem hrabiego Trotz von Thal, który właśnie, zmuszony przez ojca groźbą niezapłacenia jego długów, starał się o rękę pewnej utytułowanej panny. Ze wszystkimi szykanami.

Ucałował dłoń matki.

– Zrobię, jak mama zechce. A więc o której jutro mam być do dyspozycji?

– Masz być w sklepie o jedenastej. Pojedziesz naszym wozem z szoferem.

– A więc o wpół do jedenastej zamelduję się na rozkazy. – Wstał. – Czy teraz pozwoli mi mama odejść? Jestem umówiony na śniadanie. Gdybym tak jeszcze mógł liczyć na jakąś sumę...

– Znowu? Przecież przedwczoraj ci dałam!

– A czy mama wie, ile kosztują odpowiednie stosunki? Reprezentacja? Ale jak już zostanę ambasadorem, wszystko mamie wynagrodzę. Będzie mama siedziała w salonie na głównej kanapie w otoczeniu samych hrabin...

– Och, ty! – Pani Laura roześmiała się, bo syn bezbłędnie wyczuł jej słaby punkt, i sięgnęła do torebki.

Cóż, marzenia kosztują.

Kiedy została sama, naląła sobie mały kieliszek likieru *cassis*, usiadła wygodnie w fotelu i zaczęła obmyślać następne posunięcia.

Trzeba będzie nawiązać z tą dziewczyną bliższy kontakt. Hans musi się z nią spotykać, ale na początek tak, żeby jej nie spłoszyć i zbyt wcześnie nie zdradzić swoich intencji. A więc jakieś wspólne wyjście w solidne miejsce... Opera! Tak, przecież łoża, którą wykupywali na cały sezon, mogła służyć także z innych okazji niż premiery. Dla pani Laury żywot sztuki kończył się na premierze,

ponieważ potem do teatru nie przychodził już nikt z tych, którzy się liczą. W każdym razie ona tak uważała. No, ale w dobrej sprawie może zrobić wyjątek.

A jeśli ta dziewczyna nie lubi opery? Eee, to się do tego nie przyzna. Nikt by się nie przyznał, nawet jej mąż, który czasem podczas lirycznych „arii cicho pochrapywał, schowany za jej fotelem, a budził się nieomylnie na wejście baletu. Stary satyr. Ale z nim poradzi sobie z czasem. Albo wiek sobie z nim poradzi. Mądra żona umie czekać. Poza tym rozkosze alkowy już od dawna nie nęciły jej, więc czasem nawet odczuwała pewną ulgę, że mąż nie domaga się swoich praw małżeńskich, a za to wzbogaca jej kolekcję biżuterii, kiedy kolejna przygoda mąciła mu spokój sumienia. Bo pan Lebrott miał solidne sumienie, jak najbardziej, tylko miało ono cokolwiek spóźniony refleks – zawsze odzywało się po fakcie.

Zaraz, trzeba wrócić do najważniejszego. A więc Hans musi się zacząć umawiać z tą hrabianką...

Dorota, nie przeczuwając, że jej los jest przedmiotem zainteresowania obcych ludzi, wracała po pracy do domu. Po drodze wstąpiła do małego kościółka pod wezwaniem świętej Katarzyny. Przeżegnała się wodą święconą i usiadła w ostatniej ławce. Ogarnęła ją chłodna cisza, przesycona wątłym zapachem więdnących kwiatów i kadzidła. Podniosła oczy na ołtarz.

O życiu świętej Katarzyny, męczennicy, opowiadała jej niegdyś z nabożnym skupieniem niania. Dziewczynkę przerażały trochę okropne szczegóły tego męczeństwa – skazanie na rozdarcie na kole z wyostrzonymi szpikulcami, potem niespodziewane ułaskawienie, a następnie ścięcie. Szczególnie okrutne wydało jej się to pozorne uwolnienie, a potem ścięcie.

Teraz cieszyła się, że postać na ołtarzu, przedstawiona ze zwojem papieru i piórem w dłoni, symbolizuje tę drugą świętą Katarzynę – ze Sieny, mądrą dominikankę, która udzielała rad samemu papieżowi Grzegorzowi XI i zostawiła po sobie listy,

zachwycające swą żywą inteligencją do dzisiaj. Święta od dobrej rady – tak ją sobie nazwała. Wydawało jej się, że kobieta na obrazie ma oczy podobne do oczu jej matki – było w nich to samo ciepło i łagodność. Dlatego upodobała sobie ten kościółek; jak ongiś matce, teraz zwierzała się świętej ze swoich marzeń i obaw. Ojcu nie wszystko potrafiła powiedzieć.

Zmówiwszy pacierz, uśmiechnęła się do obrazu. – Wiesz – powiedziała w myślach – on mi dał fiołki. Jak myślisz, czy my kiedyś poznamy się ze sobą?

Święta Katarzyna milczała obiecująco.

– Co ja mam zrobić? – pytała dalej dziewczyna. – On mi się podoba, wiesz? Ale jak możemy się poznać, skoro nie mamy wspólnych znajomych?

Od ołtarza przyplął do niej zapach kwiatów. Nie wiadomo dlaczego, Dorota uznała to za odpowiedź. – Ty już coś wymyślisz, prawda? A ja za to... – chciała w zamian coś zaproponować od siebie. Ale co? Pieniędzy miała zbyt mało na hojną ofiarę (nie pomyślała, że największą hojnością jest dzielenie się ostatnim groszem); nic innego nie przychodziło jej do głowy. – Jak będziesz czegoś ode mnie potrzebowała, to daj mi znak – zaproponowała wreszcie.

Święta Katarzyna uśmiechała się pobłażliwie; widywała już przed swoim wizerunkiem różne naiwne i tęskniące do miłości serca.

Kiedy dziewczyna wchodziła już na trzecie piętro swojej kamienicy, usłyszała zza prawych drzwi podniesione głosy: Kobięcy i męski. W kobiecym rozpoznała sopran, który co rano ćwiczył różne arie. Męski był nieznajomy. Kłócąca się para musiała stać w przedpokoju, bo Dorota usłyszała wyraźnie ostatnie zdania:

– Skąd mam wziąć nową suknię? Myślisz, że się puszczam na prawo i lewo z bogatymi facetami?

– Nic mnie to nie obchodzi. Bez nowej sukni nie dostaniesz tej roli. I tak musiałem dobrze o nią zabiegać u reżysera. Chętnie

czekają w kolejce. Gdyby nie to, że cię lubię... – tu męski głos nieco złagodniał.

– Akurat! Jak mnie tak lubisz, to kup mi tę kieckę, do cholery!

– Już ci mówiłem, że jestem splukany, ale...

– To wynoś się do wszystkich diabłów!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wypchnięty z nich mężczyzna znalazł się na korytarzu. Potrącając wchodzącą na ostatnie stopnie Dorotę, zbiegł z rumorem po schodach. Za nim wybiegła rozgniewana młoda brunetka, przechyliła się przez poręcz i krzyknęła:

– Ciszej! To porządna kamienica!

Ale za mężczyzną już zamykała się brama na dole. Brunetka zaś, nie mogąc znaleźć ujścia dla przepelniających ją emocji, oparła głowę na rękach zaciśniętych na poręczy i wybuchnęła płaczem.

Dorota, stojąca pod ścianą korytarza, nie wiedziała, co zrobić. Powinna chyba obojętnie przejść i nie wtrącać się w cudze sprawy, zwłaszcza że miała dość własnych zmartwień. W dodatku chodziło tylko o sukienkę, więc czym się tu przejmować? Zrobiła dwa kroki i... zamiast okrążyć płaczącą dziewczynę, podeszła do niej, lekko dotknęła jej ramienia i zapytała cicho:

– Czy mogę pani w czymś pomóc? Odpowiedzią był jeszcze jeden rozpaczliwy szloch.

– Czy mogę panią odprowadzić do mieszkania? Może napije się pani herbaty? – Zakłopotanej Dorocie przyszedł do głowy jedynie stary sposób cioci Herminy na wzburzone nerwy.

– Nie mam herbaty – chlipnęła dziewczyna. – Nie mam na herbatę, nie mam na nic. To już koniec! – I rozszłochała się znowu.

– To może pani pozwoli do mnie? – zapytała Dorota, ale w tej chwili otwarły się drzwi mieszkania pani Otylii i ona sama zapytała:

– Czego płaczesz, dziewczyno? Stało się coś? – widząc Dorotę, obejmującą ramieniem zdesperowaną brunetkę, zwróciła się do niej: – Powiedziała?

Dorota pokręciła głową. – Zaproponowałam jej, żeby się napiła herbaty.

– Dobry pomysł – skinęła głową pani Otylia, która najwyraźniej podzielała poglądy cioci Herminy na radzenie sobie z przeciwnościami losu. – Niech ją pani wprowadzi do mnie. Właśnie zabierałam się do parzenia.

– To ja tylko powiem ojcu, że już jestem, i zaraz zejść – obiecała Dorota. Idąc na górę, karciała się za pchanie nosa w cudze sprawy.

I w dodatku znowu zostawi ojca samego.

Kiedy jednak w paru zdaniach powiedziała mu, czego była świadkiem, a nawet przyznała się do tego, że mimo woli sama wmieszała się w to zdarzenie, starszy pan pokiwał głową i orzekł:

– Posłuchałeś głosu serca. Dobrze zrobiłeś. Idź teraz do tej dziewczyny i zobacz, czy możesz być pomocna. Jeśli nie, to przynajmniej wysłuchaj jej i pomóż zrzucić ciężar z serca. Czasem człowiek, kiedy może się wygadać przed życzliwą duszą, sam znajduje wyjście z sytuacji.

– A twoja kolacja, tatusiu?

– Nie jestem głodny. Chętnie zaczekam, aż wrócisz. No, idź.

Dorota zmieniła jeszcze „służbowy” kostium na domową sukienkę, umyła ręce i szybko zeszła do pani Otylii.

Przy nakrytym koronkową serwetą stole siedziała młoda, może dwudziestoletnia dziewczyna, wycierając nos w dużą, kraciatą chustkę, którą zapewne dostała od gospodyni. Pomimo tego, że oczy miała od płaczu czerwone jak królik, policzki podpuchnięte, a włosy w nieładzie, widać było, że jest nieprzeciętnie ładna.

Dorota zajęła drugie krzesło przy stole, uśmiechnęła się i zapytała:

– Już lepiej?

Dziewczyna lekko skinęła głową i pociągnęła nosem.

– A gdzie pani Otylia? – Dorota próbowała podtrzymać rozmowę.

– W kuchni – odburknęła dziewczyna.

Dorota zaczęła odczuwać skrepowanie. Przecież widać, że ta

młoda osoba wcale nie potrzebuje jej współczucia. Dla porządku jeszcze zapytała:

– Czy mogę pani w czymś pomóc? Odpowiedzią był przeczący ruch głowy. Dorota podniosła się z krzesła.

– No to ja już sobie pójdę. Miło mi... – urwała, bo głupio jej było, w takiej sytuacji wygłaszać zdawkową formułę pożegnalną.

– No to do widzenia.

– Gdzie pani chce iść? – zatrzymał ją oburzony głos pani Otylii, która właśnie weszła do pokoju, niosąc tacę z imbryczkiem i filiżankami. – Miałyśmy razem wypić herbatę!

– Ale... Wydaje mi się, że nie jestem już potrzebna, więc wrócę do ojca.

– Co dwie głowy to niejedna – powiedziała starsza pani, stawiając tacę na stole. – Przy okazji mogłaby pani poznać drugą sąsiadkę, prawda, panno Belenburg?

Dorota zajęła znów swoje miejsce. Zostawiła dla siebie uwagę, że to nie jest najszcześniejszy moment na poznawanie sąsiadki. Pani Otylia rozlała herbatę, podsunęła obu dziewczynom cukier i wtedy zwróciła się do brunetki:

– No, Zuzanno, a teraz opowiadaj. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie ma o czym mówić. Nie dostanę tej roli, i tyle. Nie mam odpowiednich strojów. Do wyjść na scenę potrzebne są co najmniej dwie suknie na zmianę. A dodatki? A ten łobuz mówi, że nie może mi pożyczyć ani znaleźć kredytu, chociaż mnie zaprotegował reżyserowi...

– Do jakiej roli? – zainteresowała się Dorota.

– Hrabianki Stasi. – Widząc brak zrozumienia na twarzy pytającej, wyjaśniła: – W „Królowej czardasza”. Taka szansa! – jęknęła i znów podniosła chusteczkę do oczu.

– To cała ta rozpacz z powodu dwóch sukienek? – zapytała Dorota sceptycznie.

Dziewczyna wyczuła chyba leciutki ton lekceważenia w jej głosie, bo nagle wybuchnęła:

– To nie tylko o sukienki chodzi, proszę jaśnie panny! Także o

to, żeby mieć na komorne i na zapłacenie długu u rzeźnika, i podzelowanie butów, i... o przyszłość! O całą przyszłość! Może by mnie wreszcie zauważyli i dostałabym stały angaż? Ale co to pannę może obchodzić!

Gniew jakoś dodał jej animuszu. Już nie płakała, tylko przygryzła róg chusteczki i zamilkła.

Dorota poczuła, że policzki palą ją ze wstydu. Nie pomyślała, że dla tej dziewczyny jedna sukienka może znaczyć tak wiele. Że od jej posiadania może zależeć dostanie pracy i środków potrzebnych do przeżycia, szansa na powodzenie i lepsze życie. Poczowała w sercu bunt na niesprawiedliwość tego świata. Dla niej i jej koleżanek z pensji myślenie o strojach sprowadzało się do rozważania, co jest modne i w czym młoda dama będzie najkorzystniej wyglądała. Teraz nie miała głowy do tych spraw, ale wciąż jeszcze miała w szafie porządne rzeczy z lepszych czasów. Przypomniała sobie swoją piękną, długą suknię na pierwszy „dorosły” bal. Bładobłękitna, z połyskliwego jedwabiu, ozdobiona koronkami przy dekolcie. Do tego niebieskie atlasowe pantofelki...

O, Boże! Ta suknia leży przecież w kufrze, który zabrała z domu! Nawet go nie rozpakowała; nie miała ochoty go otwierać, bo wyciąganie każdej rzeczy budziło smutek. Leży tam, przełożona delikatną bibułą, z wszystkimi dodatkami... Jej pierwszy bal i to jedwabne wspomnienie po przetańczonej nocy, kiedy świat wydawał się taki czarodziejski...

No i co z tego, że ma tę suknię? To jej pamiątka, której nie pozwoli sprofanować w jakiejś operetce!

Tylko że wtedy ta zrozpaczona dziewczyna nie dostanie swojej życiowej szansy. A piękny strój bezużytecznie ze tleje w kufrze.

A może to znak od świętej Katarzyny?

Dorota zerwała się z krzesła, zdziwionym kobietom rzuciła tylko przez ramię – Zaraz wracam! – i pobiegła po schodach na mansardę. W nogach jej łóżka stał solidny kufer podróżny. Niewiele myśląc otworzyła go, rozgarnęła kilka warstw materiałów i wyciągnęła sukienkę. Strzepnęła ją i jedwab nabrał

życia. Z bocznej przegrody wyciągnęła pantofelki na francuskim obcasie, a potem przewiesiła sobie jeszcze przez ramię srebrzysty szal. Z tym wszystkim zeszła na dół.

Kiedy przewiesiła suknię przez oparcie krzesła, pani Otylia westchnęła tylko nabożnie: – Święci pańscy!

Zuzanna nic nie mówiła; siedziała nieruchomo, patrząc rozszerzonymi oczami na coś, co w pierwszej chwili uznała za miraż. To niemożliwe! To się nie zdarza takim jak ona, żeby nagle taki cud... Ostrożnie wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła sukni.

Była prawdziwa.

Dziewczyna podniosła pytające spojrzenie na Dorotę. Ta skinęła głową i dodała: – Mogę ją pani pożyczyć. Jeżeli pani odpowiada – dodała, nie wiedząc, jak sobie wytłumaczyć milczenie Zuzanny.

Nie zdążyła dokończyć zdania, bo dziewczyna wstała gwałtownie i prawie rzuciła jej się na szyję.

– Mów mi Zuza! – zawołała radośnie odmieniona, promieniejąca zachwytem. – Jezus Maria! Nie przypuszczałam, że z ciebie taka równa dziewczyna. Pani Otylia powiedziała mi, że jesteś prawdziwą hrabianką, więc myślałam, że będziesz zadierać nosa. A ty nie tylko chciałaś mnie pocieszyć, ale jeszcze własną suknię...

Zuza porwała strój z krzesła, przyłożyła do siebie i podeszła do lustra.

– Będę wyglądała, że no... pierwszorzędnie! Zbaranieją z wrażenia, zobaczycie! Chyba jest w sam raz na mnie, no, może troszeczkę trzeba będzie skrócić. Pozwolisz? Potem wszystko zrobię tak, jak było.

Dorota, która już pogodziła się z utratą sukni, a o pożyczeniu jej mówiła wyłącznie z grzeczności, żeby nie krępować dziewczyny kosztownym darem, skinęła głową.

– Może pani... możesz zrobić z nią wszystko, co konieczne. Tu jest do niej szal i pantofelki.

Pantofelki okazały się odrobinę za duże, ale to nie był żaden problem; można czubki wypchać watą. Szal natomiast,

kunsztownie upięty na starej sukni, odmieni ją nie do poznania. I będą dwa stroje!

Dorota uznała, że może się już pożegnać. Podziękowała pani Otylii, która dała jej dla ojca kilka świeżo upieczonych drożdżowych bułeczek, zawiniętych w nieskazitelnie białą, wykrochmaloną serwetkę.

Zuza, pochylona znów nad suknią, podniosła na nową przyjaciółkę rozjaśnione oczy.

– Nigdy ci tego nie zapomnę. Jak będziesz czegoś potrzebowała, to wal do mnie jak w dym.

– Dziękuję – odparła Dorota z uśmiechem. I życzę sukcesu.

– Nie wolno tak mówić, bo można zapeszyć! – zmarszczyła brwi Zuza. – Życz mi złamania karku.

– No to życzę. Bądź zdrowa.

Idąc do siebie Dorota czuła spokój i jakieś rozradowanie. Nie żałowała swego daru. Poczwała sympatię do tej szczerzej dziewczyny o żywiołowym temperamencie, która tak mocno umiała się martwić i cieszyć. Ją samą uczono panować nad uczuciami i chować je za parawanem dobrych manier. Trochę zazdrościła Zuzannie tej swobody bycia sobą.

No, ale opanowanie i formy towarzyskie też mają swoją wartość. Tak powiedziałyby zapewne ciocia Hermina. Ale ona nie zdobyłaby się chyba na to, żeby komuś życzyć złamania karku.

I to na scenie w operetce!

Następnego dnia, kiedy szła do pracy, przypomniła sobie, że czeka ją dziś wizyta u państwa Lebrottów. Ogarnęło ją niemiłe uczucie – ni to tremy, ni to niechęci. Jakoś nie ciągnęło jej na salony możnych i bogatych, szczególnie teraz, kiedy próbowała wejść w skórę samodzielnej, zarabiającej na siebie kobiety. No, ale nie było wyjścia, właśnie to zadanie stanowiło część jej nowej roli.

Tak była zamyślona wchodząc do bramy, że nawet nie rozglądnęła się za nieznanym. Nie pokazał się i coś jej mówiło, że dziś go nie zobaczy, ale to nic nie szkodzi. Może jutro...

Z marzeń wyrwał ją na dobre głos pana Bergera, który wydawał jej szczegółowe instrukcje dotyczące prezentacji klejnotów, a także środków ostrożności, które należy zachować podczas drogi tam i z powrotem.

Dorota kiwała głową, starając się zapamiętać rodzaje szlifu, oprawy i historię poszczególnych precjozów. Jedna z nich ją nawet zainteresowała.

– Ta kolia – mówił z nabożeństwem pan Berger – należała podobno do Cleo de Merode. Była jedną z najbardziej podziwianych kobiet w stolicy Francji epoki *fin de siecle*'u.

W roku 1890 otrzymała tytuł królowej piękności Paryża. Zakochał się w niej król Belgów, Leopold II i zaproponował jej – tu jubiler dyskretnie zniżył głos – rezydencję w Brukseli i willę w Ostendzie. Nie zgodziła się zostać królewską faworytą – głos pana Bergera zabrzmiał przyganą – wołała nadal tańczyć w operze. Tym niemniej przyjęła od zakochanego monarchy kilka dowodów uwielbienia, a ta szmaragdowa kolia to właśnie jeden z nich. – Z takim uśmiechem, jakby sam poczuł się obdarowaną gwiazdą, podniósł do światła kunsztownie opracione, migające zielenią kamienie.

– A jak pan wszedł w posiadanie tego klejnotu? – zainteresowała się Dorota. – Czyżby słynna tancerka, zakończywszy karierę, musiała wyzbywać się dowodów podziwu od swoich wielbicieli?

– Nic podobnego. Podczas pierwszej wojny światowej przekazała je na fundusz Czerwonego Krzyża. I wtedy zostały sprzedane na aukcji. Przeszły potem przez kilka rąk, ale to już nic szczególnie ciekawego. A ten drugi komplet pochodzi podobno z rodziny carskiej. Sprzedała go pewna wielka księżna, kiedy zdołała uciec przed rewolucją bolszewicką przez Finlandię i Szwecję. Podobno klejnoty były zaszyte w pluszowym misiu jej synka...

Dorota pokiwała grzecznie głową, nie bardzo wierząc w te opowieści. Przez okres pracy w tym sklepie przekonała się, że klienci płacą chętnie nie tylko za złoto, kamienie i piękno ich

połączenia, ale też za historie, które mogliby opowiedzieć podczas prezentacji nowego nabytku. Tak, klejnoty Romanowych to brzmi dumnie, nawet jeśli trzeba dyskretnie dodać słówko „podobno”.

Kwadrans po jedenastej przed sklep zajechał elegancki deimler z dwoma mężczyznami. Jeden, mocno zbudowany, który siedział za kierownicą, został przy samochodzie, rozglądając się czujnie, a drugi wszedł do sklepu. Dorota nacisnęła przycisk pod ladą i zaraz ukazał się pan Berger.

– Jestem Hans Lebrott – przedstawił się elegancki brunet.

– Mam panu doręczyć pełnomocnictwo od ojca i weksel gwarancyjny.

– Oczywiście, naturalnie – pan Berger z ukłonem przyjął szarą kopertę. – Proszę do mojego gabinetu. Acha, pozwoli pan, że najpierw przedstawię pana panie Dorocie von Belenburg, która pojedzie z panem, aby służyć radą pana szanownej matce.

Hans odwrócił się w stronę dziewczyny i pochylił nienagannie uczesaną głowę nad jej ręką.

– Jestem zaszczycony, mogąc panią poznać, panno von Belenburg – powiedział tak elegancko, że jego preceptor byłby z niego dumny.

– Mama mówiła mi o pani...

– Bardzo mi miło – odpowiedziała Dorota dziwiąc się, co też pani Lebrott miała do powiedzenia na jej temat.

Hans natomiast przyglądał się przyszłej synowej swojej matki. Nie mógł myśleć jeszcze o tej młodej kobiecie jak o kandydatce na swoją żonę.

Pierwsze wrażenie nie było najgorsze, chociaż dziewczyna wyglądała – jak na jego gust – trochę zbyt blado i zanadto solidnie. Ten szary kostium z białą bluzką, ta twarz bez makijażu, żadnej kokieterii w spojrzeniu... No, ale mogło być gorzej, bo przecież miała czarujący uśmiech i fantastyczną figurę. Mama ma rację, gdyby ją dobrze ubrać i oprawić w odpowiednie klejnoty, to byłaby no, no...

Refleksje te przerwał mu pan Berger, prosząc oboje do gabinetu. Tam z wielkimi ceregielami zapakował etui z biżuterią

do wyłożonego safianem kuferka. Zamknął go na małą kłódkę, ale klucz wręczył Dorocie.

– Powierzam pani pieczę nad tym skarbem – zażartował, choć oczy jego wyrażały niepokój. Wolałby sam eskortować te klejnoty.

– A panu – zwrócił się do Hansa – powierzam opiekę nad tą młodą damą i jej bagażem.

– Może pan być spokojny, oba pana skarby wrócą tu bezpiecznie – odpowiedział szarmancko Hans, dumny ze swojego refleksu. – Pozwoli pani, że wezmę jej bagaż? – zwrócił się do Doroty.

– Bardzo proszę – uśmiechnęła się mimo woli, bo nienaganne maniery młodego mężczyzny przypomniały jej dawnego nauczyciela tańca. Pan Lebonne wobec rozchichotanych dziewcząt, które uczył figur walca i kadryla, zachowywał się zawsze jak dworzanin króla Francji, Ludwika XIV. „Pani oczy, markizo, sprawiły, że umieram z miłości” – przypomniawszy jej się cytatem z Moliere’a, gdy wchodziła do auta, otwartego jej szarmancko tym razem przez szofera.

– Pozwoli pani, że usiądę obok niej? – zapytał Hans.

– Proszę – odsunęła się nieco w stronę okna.

Kiedy jechali przez miasto w stronę dzielnicy nowych domów, Hans starał się ją zabawić rozmową, pytając o upodobania literackie i zamiłowania artystyczne. Mama długo wbijała mu do głowy, że ma sprawiać wrażenie kulturalnego mężczyzny, który potrafi mówić o czymś więcej niż polityka i ostatnie konkursy hipiczne. Zgnębiony Hans poprosił o instrukcje swego kompana od męskich kolacyjek.

– Nie musisz wiele mówić – uspokoił go przyjaciel. – Każda z nich będzie konwersowała za siebie i za ciebie. Trzeba tylko zadać inteligentne pytanie, a potem słuchać i potakiwać. Będzie tobą zachwycona.

Tak więc Hans przygotował sobie kilka „inteligentnych pytań” i, na wszelki wypadek, przeczytał jeszcze recenzję z ostatniej premiery w Burgtheater. Ale teraz wyglądało na to, że cały jego wysiłek poszedł na marne, bo dziewczyna odpowiadała mu

monosylabami i wcale nie paliła się do mówienia za nich oboje. Najchętniej zresztą obserwowała mijane ulice.

Tak więc pod rezydencję Lebrottów zajechali w zgodnym milczeniu.

Samochód zatrzymał się przed ozdobnie kutą bramą i zatrąbił. Z przeciwnej strony pojawił się postawny mężczyzna i otworzył ją. Auto wjechało z miękkim szurgotem opon na zwirowaną alejkę, która kończyła się podjazdem pod dom. Kiedy zatrzymała się przed ozdobionym dwiema kolumnami wejściem, szofer wyskoczył, żeby otworzyć drzwi auta. Hans wysiadł pierwszy i dwornie podał jej ramię.

– Pozwoli pani, że zaprowadzę ją do saloniku matki.

Drzwi domu, ozdobione mosiężną kołatką w kształcie lwiej głowy, otworzyły się i dystyngowany lokaj z ukłonem wpuścił ich do wysokiego holu, z którego kręcone schody prowadziły na piętro.

– Szanowna pani czeka na państwa w malinowym saloniku – oznajmił i ruszył przodem, by gościowi wskazać drogę.

Dorotę trochę śmieszył ten napuszczony ceremoniał, z jakim przyjmowano skromną pannę sklepową. Ale może te wszystkie honory oddawano niesionym klejnotom?

Pani Lebrott wyszła parę kroków na jej powitanie.

– Jak to miło, moja droga... to jest panno von Bellenburg, że zgodziła się pani nas odwiedzić.

– Dziękuję za zaproszenie – odparła spokojnie Dorota, dziwiąc się trochę, ponieważ brzmiało to jak początek towarzyskiej wizyty, a nie prezentacji bądź co bądź, towaru.

Hans, który zdążył postawić kuferek na intarsjowanym stoliku, podsunął dziewczynie krzesło.

– Czy mogę być jeszcze w czymś pomocny? – Pytanie to skierował w przestrzeń między dwiema damami.

– Dziękuję, Hans, na razie zostaw nas same. Dołączysz do nas, gdy usiądziemy do herbaty, dobrze?

– Naturalnie, *maman* – odparł posłusznie syn i wyszedł z ulgą z saloniku, bowiem w roli nienagannego dżentelmena zaczynał już

czuć się jak w odrobinę za ciasnych butach. Nie chciał nawet, myśleć o tym, że niebawem, na placówce, będzie się musiał tak zachowywać przez cały czas.

Pani Laura z nieco przesadną serdecznością zwróciła się do Doroty:

– Może najpierw przymierzmy szmaragdy, żebyśmy potem mogły mieć trochę czasu na spokojną pogawędkę. Tak się cieszę, że będę mogła panią bliżej poznać!

Dorota uśmiechnęła się grzecznie. Bliższe poznawanie pani Lebrott nie było jej marzeniem, ale przypuszczała, że takie zwyczaje mogą obowiązywać przy sprzedaży klejnotów szczególnie poważanym klientom. Postanowiła więc stanąć na wysokości zadania.

– Naturalnie, jak pani sobie życzy – odpowiedziała, otwierając swoim kluczykiem kuferek. Wyciągnęła pierwsze etui, pokazując jego zawartość. – A więc ta kolia należała niegdyś – podobno – do Cleo de Merode. Miał to być prezent od króla Leopolda II.

– Od króla! – ucieszyła się pani Laura. – To musi być w najlepszym guście. Prawda? – Przyjrzała się kamieniom okiem znawcy. Owszem, niezłe. – Widzę, że ma pani jeszcze inne pudełka.

– Tak – Dorota otworzyła wszystkie i ułożyła na stoliku. – Ten klejnot pochodzi – podobno – z kolekcji Romanowych, a ten... jeśli zapamiętałam informacje pana Bergera... chyba był własnością książąt francuskich – powiedziała, starając się nie wikłać się w szczegóły, których dobrze nie zapamiętała.

Ale pani Lebrott też nie miała dzisiaj głowy do historii. Bardziej zajmowało ją najbliższe posunięcie.

Podniosła oczy na dziewczynę. Udając wahanie, zaczęła: – Nie wiem, czy mogę panią o to prosić, ale byłabym pani bardzo wdzięczna, gdyby się pani zgodziła...

– Słucham? – zachęciła ją uprzejmie Dorota.

– Chciałabym bardzo zobaczyć te klejnoty na pani. Tak z dystansu lepiej mogłabym się im przyjrzeć.

– Ależ... – zaczęła protestować dziewczyna, uważając, że

klientka może przecież do woli sama oglądać się w nich w lustrze, ale w porę ugryzła się w język. – Nie jestem odpowiednio ubrana – dokończyła przytomnie.

– Nic nie szkodzi – zapewniła ją ucieszona pani Laura. – Narzucę na panią moje futro i będzie widać tylko dekold.

– Jeśli to pani pomoże, to proszę – zgodziła się zrezygnowana Dorota.

Pani Lebrott wyszła szybko do sąsiedniego pokoju i zaraz wróciła, niosąc na ramieniu futro ze srebrzystych norek. Narzuciła je dziewczynie na ramiona, a potem sama zapięła jej na szyi szmaragdową kolia. Odstąpiła o parę kroków i przyjrzała się swojemu dziełu.

Panna wyglądała jak królewna. To było to.

– Taak... – powiedziała z namysłem – całkiem, całkiem. Ale zobaczymy wszystkie.

Każdy klejnot przymierzała do urody Doroty i za każdym razem efekt był zachwycający. Pani Laura poczuła się jak hazardzista, który dostał świetne karty do ręki. Teraz tylko spokój i mądre rozegranie. Uśmiechnęła się do dziewczyny i zdjęła jej futro z ramion.

– Przykro mi, jeśli panią zmęczyłam. Bardzo mi pani pomogła. Zanim jednak się na coś zdecyduję, chciałabym zapytać, który klejnot pani wybrałaby dla siebie?

Dorota zawahała się. Czy wskazać na najdroższą rzecz, czy też na najładniejszą? Sumienie kazało jej jednak powiedzieć prawdę.

– Ta kolia z kolczykami i bransoletą – powiedziała – ma najwyższą wartość, natomiast ten zestaw uważam za najpiękniejszy.

– Wskazała na klejnoty „francuskiego księcia”.

I w dodatku ma świetny gust – pochwaliła ją w duszy pani Laura, która wyjątkowo dobrze знаła się na biżuterii.

– Cieszę się, że jesteśmy tego samego zdania – powiedziała ciepło.

– Mnie też te szmaragdy od razu się spodobały.

– Czy nie chciałaby ich pani przymierzyć do swojej sukni?

– Och, nie! Zamówię dopiero suknię odpowiednią do nich. Już mam pomysł: srebrzysty jedwab, prosty krój... Ale ja panią pewnie nudzę! Dostyc już o tych błyskotkach! Porozmawiajmy przez chwilę o czymś innym. Wypijemy razem herbatę, dobrze?

– Będzie mi miło – skinęła głową Dorota, choć wolałaby już stąd wyjść i zawieźć panu Bergerowi pomyślną wiadomość.

Pani Laura podeszła do drzwi i pociągnęła szarfę dzwonka. Za chwilę weszła pokojówka w czarnej sukience, białym fartuszku i czepeczku.

– Co pani każe? – zapytała z szacunkiem.

– Można już podawać herbatę. I niech Luiza poprosi do nas panicza Hansa.

– W tej chwili, proszę pani – dygnęła pokojówka i cicho wyszła.

– Czy mogę już schować klejnoty? – zapytała Dorota.

– Tak. Ten garnitur niech pani zostawi. Napiszę bilecik do pana Bergera, że je biorę, a mąż załatwi sprawy finansowe.

Ledwie dziewczyna zamknęła kuferek, otworzyły się drzwi i zjawiała się pokojówka, pchając przed sobą stoliczek na kółkach. Była na nim srebrna zastawa do herbaty, filiżanki z miśnieńskiej porcelany i patera z herbatnikami.

– Z cukrem i śmietanką? – zapytała pani Laura, nalewając dziewczynie herbatę.

– Bez śmietanki, dziękuję. – Dorota ujęła kruchą filiżankę i z przyjemnością popatrzyła na delikatny niebieski wzór.

– Widzę, że pani zna się na ładnych rzeczach – powiedziała z uznaniem gospodyni. – Odkąd panią zobaczyłam w sklepie Bergera, zastanawiałam się, jak taka osoba z dobrego towarzystwa tam się znalazła... – Pani Laura zawiesiła głos czekając na odpowiedź dziewczyny.

Daremnie. Dorota uśmiechnęła się grzecznie i postanowiła potraktować te słowa jak konwencjonalny komplement. Ani jej w głowie było zwierzać się tej obcej osobie, choćby była najlepszą klientką. Zresztą serdeczność pani Lebrott budziła w niej nieufność, choć nie podejrzewała, jakie zamysły się za nią kryją.

Pani Laura odnotowała w myślach następny punkt dla dziewczyny. Jest dyskretna, a więc bardzo odpowiednia na żonę dyplomaty. – Nie szkodzi, kochaneczko, że nie chcesz mówić; za tydzień będę wiedziała, jak się nazywała z domu twoja prababcia – pomyślała. Właśnie miała podjąć inny temat, kiedy wszedł Hans i przyłączył się do pań.

– Sezon teatralny zbliża się do końca – zaczął ku zadowoleniu matki. – Która z ostatnich premier podobała się pani najbardziej?

– zwrócił się do Doroty.

– Nie bywałam nigdzie ze względu na żalobę – odparła krótko.

– Tak mi przykro – pospieszyła w sukurs synowi pani Laura.

– Ale może wybrałaby się pani z nami na koncert w przyszłą niedzielę? Przyjechał Fiodor Szalapin, ten bas, wie pani. Będzie śpiewał na koncercie dobroczynnym w operze. Cały Wiedeń wybiera się, by go posłuchać. Pójdiesz z nami, prawda, Hans?

Syn posłusznie skinął głową, choć skóra mu cierpła na myśl o nudach, jakie będzie musiał wycierpieć. Trudno, odbije to sobie potem na wesołej kolacyjce.

– Dziękuję pani za miłe zaproszenie – odparła Dorota – ale w niedziele dotrzymuję towarzystwa ojcu i nigdzie nie bywam.

– Ależ szanowny ojciec pani też jest zaproszony! Mamy wykupioną lożę. Hans przyjedzie po państwa autem.

Dorota milczała zakłopotana. Z jednej strony nie miała ochoty na towarzystwo pani Lebrott i jej ugrzecznionego syna, z drugiej perspektywa jakiejś godziwej rozrywki dla ojca wydała jej się kusząca.

Zazwyczaj w niedziele po południu pomagała ojcu zejść ze schodów i powoli szli razem do pobliskiego parku, siadali na ławce i przyglądali się ludziom ubranym odświętnie i spacerującym wolnym krokiem wokół niedużej fontanny z posągami Neptuna. Prawdę mówiąc, to były bardzo smutne chwile dla nich obojga. Czuli się jak wygnańcy z bujnej przyrody, która otaczała ich siedzibę. Nie pasowali ani do tej ławki, ani do przechodzących mimo ludzi. Dlatego ze skrywaną ulgą wracali oboje do trochę dusznego mieszkanka. Zachód słońca nad

dachami miasta był dla nich jedynym atrakcyjnym spektaklem, który wspólnie oglądali.

– No więc zgoda? – wyrwało dziewczynę z zamyślenia pytanie pani Lebrott.

– Musiałabym się porozumieć z ojcem... – odparła z wahaniem.

– Oczywiście. Hans jutro zajedzie do pani do sklepu po odpowiedź. Przy okazji ureguluje należność dla pana Bergera. Dobrze?

Dorota skinęła głową. Do jutra coś wymyśli. A może ojciec nie będzie chciał zmieniać ich niedzielnego programu? Czując, że już wypada się pożegnać, podniosła się z krzesła.

– Chyba się zasiedziałam. Dziękuję pani, muszę wracać do pracy. Pani Laura nie zatrzymywała jej. Uznała, że tego ptaszka trzeba oswajać stopniowo. Wyciągnęła upierścienioną rękę i uśmiechnęła się uprzejmie.

– To ja pani dziękuję, panno Belenburg. Mam nadzieję, że niebawem się zobaczymy. Hans, oczywiście, odwiezie panią do sklepu.

Hans posłusznie wziął kuferek z biżuterią i otworzył przed Dorotą drzwi. W drodze powrotnej zdążył ją jeszcze poinformować o otwarciu wystawy malarstwa w Muzeum Secesji (przeczytał o tym w dzisiejszej gazecie), co wzbudziło jej zainteresowanie. Interesowała się współczesnym malarstwem, choć najbardziej lubiła mistrzów holenderskich i ich mocne, pełne mrocznej poezji pejzaże.

– To interesujące. Chętnie się wybiorę – powiedziała. Tu Hans zobaczył szansę dla siebie.

– Czy pozwoliłaby pani towarzyszyć sobie podczas zwiedzania? Będę zaszczycony, jeśli podzieli się pani ze mną swoimi wrażeniami.

Lepiej nie można było tego ująć.

Dorota podziękowała enigmatycznym skinieniem głowy. Wcale jej się nie uśmiechało zwiedzanie wystawy w towarzystwie tego ulizanego bubka, ale – jak mówiła ciocia Hermina – męska asysta jest potrzebna do wypraw za miasto, więc może lepszy rydz niż

nic? Zwłaszcza że bubek to mu trzeba było przyznać – zachowywał się nienagannie i traktował ją z najwyższym szacunkiem.

Hans z kolei z ulgą przyjął tę niewyraźną zgodę. Można będzie powiedzieć *maman*, że zrobił postępy, ale na efekt trzeba będzie poczekać. Zresztą wolałby nawet milczące snucie się po salach muzeum niż na przykład wymagające konwersacji zaproszenie na przejażdżkę.

Kiedy zajechali pod sklep, odprowadził dziewczynę do gabinetu pana Bergera. Żegnając się, przypomniał, że nazajutrz przyjedzie po odpowiedź w sprawie koncertu.

Pan Berger był nieco zaintrygowany, słysząc to, ale dobre wychowanie nie pozwoliło mu wypytywać pracownicy, zwłaszcza że ta nie wyglądała na chętną do zwierzeń. Poinformowała go krótko o decyzji pani Lebrott, oddała kluczyk i wróciła na swoje miejsce za ladą.

Popołudnie wlokło się niemiłosiernie: zrobiło się duszno jak przed burzą. Istotnie, burza nadciągnęła nad miasto, właśnie kiedy Dorota wracała do domu. Nagle pociemniało, po ostrym błysku nad miastem przetoczył się grzmot i duże krople deszczu zaczęły padać na chodnik, szybko przechodząc w ulewę. Dorota schroniła się w pobliskiej bramie, która przygarnęła również paru innych przechodniów. Gdyby nie to, że spieszyła się do ojca, potraktowałyby ten przymusowy postój jako urozmaicenie. Chciała jednak wrócić do domu jak najprędzej, dlatego kiedy przeszła najgorsza ulewa, pozostawiając po sobie jeszcze drobny deszczyk, pierwsza opuściła bramę, starając się iść tuż przy murach domów, chroniona przez ich dachy.

Właśnie zastanawiała się, jak przejść na drugą stronę ulicy, kiedy nad jej głową pojawił się duży, męski parasol, a przyjemny, nieco chropawy głos zapytał:

– Czy mogę pani pomóc?

Dorota odwróciła głowę i nagle stanęła jak wryta. Uśmiechała się do niej przystojna męska twarz, a niebieskie oczy patrzyły na nią ciepło i z wyraźnym zachwytem. Ona zaś poczuła, że się

czerwieni. Nie wiedziała, czy może przyjąć towarzystwo nieznajomego, kiedy on przejął inicjatywę.

– Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Maks Siefert. Pracuję tu niedaleko, w kancelarii adwokackiej mecenasa Reissa. Czy mogę odprowadzić panią do domu?

– A skąd pan wie, że idę do domu?

– Nieraz widziałem panią, idącą tędy o tej porze. Dokąd może wracać kobieta po dniu pracy?

– To pan wie, że pracuję? – podtrzymała ten . trochę przekorny dialog Dorota, kiedy już zaczęli razem iść w stronę jej domu.

– Oczywiście, u jubilera Bergera.

Dorota przypomniała sobie fiołki na kłamce, ale nie odważyła się podziękować za nie. A może to nie był on? Jeśli nie, to tylko się wygłupi.

– I co pan jeszcze o mnie wie?

– To, co najważniejsze: że jest pani piękną i pełną wdzięku kobietą.

Dorota poczuła się nieswojo. Odruchowo odsunęła się od mężczyzny. Ten widocznie wyczuł jej skrępowanie, ponieważ pospieszył z wyjaśnieniem:

– Proszę mi wybaczyć, ale sama mnie pani zapytała. Zapewniam panią, że nie zamierzałem być natrętny. Już będę milczał. Proszę mnie uznać za nieistotny dodatek do parasola.

Dorota uśmiechnęła się mimo woli. Temu Maksowi Siefertowi też nie brakowało wdzięku. Przez chwilę szli w milczeniu. Deszcz już prawie przestał padać, ale żadne z nich tego nie zauważyło. Dziewczyna wciągnęła pełną piersią pachnące mokrym asfaltem powietrze i nagle wszystko wydało jej się piękniejsze, bardziej kolorowe. Szła przez zaczarowane miasto, pełne cudownych możliwości i mogłaby tak iść bez końca. Jaka szkoda, że ich wspólna przechadzka już się kończy!

Przed bramą swojej kamienicy stanęła i zwróciła się do swego towarzysza: – Dziękuję panu za uprzejmość. Tu już pana pożegnaj. Do widzenia. – Podała mu rękę, nad którą pochylił się szarmancko, ale nie przedłużał uścisku.

– Mam nadzieję, że będę miał przyjemność jeszcze kiedyś spotkać panią... Oby następna burza przyszła jak najprędzej!

Dorota przez chwilę popatrzyła mu w oczy. Poczowała dojmującą chęć, żeby jak najlepiej zapamiętać tę twarz i tę chwilę.

Potem odwróciła się i weszła do bramy.

Szła po schodach, pieszczotliwie gładząc poręcz i uśmiechając się do mijanych drzwi. Kiedy przechodziła koło mieszkania Zuzy, usłyszała radosny śpiew i pomyślała, że chyba święta Katarzyna im obu wyjednała spełnienie życzeń.

Kiedy weszła do mieszkania, ojciec od razu wyczuł jej radosny nastrój, ale o nic nie pytał, czekając, aż sama mu opowie, co się wydarzyło.

Córka zdała mu relację z wizyty w domu Lebrottów i przekazała zaproszenie na koncert. O Maksie, oczywiście, nie wspomniała ani słowa. Zresztą o czym tu mówić? Jakiś uprzejmy nieznajomy użył jej parasola w czasie deszczu, i tyle.

Dlatego też pan Herman skojarzył jej radosny nastrój z wizytą u pani Laury, a raczej z poznaniem Hansa. Pewnie dziewczyna cieszy się na ponowne spotkanie go. Postanowił dopomóc jej w tym i choć nie miał wielkiej ochoty, wyraził gotowość do pójścia na koncert.

– Nigdzie nie bywasz, najwyższy czas, żebyś się trochę odprężyła. Doprawdy to uprzejme ze strony pani Lebrott, że nas zaprasza. Ja też chętnie posłucham dobrej muzyki. Ostatnio słuchałem Szalapina w Salzburgu, kiedy byliśmy tam razem z twoją matką... – głos mu się załamał i urwał.

Dorota bez słowa pogładziła delikatnie rękaw jego marynarki, nie próbując go pocieszać. Wiedziała, że żadne słowa tutaj nie pomogą. Potem poszła przygotować kolację.

Stała nad kuchenką i ze zdumieniem zobaczyła porządny emaliowany rondel pełen czegoś apetycznie pachnącego.

– Tatusiu, widzę tu jakieś „stoliczku nakryj się”. Czyżbyś zaczął bawić się w kucharza?

– Skądże! – głos ojca brzmiał już pewnie i żartobliwie. – Zawdzięczamy to naszej miłej sąsiadce.

– Pani Otylii?

– Właśnie. W porze obiadu, kiedy zabierałem się do podgrzania sobie naszego rosółu, usłyszałem dyskretne pukanie do drzwi. Otworzyłem i poznałem gospodynię z Hellenrau! Nawet nie bardzo się zmieniła. Zaprosiłem ją do środka, zapytałem, jak jej się powodzi i od słowa do słowa zaczęliśmy wspominać stare czasy, a właściwie dawne uczyty... W pewnej chwili ona mówi: „Panie hrabio, nie śmiem być nachalna, ale ugotowałam dobre zraziki, może by pan hrabia wstąpił w moje skromne progi na małą przekąskę? Po starej znajomości... „. No to powiedziałem, że muszę się przebrać na wizytę, a ona uradowana wróciła do siebie. Jakoś zszedłem tych kilkanaście schodów no i zostałem przyjęty jak król. Pani Otylia nie usiadła ze mną, tylko stała pod kredensem i patrzyła zachwyconym wzrokiem, jak jem. Wychodziła tylko do kuchni, żeby mi podsunąć jakiś smakołyk. Dopiero herbatę zgodziła się wypić ze mną przy stole, ale i to siedziała na brzeżku krzesła, jakby to ona była z wizytą u mnie, a nie ja u niej. Odprowadziła mnie do mieszkania i jeszcze przyniosła dla ciebie to. Nie wiem, jak jej się zrewanżuję...

– Och, zaprosimy ją gdzieś, tatku! Za sprzedaż szmaragdów pani Lebrott dostanę prowizję, więc będziemy mogli poszaleć w jakieś kawiarni.

Dorocie wszystko wydawało się tego wieczoru łatwe i możliwe.

Szybko posprzątała mieszkanie, bowiem spodziewali się zamówionej wcześniej wizyty doktora Feldmanna. Siwy lekarz przyszedł nieco spóźniony; z jego dość niewyraźnie wymamrotanego usprawiedliwienia usłyszeli, że musiał wcześniej sprawdzić stan chorej na suchoty żony dozorca. Dorota widywała ją czasem – bladą kobietę z zapadniętą piersią, która pilnowała bawiącej się na podwórku szczupłej i anemicznej dziewczynki.

Doktor wszedł do pokoju chorego, zamykając za sobą drzwi. Pojawił się po prawie półgodzinie i poprosił o możliwość umycia rąk. Dorota naląła wody do miednicy i podała mu czysty ręcznik, a kiedy lekarz oddawał go jej, zapytała cicho:

– I co, panie doktorze? Jak pan ocenia stan ojca?

– No cóż, mogło być gorzej. W tych warunkach trudno o radykalne leczenie, ale widzę w nim wiele woli życia, więc... – lekarz zawiesił głos i potarł ręką brodę. – Dobrze by mu zrobił wyjazd na wieś, niekoniecznie do uzdrowiska, byle z dala od miasta. W czasie letnich upałów może odczuwać większe dolegliwości, zwłaszcza tu, na poddaszu. A jeśli wyjazd nie jest możliwy, to proszę dbać o rozwieszanie w słoneczne dni mokrych prześcieradeł, żeby powietrze w pokoju nie było zbyt suche. Zajrzę tu za dwa tygodnie. Tu ma pani receptę. To niekonieczne – dodał widząc, że dziewczyna wyciąga do niego rękę z kopertą.

– Ależ bardzo proszę! Pańskie honorarium – stanowczo zaprotestowała Dorota.

Lekarz nie wzbraniał się więcej widząc, jak bardzo jej zależy na zachowaniu pozorów normalności. Uśmiechnął się przypominając sobie, że najczęściej zalegała mu z zapłatą bogata mecenasowa z sąsiedniej kamienicy, która w dodatku wzywała go przeważnie zupełnie niepotrzebnie, po to tylko, żeby zrobić odpowiednie wrażenie na swoim mężu i wymusić na nim kolejne ustępstwo. Przecież chorej kobiecie nie można niczego odmówić, prawda? Staremu lekarzowi było czasem wstyd, że uczestniczy w tej komedii i postanowił któregoś dnia poradzić adwokatowi, żeby trochę przykrócił cugli szanownej małżonce.

– Może pan zostanie z nami na filiżankę herbaty? – zapytała dziewczyna.

– Nie, dziękuję. Muszę jeszcze zajrzeć do waszej sąsiadki, pani Kluge.

– To pani Otylia zachorowała? Tak mi przykro! Muszę do niej wpaść i zapytać, czy czegoś nie potrzebuje.

– To nie jest nagle zachorowanie. Opiekuję się nią od dłuższego czasu. Jej też codzienne chodzenie na trzecie piętro nie służy, ale kiedy ją namawiam, żeby zamieszkała gdzieś na parterze, najwyżej na pierwszym piętrze, to się oburza i mówi, że starych drzew się nie przesadza. No cóż, każdy ma prawo wybierać sobie i własne życie, i drogę na tamten świat. Dobrze, kiedy można

mówić o jakimś wybieraniu. Żona dozorczy musi się pogodzić ze swoją chorobą, bo nie ma żadnej szansy na poprawę. No trudno... Dobranoc, panno Belenburg.

Kiedy lekarz wyszedł, Dorota przypomniała sobie świszczący oddech pani Otylii i jej odpoczywanie po większym wysiłku. Domyśliła się, że to niedomaganie serca sprawiło, że doktor Feldmann włączył ją do grona swoich pacjentek. Poczowała żal, że ta dobra, serdeczna kobieta sama musi sobie radzić ze swoją chorobą i słabością. Zaczęła się zastanawiać, czy może jej w czymś pomóc. Może noszenie zakupów? Wynoszenie śmieci? Jak to zaproponować, żeby jej nie urazić?

Głos ojca z sąsiedniego pokoju przywołał ją do rzeczywistości. Boże, wyjazd na wieś! Jak to zorganizować? I za co?

Dopiero kiedy położyła się spać, wróciło do niej wspomnienie wieczornego spaceru u boku Maksa. Maks! Jak miło było przywołać jego imię. Przypominała sobie każdy szczegół ich spotkania i czuła się tak, jakby na czarnym aksamicie nocnego nieba widziała nie pojedynczą gwiazdę, ale największy błękitny brylant świata: „Hope” – Nadzieję. Była piękniejsza niż wszystkie klejnoty Romanowów!

Nazajutrz jedynym urozmaiceniem dnia była wizyta Hansa Lebrotta w sklepie. Zgodnie z zapowiedzią przywiózł czek za kupiony przez matkę szmaragdowy komplet.

Przywitał się z Dorotą, jakby była już jego znajomą.

– Czy możemy liczyć na towarzystwo pani i jej szanownego ojca na koncercie?

– Dziękuję, z przyjemnością skorzystamy z państwa zaproszenia – odparła grzecznie Dorota. Jej głos nie tchnął jednak szczególnym entuzjazmem.

– To wspaniale! *Maman* bardzo się ucieszy... To jest, chciałem powiedzieć, że przede wszystkim ją jestem uszczęśliwiony. – W jego głosie też trudno było usłyszeć jakiś szczególnie serdeczny ton. Może właśnie dlatego Dorota czuła się przy nim dość spokojnie; jakby intuicyjnie wyczuwała, że ten młody mężczyzna w niczym jej nie zagraża.

Kiedy wyszła z pracy, rozglądnęła się dyskretnie, ale nie dostrzegła znajomej sylwetki. Do domu szła trochę wolniej, jakby chciała dać szansę Maksowi na spotkanie jej. Nadaremnie. Kiedy wchodziła po schodach, ogarnęło ją przygnębienie. Znowu to samo – cztery piętra, sprzątanie, gotowanie, sen. Czy nigdy nie będzie inaczej? Czy nic się w jej życiu nie odmieni?

Ojciec wyczuł, że jest przygnębiona, ale nie chciał jej wypytywać. Może to jakieś sekrety serca, które przeżywa pierwsze uczucie? Jaką szansę na szczęśliwy związek ma teraz jego córka? Nie wątpił, że pomimo braku posagu i porzucenia swojej sfery Dorota nadal może oczekiwać małżeństwa z solidnym i uczciwym mężczyzną. Ale gdzie może go spotkać, skoro – poza pracą – prawie nie wychodzi z domu? Znają tu tylko dość dalekich krewnych, do których wciąż nie mogą się wybrać z kurtuazyjną wizytą. Panny w jej wieku bywają na podwieczorkach z tańcami, przyjęciach, premierach i balach. Wszędzie mają szansę na poznanie wolnych mężczyzn: braci czy kuzynów koleżanek, ich przyjaciół i tak dalej. Jak mógłby jej to umożliwić? Gdyby nie ta przekłeta choroba, to schowałby dumę do kieszeni i złożył wizyty w paru domach, które znał z dawnych czasów, ale tak? Nie ma mowy. Chodzi podpierając się laską i nie każdego dnia ma siłę, by zejść te cztery piętra.

już ich niedzielne spacerunki do parku są dla niego wystarczająco męczące. Przypomniawszy sobie, że czasem, gdy mijali wolno pomnik Goethego, myślał, że słynny poeta miał starość lepszą niż on. Za to koło pomnika Mozarta, który zmarł młodo, dziękował Bogu, że nadal może patrzeć na ten świat. Wciąż jeszcze potrafił się nim cieszyć i podziwiać go; może nawet teraz bardziej intensywnie i głęboko.

Kiedy był młody, wciąż gdzieś się spieszył. Jutro wydawało mu się bardziej godne pożądania niż dzień dzisiejszy. Żył marzeniami, planami nowych przedsięwzięć. Tylko chwile, które spędzał ze swoją narzeczoną, potem żoną, zapamiętał jako pełne czułości

przystanki w tej podróży. Wtedy odnosił wrażenie, że czas stanął, i było mu z tym dobrze. Dziwne, dzisiaj prawie nie pamięta, za czym tak podążał przez wiele pracowitych dni, natomiast kiedy zamykał oczy, wiedział kosmyk jasnych włosów, prześwietlony słońcem, kiedy w „pokoju ogrodowym” jedli razem śniadanie, blask jej oczu, kiedy witała go powracającego skądś do domu, pochylenie głowy, kiedy słuchała jego relacji z mijającego dnia.

Jakie to było odległe, a jednak wciąż żywe!

Przez otwarte drzwi swojego pokoju obserwował krzątającą się córkę. Przypomniała mu się nagle chwila, kiedy pierwszy raz wziął ją na ręce. Niedługo po porodzie jego żony, kiedy on sam już wydeptał ścieżkę na dywanie w swoim gabinecie, uśmiechnięta teściowa oznajmiła mu: „Mamy piękną córeczkę, możesz, mój drogi, wejść do nich na chwilę”. Wszedł, starając się zachowywać cicho, jak do świątyni, w której odbyło się wielkie misterium. Powitał go uśmiech Anny i jej oczy, które miały dziwnie świetlisty blask. Bez słowa podała mu nieduże zawiniątko. Ujął je troskliwie, bojąc się uszkodzić coś w tej maleńkiej istotce. – Witaj na Ziemi, córeczko – powiedział wzruszony. – Będę się tobą opiekował.

Potem znów stanął mu przed oczami inny obrazek: mała, rezolutna dziewczynka prowadzi go od stołu do fotela, wdrapuje mu się na kolana i żąda opowiedzenia „ślicznej historii”. Ponieważ repertuar bajek miał ograniczony, zaczął wkrótce opowiadać jej niektóre historie biblijne, mity greckie, epizody z historii starożytnej i średniowiecznej. Dorotka słuchała go uważnie; niektóre opowieści, o których powtarzanie prosiła, znała prawie na pamięć i poprawiała go, kiedy opuścił jakiś szczegół.

Jakie to były historie? Już prawie zapomniał. Aha, jedna była o Alberyku, królu elfów.

– Pamiętasz jeszcze nasze bajki? – powiedział ni to do córki, ni to do siebie. – Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, w ciemnym lesie żył sobie Alberyk, król elfów.

– W wyłożonej ciemnozielonym mchem pieczarze – dobiegł go głos Doroty.

– Był synem czarodziejki i dzielnego wojownika, ale urodził się jako garbaty karzeł. Los dał mu za to piękne oblicze i zdolność przenoszenia się w dowolne miejsce.

– Tatku, pokręciłeś! Los dał mu za to piękne oblicze, zdolność czytania w sercach i umysłach ludzi...

– Tak, tak... Alberyk znalazł też sekrety rajów i potrafił usłyszeć głos aniołów. Pewnego dnia przez jego las przejeżdżał dzielny rycerz Hugon. Alberyk wyczytał w jego myślach, że jest zrozpaczony, bo został skazany na śmierć przez cesarza i może zostać ułaskawiony...

– Zapomniałeś? Został skazany na śmierć, bo broniąc się zabił jego syna.

– Aha, i może zostać ułaskawiony, jeśli uda się na dwór emira Babilonu i ucałuje trzy razy jego córkę. I co dalej?

– I przywiezie wąsy rycerza, który ją strzeże.

– Taak... Król elfów postanawia pomóc rycerzowi i wyruszają razem w daleką i niebezpieczną podróż...

– Przez siedem rzek i jezior, za wielkie morze, potem przez pustynię pełną dzikich zwierząt...

– Gdzie w oazach spotkać można dzikich wojowników.

I tak przypomnieli sobie całą bajkę, w której dzielny rycerz, wspomagany przez Alberyka, pokonuje wszystkie przeszkody i żeni się z piękną królewną, a potem...

– Żyli długo i szczęśliwie i mieli dużo dzieci – zakończyli chórem i uśmiechnęli się do siebie.

Dorocie wydało się, że sople lodu, który czuła w piersi, topnieje pod wpływem tej starej, dobrej bajki o królu elfów, który sprzyjał wzajemnej miłości, a sam bardzo kochał swą małżonkę, Tytanie. Pod wpływem nagłego impulsu podeszła do ojca i przytuliła głowę do jego ramienia.

– Jak to dobrze, że jesteś, tatku! Nie wiem, co bym bez ciebie – zrobiła – powiedziała cicho i trochę speszona tym odruchem wróciła do swoich zajęć.

Jej ojciec najpierw uśmiechnął się, wzruszony, ale po chwili z troską zmarszczył brwi. A co będzie, jeśli go zabraknie? Kto

wtedy będzie dla jego córeczki wsparciem i towarzyszem? Postanowił zrobić, co w jego mocy, aby wprowadzić ją w świat. Na wszelki wypadek trzeba by też nauczyć ją żyć samej, choćby przez krótki czas na początek...

Następnego dnia była sobota. Tego dnia pan Berger zamykał sklep nieco wcześniej. Dorota, wracając do domu, znów zaszła na chwilę do kościoła, przed ołtarz „swojej” świętej. Prosiła ją o spokój serca, bo Maksa znowu nie było. Kto to widział uzależniać swój dobry nastrój od pojawienia się prawie nieznanego mężczyzny, który raz podarował jej bukiet fiołków i osłonił ją parasolem? A jednak serce nie chciało posłuchać głosu rozsądku; czuło się smutne i opuszczone.

Oczy świętej patrzyły ze zrozumieniem na zakochaną dziewczynę, która nawet przed sobą jeszcze nie umiała przyznać, że ten niepokój i radość na przemian które odczuwa od niedawna, zwiastują nadejście miłości. Zresztą, skąd miała o tym wiedzieć? Była zakochana po raz pierwszy w życiu.

Pod wieczór, zgodnie z umową, Dorota przyszła do pani Otylii na pierwszą lekcję gotowania. Pamiętając słowa doktora Feldmanna, zaraz po przywitaniu się zapytała:

– Jak się pani dzisiaj czuje? Może odłożymy gotowanie na kiedy indziej?

– A jak mam się czuć? Normalnie. Dlaczego pani pyta? Dorota nie chciała przyznać, że wie coś od starego lekarza, więc odparła wymijająco: – Duszno dzisiaj, słyszałam, jak niektórzy ludzie narzekali na złe samopoczucie.

– No właśnie. Ci, co stękają, czują się najgorzej. Nie ma co narzekać. Od tego zdrowie się nie poprawia. Ja tam sobie zaparzyłam naparstnicy z miętą i nic mi nie jest. No to zaczynajmy. Herbatę wypijemy później.

Pani Otylia zaprowadziła dziewczynę do swojej kuchni. Była przestronna, z oknem wychodzącym na podwórko. Stał w niej solidny kredens z przeszklonymi górnymi drzwiczkami. W rogu była kuchnia na węgiel z piekarnikiem, pod ścianą stół i dwa

krzesła. Na dwóch półkach biegnących nad stołem stały w porządnym szeregu miedziane rondle, młynek do kawy i moździerz. Nad nimi wisiał nieduży obrazek z wizerunkiem świętego Józefa. Ściany białe w delikatny niebieski wzorek. Pachniało czystością i dobrym jedzeniem.

Dorota przysiadła na krześle pod oknem.

– Jak tu przyjemnie! – powiedziała z zachwytem.

– Pewnie! Kuchnia to serce domu. Jak tu jest przyjemnie, to w całym domu dobrze się żyje. Kupiła pani wszystko, co powiedziałam?

– Myślę, że tak. – Dorota zaczęła wyjmować produkty z torby.

– Wołowina, kapusta, cebula, słoninka, pieprz, goździki.

– Soli mamy pod dostatkiem – skinęła głową pani Otylia. – Na początek nauczę panią czegoś prostego, co można przyrządzić z dnia na dzień. Jedno danie z wołowiny.

– Ja do tej pory¹ robiłam właśnie jedno danie z wołowiny – zaprotestowała nieśmiało Dorota. – Myślałam o czymś bardziej wyszukanym, jak te pani szparagi w beszamelu. Chciałam ojcu zrobić niespodziankę.

– I robi pani. Wołowina po meklembersku to bardzo dobre danie. Szparagów w beszamelu nie można robić z dnia na dzień. Zaczynamy.

Dziewczyna bez słowa sprzeciwu zaczęła wykonywać polecenia doświadczonej gospodyni. Umyła i pokroiła mięso na małe kawałki; wrzuciła je na osolony wrzątek do gotowania. Pokroiła na ćwiartki kapustę i ją też gotowała przez kwadrans. Potem wyłożyła rondel słoninka i kiedy – po godzinie – mięso było już prawie miękkie – zaczęła warstwami układać wołowinę, kapustę (wypukłą stroną w górę!) i cebulę. Doprawione solą, pieprzem i paroma goździkami. Zalane rosołem z gotowania mięsa. Kiedy po ponad godzinie rondel stanął na piecu, żeby potrawa dusiła się jeszcze przez godzinę, Dorota miała rozpalone policzki, rozburzone włosy, jeden palec skaleczony nożem, a na stole piętrzyła się góra naczyń do umycia. Jednak dziewczyna dzielnie zabrała się za mycie i sprzątanie kuchni pod aprobującym

spojrzeniem pani Otylii, która w niczym jej nie wyręczała, jedynie wspomagała od czasu do czasu praktyczną uwagą...

Dopiero kiedy kuchnia z powrotem wyglądała jak poprzednio, a na piecu bulgotała przyjemnie pachnąca potrawa, gospodyni powiedziała:

– No, będą z pani ludzie, panno Belenburg...

– Proszę mi mówić po imieniu – wtrąciła Dorota.

– Dziękuję. A więc, panno Doroto, jak na początek to wcale nieźle. Oczywiście, to jest najprostsze danie, przy którym prawie nie ma co robić. Potem zacznie pani przygotowywać potrawy bardziej wyszukane.

Dziewczyna podniosła do ust skaleczony palec. – No, jeżeli to było najprostsze, trzeba będzie przed następną lekcją zaopatrzyć się w butelkę jodyny i bandaże – pomyślała z wisielczym humorem. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że przez ten czas ani razu nie miała czasu pomyśleć o Maksie i jego nieobecności.

Oprócz lekcji gotowania otrzymała też naukę, że wykonywana z sercem praca jest dobrym lekarstwem na sercowe kłopoty.

Na zaproszenie pani Otylii usiadła z nią w pokoju przy herbacie i ciście cytrynowym (przepis miała dostać następnym razem). Teraz przyszła stosowna pora na odwzajemnienie uprzejmości.

– Chciałam pani serdecznie podziękować za zaproszenie ojca na obiad i kolację dla mnie. Byłoby nam bardzo miło, gdyby zechciała pani przyjąć nasze zaproszenie jutro na kawę i lody po południu. Zazwyczaj w niedziele wychodzimy z ojcem na spacer do parku, tu niedaleko, więc może pani dołączy do nas? Bardzo proszę.

Pani Otylia przez chwilę jakby wahała się, ale jej twarz rozjaśniła się z zadowolenia. Co to znaczy mieć do czynienia z ludźmi na poziomie!

I sam pan hrabia zapraszają na kawę! No i co? Wiedziała, co robi, kiedy upierała się zamieszkać w porządnej dzielnicy, choćby i na trzecim piętrze. Tu można znaleźć się w odpowiednim towarzystwie.

Jedyną słabością tej zacnej niewiasty było jej zapatrzenie się w

„wyższe sfery” i głębokie przekonanie, że muszą się one składać z jakiejś lepszej odmiany ludzi, a kontakt z nimi bez wątpienia uszlachetnia i nobilituje.

– Bardzo to uprzejme z państwa strony. To dla mnie wielki zaszczyt... – i tu już zabrakło jej słów, którymi mogłaby oddać swoje ukontentowanie.

Nazajutrz po obiedzie, który pan Herman zjadł ze smakiem, wychwalając kulinarny talent – swojej córki, kiedy słońce nieco się zniżyło, ruszyli na spacer. Pani Otylia już czekała gotowa, wystrojona w elegancką, popielatą, jedwabną suknię. Kobiety dostosowały tempo spaceru do kroków starszego pana, który szedł wolno, podpierając się laską. Na szczęście do parku było niedaleko. Przy końcu szerokiej alei wysadzonej lipami, obok stawu, po którym pływały dzikie kaczki, usytuowana była kawiarnia. Był to owalny pawilon, otoczony werandą, na której stały okrągłe stoliki i białe, wyplatane foteliki. Nie opodal, w muszli koncertowej, niewielka orkiestra grała z zapalem walce Straussa.

Uprzejmy kelner przyniósł im zamówioną kawę i lody cassate z bitą śmietaną. Pan Herman bawił panią Otylię wspomnieniami z Hellenrau. Właściwie to bawili się nawzajem, bo pani Otylia też pamiętała wiele interesujących szczegółów, a dla ojca Doroty każdy obraz dawnych czasów, czasów młodości i szczęścia, był interesujący.

Dorota przez chwilę przysłuchiwała się im, a potem wyłączyła się z rozmowy. Obserwowała spacerujące pary, rodziny siedzące przy sąsiednich stolikach, także grono młodzieży – panien i kawalerów, którzy spierali się o coś wesoło raz po raz wybuchając śmiechem. Choć byli prawie w jej wieku, wydało jej się, że jest od nich o wiele starsza. Chyba już nie umiałyby tak beztrudnie paplać o wszystkim i o niczym, byle inteligentnie i dowcipnie. Jej życie toczyło się na serio i musiała szybko dorośleć, żeby mu sprostać.

Nagle poczuła skurcz żalu. Co ona tu robi z tą parą starszych ludzi, zamiast iść tam, gdzie tętni rytm życia, wyjść na spotkanie swemu przeznaczeniu i temu mężczyźnie, na którego wciąż

podświadomie czekała?

Zawstydziała się swoich myśli, jakby na chwilę zdradziła ojca. Wróciła do słuchania rozmowy, która tymczasem zeszła na wspólnych znajomych, dawnych gości majora w Hellenrau. Ostatnia wojna była dla wielu z nich ciężkim doświadczeniem; niektóre rodziny okryły się żałobą po synach, którzy zginęli na froncie.

– Tak, tak, – westchnął pan Herman. – Ostatnie lata nie były dla nas łaskawe. Wojna, po wojnie chaos, inflacja... No, ale nie warto się martwić tym, czego nie można zmienić. Cieszymy się tym pięknym popołudniem.

– Święte słowa – przytaknęła pani Otylia. – Nikt nam nie obiecywał, że będziemy szczęśliwi na tym padole łez, Byleby człowiek uczciwie przeszedł swoją drogę i zostawił po sobie dobre wspomnienie... – urwała i westchnęła. – A czasy teraz trudne. Porobiło się nowych bogaczy, co to zbili majątek na dostawach wojennych albo na spekulacjach, a znów porządni ludzie... – spojrzała na pana Belenburga ze współczuciem.

On zaś, choć nie znosił litowania się nad nim i z tego powodu nie podtrzymywał znajomości z dawnymi kolegami, przyjazne słowa pani Otylii przyjął bez gniewu, a nawet z wdzięcznością. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że nie uciekał przed współczuciem, tylko przed jego udawaniem, którym ludzie często lubią maskować zadowolenie, że to nie im przytrafiło się nieszczęście lub niepowodzenie.

Lekki wiaterek przywiał od stawu pachnący wodą chłód. Trzeba było wracać do domu. Szli powoli, podziwiając park tonący w łagodnym świetle zachodzącego słońca. Pani Otylia pomyślała, że zazwyczaj była to dla niej najtrudniejsza niedzielna godzina; wtedy najmocniej odczuwała melancholię samotności. A dziś – proszę – nie tylko nie jest sama, ale jest z ludźmi, których podziwia i szanuje. Szkoda tylko, że panna Dorota wygląda tak smętnie, jakby nie dostała oczekiwanego listu; szła obok nich taka milcząca i przybita. No tak, młodość też ma swoje troski, o których my, starsi, nie pamiętamy. Ale taka śliczna i dobra

dziewczyna nie może się długo smucić – życie powinno stać przed nią otworem. W końcu Pan Bóg łaskaw, a ludzie z nie takich opresji wychodzili obronną ręką.

W swoim saloniku, obitym malinowym jedwabiem, pani Lebrott czytała sprawozdanie przysłane jej przez detektywa.

Szanowna Pani,

Zgodnie z umową zbadalem powiazania rodzinne i obecna sytuacje panny Doroty von Belenburg. Oto ustalone przeze mnie fakty.

Jest ona jedyną córką Hermana i Anny-Luizy, z domu von Simerheim. Urodziła się w rodzinnym majątku Bauendorf, niedaleko Salzburga, 28 sierpnia 1905 roku. Najpierw pobierała nauki w domu, potem ukończyła pensję w Zurichu. Obecnie pracuje w sklepie O. Bergera, o czym Szanowna Pani wie.

Stan majątkowy: Herman von Belenburg przed wojną założył dużą cukrownię w swoim majątku. Aby uzyskać kapitał na inwestycje, wszedł do spółki ze swoim kolegą ze studiów rolniczych, Arturem Rauerem, zdolnym chemikiem i zamożnym człowiekiem. W czasie wojny spółka musiała dostarczać cukier dla armii, która najpierw nie płaciła regularnie, a pod koniec wystawiła asy gnaty, które wskutek inflacji błyskawicznie traciły na wartości. Zaciągnięty przez Rauera kredyt na ratowanie fabryki okazał się niemożliwy do spłacenia; Herman Belenburg gwarantował go swoim majątkiem. Bank przejął hipotekę i wystawił posiadłość z domem na licytację. Do przetargu zgłosiło się kilku chętnych; mówi się, że byli podstawieni przez jednego człowieka, który nabył pałac z majątkiem znacznie poniżej ich wartości. Herman von Belenburg przeniósł się najpierw do Salzburga, gdzie sprzedał część zachowanego umeblowania i dzieł sztuki. Tam zachorowała na serce i zmarła jego żona, a jej leczenie w ostatnich miesiącach życia pochłonęło spore sumy.

Niedługo po pogrzebie wdowiec z córką przenieśli się do

Wiednia. Wśród jego znajomych wyjazd ten był komentowany jako chęć odcięcia się od miejsc, które budziły bolesne wspomnienia. Herman Belenburg zachował dobre imię, choć stracił majątek. Jego wspólnik wyjechał do Południowej Afryki, aby tam próbować szczęścia jako plantator kawy.

Początkowo w Wiedniu pan Belenburg próbował znaleźć pracę w którymś z urzędów – jest bowiem człowiekiem solidnie wykształconym. Miał już nawet widoki na posadę radcy w ministerstwie rolnictwa, kiedy rozchorował się na astmę i reumatyzm; zapewne dały o sobie znać ciężkie przeżycia ostatnich lat. To uniemożliwiło mu podjęcie pracy. W tej sytuacji, również w obliczu malejących zasobów, pracę podjęła jego córka, Dorota.

Mieszkają na Mariahilferstrasse 31, niedaleko Ringu. Panna von Belenburg sama prowadzi dom, korzystając tylko z usług praczki i kobiety do grubszych porządków. Mniej więcej co dwa tygodnie do chorego przychodzi z wizytą doktor Feldmann. Poza tym nikt u nich nie bywa; oni także nie prowadzą życia towarzyskiego. W niedziele wychodzą na spacer do pobliskiego parku.

Rodzina. Najbliższą żyjącą krewną Hermana Belenburga jest jego kuzynka, Hermina von Belenburg, osoba niezamężna, w wieku około sześćdziesięciu lat. Mieszka w swoim majątku Rau koło Henndorfu (również w okolicach Salzburga). Ma czworo służących i ogrodnika. Przed wojną raz do roku wyjeżdżała do Szwajcarii lub do Wioch; po wojnie jeszcze nigdzie nie wyruszyła. Jest niezależna materialnie, choć też trochę straciła wskutek spadku wartości akcji kolejowych. Jednak spora część jej zasobów gotówkowych była ulokowana w banku w Genewie i ta ocalała, poza tym jej dom jest samowystarczalny, jeśli idzie o żywność. Obecnie hoduje warzywa, owoce, ma sporo inwentarza, więc nawet sprzedaje pewne nadwyżki. Pani Hermina Belenburg znana jest w okolicy ze swej dobroczynności, którą świadczy systematycznie i nie na pokaz. Jest otoczona poważaniem, choć niektórzy unikają jej z powodu jej skłonności do mówienia prawdy bez ogródek i dość bezceremonialnego wypowiedzania

stanowczych sądów. Nazywają ją Hrabinią Prosto z Mostu, ale też liczą się z jej zdaniem.

Kiedy jej kuzyn stracił majątek, ofiarowała całej rodzinie gościnę u siebie, ale pan von Belenburg zamierzał szukać pracy, a jego żona i córka nie chciały się z nim rozłączać.

Inni krewni, dalsi, żyją w różnych częściach Austrii, a także w Saksonii i w Szwecji. Kontaktują się dość rzadko, o ile zdążyłem się zorientować. Tak więc pan Herman von Belenburg i jego córka są zdani głównie na siebie.

Nie ustaliłem żadnego faktu – mam podstawy, by twierdzić, że takowego nie ma – który by rzucał niekorzystne światło na te osoby i czynił je towarzyszko niepożądanymi. Jeśli Szanowna Pani wyrazi taką wolę, mogę kontynuować moje badania.

Pozwalam sobie załączyć rachunek na poniesione koszty i resztę honorarium (po odliczeniu otrzymanej od Szanownej Pani zaliczki).

Polecam moje usługi i pozostaję z poważaniem

Ernest Stimmel

Pani Lebrott niedbale rzuciła gęsto zapisane kartki na stolik. Nie warto się tym dalej zajmować. W końcu w każdej rodzinie można znaleźć czarną owcę, której wyczyny są wstydlive zatajane w historii rodu. Jakaś żona, która uciekła z gościnnie występującym artystą, jakiś stryj, który przegrał zbyt wiele w Monte Carlo. Cudów nie ma, a ludzie mają swoje słabości. Jak choćby jej mąż...

Pani Laura westchnęła ciężko. Kiedy była sama, mogła na chwilę zdjąć maskę opanowanej kobiety, która nie przejmuje się takimi drobiazgami jak przejściowa niewierność małżonka. Tak naprawdę to ją to bolało, prawie tak samo jak za pierwszym razem, kiedy to „życzliwa” znajoma w dyskrecji i z pozornym współczuciem, a w gruncie rzeczy z niezdrowym oczekiwaniem skandalu uświadomiła ją o tym, o czym już wiedziało podobno „całe miasto”, to znaczy wszystkie plotkary w mieście. Jej mąż miał utrzymankę, panienkę z baletu. Płacił jej rachunki za stroje i

czynsz za przytulne mieszkanie, w zamian za to miał przywilej składania w nim wizyt w dogodnych dla siebie godzinach. I nigdy nie był narażony na spotkanie tam niepowołanej osoby.

Pani Laura początkowo nie uwierzyła. Znajomą zbyła wyniosłym uśmiechem i ogólnikowym stwierdzeniem, że „mężczyźni miewają swoje słabostki, ale mój Ludwik jest bardzo oddany rodzinie”. Za nic nie pokazałaby tej żmii, jak ją to zabolalo. Zrozumiała, dlaczego starożytni despoty zabijali posłów przynoszących złe wieści. Z trudem dotrwała do końca przyjęcia, starając się zachować pogodną twarz. Kiedy wracali samochodem do domu, spoglądała spod oka na twarz męża rozjaśnianą co chwila światłem mijanych latarni. Wyglądał najzupełniej zwyczajnie. Przez chwilę chciała zapomnieć o wszystkim, co usłyszała, i wrócić do domu i ich normalnego życia, jakby nic się nie stało. Ale stało się. Nie potrafiła zapomnieć usłyszanych słów. W jej wyobraźni zaczęły pojawiać się obrazy, które rozjątrzały ją coraz bardziej. Zdała sobie sprawę, że nie odzyska spokoju, dopóki sama nie przekona się, jak jest naprawdę.

Najpierw odszukała adres prywatnego detektywa, pana Stimmela. Chciała mu zlecić śledzenie męża. Ale kiedy zdała sobie sprawę, że będzie musiała mu powiedzieć, iż podejrzewa męża o romans z baletnicą, poczuła takie zażenowanie, jakby to ona sama dopuściła się występku. Postanowiła poradzić sobie sama.

Kiedy Ludwik wyjechał w interesach do Berlina, wybrała się do opery. Siedząc w swojej łóży, szczególnie uważnie śledziła partie baletu. Nie mogła z początku zorientować się, której z pływających postaci zawdzięcza swoje nieprzespane noce, ale niebawem drogą eliminacji wybrała dwie brunetki. Były w jego typie. Jedna nawet przypominała ją samą w młodości. Przynajmniej tak się pani Laurze zdawało. W przerwie podeszła do mężczyzny w liberii, który stał przy wejściu.

– Chciałabym kilka osób z zespołu zaprosić do siebie na przyjęcie. Niewykluczone, że poproszę je o uświetnienie mojego wieczoru. Proszę wystarać mi się o adresy tych osób, które

zakreśliłam w programie, żebym mogła się z nimi skontaktować. – Prośba została poparta solidnym napiwkami.

– Szanowna pani otrzyma je po ostatnim akcie.

– Zajmuję siódmą lożę na pierwszym piętrze.

– Będę pamiętał. Dziękuję i polecam się.

Istotnie, kiedy tylko zapadła kurtyna, pojawił się w drzwiach loży z kartką. Rzuciła okiem na pięć wypisanych na niej nazwisk, ale tylko jeden adres ją interesował: Wahrniger Strasse 85. Panna Sylwia Varsary.

Nazajutrz ubrała płaszcz, którego dawno już nie nosiła, kapelusz z gęstą woalką i kazała wezwać dorożkę. Nie wiadomo dlaczego wydało jej się, że ten pojazd zapewni jej większą dyskrecję niż taksówka. Oczywiście, jazda z ich szoferem nie wchodziła w grę. Pewnie, łajdak, nieraz woził tam Ludwika i doskonale wiedział, jakie interesy załatwia jego pan pod tym adresem!

Kiedy dorożka jechała w rytm człapania konia przez ulice Wiednia, ona, schowana pod podniesioną budą, czuła, jak mocno bije jej serce i pocą się dłonie. Wreszcie dorożkarz zatrzymał konia przeciągłym – Hooo! Prr! – i odwracając się do niej, powiedział: – To tutaj. Zaczekać na szanowną panią?

– Tak – odparła przez ściśnięte gardło. – Zaraz wracam. Wsiadła, rozglądnęła się po ulicy. Nie miała pojęcia, co począć dalej. Przecież nie wejdzie do bramy tej eleganckiej kamienicy z numerem 85, nie zadzwoni do drzwi na pierwszym piętrze i nie zapyta, czy jej mąż tu bywa. Stała, bezradnie rozglądając się. Czuła się tu intruzem; miała wrażenie, że popełnia niedyskrecję, podglądając cudze życie, choć to przecież był również fragment życia jej męża. On często wchodzi w tę bramę, stoi za firanką w tamtym oknie, siada przy stole, którego ona nigdy nie widziała, kładzie się... O, nie, tylko nie to! Nie może się teraz rozpląkać. Kiedy sięgała do torebki po chusteczkę, usłyszała głos starszej kobiety:

– Pani nietutejsza? Szuka pani kogoś?

– Ja... tak. Jestem tu przejazdem i obiecałam zapytać o pannę

Sylvię Varsary. Ale mam wrażenie, że nie ma jej w domu...

– Jaka tam ona Varsary! Pewnie nazywa się Gerda Kugel albo jakoś tak. Teraz chyba jest w teatrze. A co pani chciała o niej wiedzieć? Ja tu mieszkam od pięćdziesięciu lat, wszystkich znam, oczy mam otwarte...

Na panią Laurę spłynęło natchnienie.

– No to mam szczęście, że panią spotkałam. Może tu jest jakiś przyzwoity lokal, w którym mogłybyśmy wypić kawę? Zapraszam panią. Aha, jeszcze się nie znamy. Nazywam się Emma Reidel.

– A ja Truda Werner. Bardzo mi miło. To na panią czeka ta dorożka?

– Tak, mogłybyśmy nią podjechać, gdyby pani poleciła jakieś odpowiednie miejsce...

Pani Werner nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Szybko wsiadła do dorożki i poleciła woźnicy jechać prosto, a potem na prawo. Niebawem kazała mu się zatrzymać przed dość marnym lokalem, który, po prawdzie, wyglądał jak knajpa dorożkarska. Pani Laura musiała mieć dość niewyraźną minę, bowiem jej towarzyszka zapewniła ją:

– To bardzo solidny lokal. Prowadzi go mój dobry znajomy. Usiądziemy w pokoiku na zapleczu, nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Istotnie, kiedy znalazły się same w małej izbie z brudnym oknem, wychodzącym na dość obskurne podwórko, przyszedł do nich gruby właściciel i pozdrowiwszy panią Trudę, zapytał, co im podać.

– Proszę zamawiać, co pani zechce – powiedziała pani Laura. – Ja poproszę tylko o herbatę i kieliszek koniaku.

Pani Truda zamówiła kielbaski na gorąco i kufelek piwa z sokiem malinowym. Kiedy już się trochę posiliła, przeszła do rzeczy:

– A dlaczego chce pani coś wiedzieć o tej Varsary? To nie ma nic wspólnego z policją?

– Nie, to sprawa rodzinna – odparła wymijająco pani Laura.

– Aha! Pewnie synalek zaczął za nią latać? – zmrużyła oko

domyślnie jej towarzyszą. – Jasne, ja tam nie jestem wścibska, ale znam życie. Kilku takich żółtodziobów kręci się koło jej domu. Kwiaty przynoszą, spacerują od rogu do rogu, żeby ją zobaczyć, jak wychodzi; jeden to nawet śpiewał w nocy pod jej oknem. Ale niech pani powie synowi, że tylko traci czas. Pani też nie ma się czego bać. Do niej przyjeżdża taki jeden bogacz i ona pilnuje się, żeby mu się nie narazić.

– Bogacz, mówi pani? – pani Laura starała się nadać głosowi ton umiarkowanego zainteresowania.

– Tak, takim długim, czerwonym samochodem. Ich hispanosuiza! Co za łotr!

– Często przyjeżdża? – ciągnęła jakby od niechcienia pani Laura czując, że ręce jej lodowacieją.

Pani Truda pociągnęła łyk pilznera. – Regularnie jak w zegarku: we wtorki i piątki po południu.

Dni klubowe! Obiady klubowe! Tak, to się zgadzało. Więcej nie miała tu nic do roboty.

– Bardzo pani dziękuję za te informacje. Będą bardzo pomocne. – Wyjęła z torebki grubszy banknot i położyła go na stole. – Bardzo się spieszę, więc może pani sama zapłaci. Do widzenia. – Podniosła się zza stołu czując, że jeśli zostanie tu jeszcze chwilę, to chyba zacznie krzyczeć.

– Nie ma za co... – Pani Truda odprowadziła ją niezbyt zdziwionym spojrzeniem i wróciła do swoich kiełbasek.

To nie był jej pierwszy napiwek uczciwie zarobiony na tej Varsary, tylko że przedtem wypytywali ją przeważnie młodzi mężczyźni o oczach zakochanych spanieli. Wszystko chcieli wiedzieć: kiedy wychodzi, kiedy wraca, kto u niej bywa i tak dalej. Młokos, który straci głowę dla takiej baletnicy, robi się bardziej wścibski od policjanta.

A i tak wygrywa starszy gość, który ma ciężką forszę.

Warto by zamówić jeszcze kufelek.

Pani Laura w śródmieściu odprawiła dorożkarza i wsiadła do taksówki. Chciała jak najprędzej znaleźć się w domu. Kiedy tam

dotarła, zamknęła się w swoim pokoju. Najpierw z rozmachem rozbiła o ziemię kryształowy wazon, potem się rozpląkała. Kiedy wreszcie odzyskała jako taką równowagę, usiadła i zaczęła myśleć.

Ta żmija mówiła prawdę. Za dużo zgadzało się w tej układance, żeby miała być nieprawdziwa. I co teraz?

Rozwód? Najchętniej spakowałyby temu staremu rozpustnikowi walizki i wystawiła je przed dom. Ale to nie było takie proste. Dom był jego. Firma była jego. Jej posag był niewielki; to on pomnożył ich majątek swoim sprytem i ryzykanckimi nieraz posunięciami. To jego nazwisku zawdzięczała swoją pozycję w towarzystwie. Jeśli się rozwiodą, on nadal będzie w tych salonach przyjmowany z otwartymi rękami, a ona? Kto chętnie zaprosi do siebie samotną rozwódkę, choćby i zamożną? Wszystkie mężatki będą ją uważały za niebezpieczną konkurentkę, a mężczyźni za łatwą zdobycz. Wciąż uważała się za atrakcyjną i elegancką, ale jak długo jeszcze tak będzie? I co potem? Udział w komitetach dobroczynnych z innymi zawiedzionymi, oschłymi kobietami w czarnych jedwabiach? Nie! Nigdy w życiu!

To co, ma mu to puścić płazem?

Pani Laura poczuła, że znów rozsadza ją gniew, i rozglądnęła się za następnym kryształem.

Udawać, że o niczym nie wie? Nie wiadomo, czyjej się uda. To nie takie łatwe dzień w dzień grać komedię i przechodzić do porządku dziennego nad swoją krzywdą.

– A więc co? – Zemsta? Ten pomysł wydał się pani Laurze wart przemyślenia. Rozważała go przez kilka godzin. Potem zatelefonowała w kilka miejsc. W końcu otworzyła drzwi i zadzwoniła na pokojówkę. Ta zjawiała się w mgnieniu oka z zaniepokojoną miną.

– Posprzątaj tu – poleciła jej sucho pani Laura – i powiedz kucharce, że będę miała gości na kolacji.

Tymi gośćmi byli: emerytowany dyplomata i prawnik, który wysoko sobie cenił zlecenia od firmy Lebrott i Syn. Gospodyni

poleciła podać najlepsze wino z domowej piwnicy i umiejętnie podsuwała tematy do rozmowy. Panowie, mile połączani jej zainteresowaniem, chętnie wypowiadali swoje sądy i dzielili się doświadczeniem. Była mowa o dyplomacji i prawie rozwodowym. Acha, i jeszcze o operze.

Pan Lebrott wrócił nazajutrz z podróży służbowej. Pomimo tego, że zjawił się w domu późno, żona czekała na niego z kolacją.

– Jestem skonany – oświadczył jej mążzonek, całując powietrze w okolicy jej lewego ucha – przegryzę tylko co nieco i idę spać.

Pewnie był jeszcze u tej źdźiry – pomyślała pani Laura, ale uśmiechnęła się uprzejmie i odpowiedziała: – Oczywiście, mój drogi, porozmawiamy jutro przy obiedzie. Dobranoc.

Cmoknęła powietrze w okolicach jego prawego ucha i poszła do swojej sypialni.

Śniadanie zjadła w swoim pokoju. Do obiadu ubrała się szczególnie starannie. Wcześniej zadysponowała obiad ściśle według gustu Ludwika: na przystawkę pasztet zapiekany w cieście francuskim, potem zupa pomidorowa z kluseczkami wątrobianymi i schab pieczony ze śliwkami. Na deser strudel.

Pan Lebrott był w wyśmienitym humorze i głośno pochwalił wyborne jedzenie.

– Jak ci poszło w Berlinie? – zaczęła rozmowę pani Laura, gdy już podano kawę.

– Nie najgorzej. Znalazłem dobrego partnera do interesów – odparł. – A ty co porabiałaś? – zapytał kurtuazyjnie.

– Byłam w operze. Na „Carmen”. Dobrze wystawiona. Szczególnie partie baletu interesujące. Znasz tę operę, prawda? Co powiesz o choreografii? A jak ci się podobała solówka panny Varsary? Uważam, że to utalentowana osoba; ma z pewnością zadatki na primabalerinę – odpowiedziała pani Laura tonem towarzyskiej konwersacji, ale ledwie zauważalny błysk w jej oczach sprawił, że pan Ludwik powoli odstawił filiżankę z kawą. Kark mu nieco poczerwieniał.

– Tak uważasz? – mruknął starając się, by zabrzmiało to równie obojętnie.

– Z drugiej strony myślę sobie, że takie artystki mają trudną drogę do kariery. Nawet jeśli wybijają się własnym talentem i nie szukają protektorów, bywają przedmiotem obrzydliwych plotek. Choćby ta panna Varsary...

– Co ta panna Varsary? – W głosie pana Ludwika dało się wyczuć gniewne napięcie.

– Och, nieważne. Tak sobie tylko mówię, żeby cię czymś zabawić przy kawie.

– Tak też to rozumiem. A więc mów dalej, moja droga.

– Usłyszałam od jednej z pań w przerwie... Wiesz, te kobiety bez zajęcia wszędzie węszą sensację... A więc usłyszałam... – pani Laura wypła łyk kawy.

Kark jej męża spurpurowiał, lecz zanim on sam zdążył wybuchnąć, jego żona podjęła wątek:

– No więc mówią, że ta panna Varsary ma bardzo bogatego protektora, którym w dodatku chwali się przed koleżankami. To doprawdy brak taktu – pani Laura skrzywiła się z niesmakiem. – Przecież Wiedeń jest mały. Takie wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy, a chociaż żona dowiaduje się ostatnia, to jednak kiedyś się dowiaduje. No i czym to grozi? Rozwodem, skandalem, podziałem majątku, utratą prestiżu. Doprawdy, takie zachowanie świadczy o braku... jak by to nazwać – solidności zawodowej, jeśli ta pani jest profesjonalistką...

Serweta z głośnym plaśnięciem upadła na stół. Pan Lebrott wstał z gradową miną.

– Miło się z tobą gawędzi, moja droga, ale muszę wrócić do firmy. Mam jeszcze coś do załatwienia. Zobaczymy się wieczorem.

– Oczywiście, mój drogi – pani Laura bez pośpiechu podniosła się zza stołu. – Pamiętasz, że wieczorem idziemy na przyjęcie do „Grimmelów”?

– Tak. – Pan Lebrott ciężkim krokiem wyszedł z pokoju.

Wieczorem pani Laura w eleganckiej sukni, z podniesioną głową, wkroczyła do salonu, trzymając pod rękę swego „drogiego Ludwika”. Jeśli nawet żadne sensacje plotkarki chciały dopatrzeć

się rozdzwięku w stosunkach tej pary, to srodze się zawiodły. Państwo Lebrottowie prezentowali wizerunek zgodnego i zadowolonego małżeństwa. Pani Laura ochoczo komentowała najnowszą kolekcję paryskiej mody, jej mąż interesował się wynikami ostatnich wyścigów konnych. Kiedy ktoś podjął temat opery, pani Laura ucięła go natychmiast słowami:

– Uważam, że ostatni sezon był nieciekawym. Żadnego wydarzenia, zupełnie nie ma o czym mówić.

Jej oczy przelotnie napotkały spojrzenie męża. Zrozumieli się.

Kiedy po powrocie do domu pan Ludwik żegnał małżonkę przed jej sypialnią, powiedział:

– Ładnie wyglądałaś dziś w tej sukni, moja droga. Tylko przydałby ci się do niej nowy naszyjnik. Wybierz sobie coś gustownego u Bergera. Myślę, że szmaragdy byłyby odpowiednie.

A potem, odchodząc już w stronę swoich pokoi, dodał pozornie bez związku:

– Myślę, że „Carmen” niedługo zejdzie z afisza.

Od tego czasu pani Laura znacznie powiększyła swoją kolekcję biżuterii. Jej tolerancja miała wysoką cenę, ale pan Lebrott uznał, że mu się ona opłaca. W końcu skandal z rozwodem fatalnie wpływa na interesy, szczególnie w bankowości, a kupowana biżuteria, w której Laura zresztą doskonale się prezentuje, podnosi prestiż firmy.

Skądinąd wcale nie miał ochoty rozwodzić się z tą kobietą, z którą przeżył już ponad trzydzieści lat i miał dwóch synów, w tym jednego całkiem udanego. Drugi to rozpuszczony nicpoń, ale w końcu skończył studia, więc może jeszcze się ustatkuje. Tak więc burzenie tego domu, w którym czuł się nie kwestionowanym panem i władcą, wcale mu się nie uśmiechało. Niełatwo zresztą byłoby znaleźć drugą taką kobietę, która w delikatnej bądź co bądź sytuacji umiałaby się zachować tak rozsądnie. Żadnych spazmów, wyrzutów, grożenia rozwodem, tylko takt i dyplomacja. Pan Lebrott czuł zadowolenie, że ma taką żonę, i okazywał jej teraz więcej względów. Nie wikłał się już w długotrwałe związki z adeptkami podkasanej muzy, poprzestając na mniej kłopotliwych

(i trudniejszych do odkrycia) przelotnych przygodach. Pani Laura zaś wyrobiła w sobie instynkt charta i przenikliwość Sherlocka Holmesa i na podstawie nikłych szczegółów potrafiła na ogół wykryć prawdę. Kiedy więc pozornie obojętnym głosem zaczynała cedzić przy kawie: – Wiesz, mój drogi, uważam, że panna X ma interesujący sopran – albo coś w tym guście, pan Ludwik od razu przechodził do rzeczy: – Słyszałem, – że Berger ma na sprzedaż coś ciekawego. Chciałabyś zobaczyć?

Nie znaczy to, że pani Laura zubożniała na kolejne wyskoki męża. Nie, nawet jeśli nie chodziło jej już o utrzymanie go przy sobie – bo tego była pewna – to Bolało ją wciąż jako kobietę, że on woli towarzystwo innej, choćby na krótko. Dlatego osłoniła swoje zranione uczucia pancerzem cynizmu i nieczułości. Powiedziała sobie, że miłość to sentymentalny przesąd dla pensjonarek, a w życiu trzeba się kierować rozsądkiem i własnym interesem. A szmaragdy to najlepsi przyjaciele kobiety. Ich nigdy nie trzeba się wstydzić.

Co gorsza, pani Laura, stłumiwszy własne uczucia, zaczęła lekceważyć cudze. Uważała za oczywiste, że Hans powinien się ożenić ze względu na karierę; uczuć jego przyszłej żony też nie brała pod uwagę. Uznała, że każda kobieta, wychodząc za mąż za jej syna, zrobi doskonały interes. A to tylko się liczy, no nie?

Tego dnia kazała pokojówce poprosić Hansa do malinowego saloniku. Kiedy wszedł, nadstawiła mu policzek do pocałowania i przyjrzała mu się badawczo.

– Znowu wczoraj lumpowałeś – bardziej stwierdziła niż zapytała.

– Ależ *maman*, to moje ostatnie chwile wolności! Pozwól mi je spędzić po kawalersku!

– Czy to znaczy, że w stosunku do panny Belenburg zrobiłeś jakieś postępy?

– No... owszem. Nie odmówiła, kiedy zaprosiłem ją do zwiedzenia galerii sztuki. Ale nie mam kiedy jej tam wziąć; przecież prawie cały dzień pracuje.

– To trzeba jej było zaproponować odwiezienie do domu po pracy. Przejazdkę za miasto. Widzę, że nie bardzo się starasz. Nie podoba ci się ta panna?

– Skądże! Mama ma dobry gust. Mogło być gorzej – ucałował jej dłoń.

– Mogło być znacznie gorzej. Dwie inne panny z dobrych, choć też zubożałych rodzin, które ewentualnie wchodziłyby w grę, wyglądają przy niej jak praczki. No, ale jeśli sobie nie poradzisz...

– Jeszcze dzisiaj będę na nią czekał pod sklepem! Odwiozę do domu! Albo, jeszcze lepiej – zawiozę ją na przejażdżkę w okolice Prateru. Zaproszę na herbatę, lody i cokolwiek zechce! Kupię jej kwiaty. Ogromny bukiet! Co jeszcze mogę zrobić?

– Przede wszystkim daj jej do zrozumienia, że masz poważne zamiary, żeby sobie nie pomyślała, że chcesz wykorzystać jej sytuację i zaproponować jej... no...

– Romans?

– Tak. Pamiętaj, że może być drażliwa na tym punkcie.

– Nie sądzę, żeby była drażliwa na jakimkolwiek punkcie. Zachowuje się jak dobrze wychowana góra lodowa. Trzyma mnie na odległość trzech parasoli. Mało mówi. Trudno mi ją rozruszać.

– Traktuje cię całkiem właściwie na tym etapie znajomości. „Wolałbyś żeby zaczęła się do ciebie wdzięczyć, jak te twoje chórzystki?

– Nie, ale trochę życia...

– Na to będzie czas po ślubie. Teraz poproś o pozwolenie przedstawienia się jej ojcu. Jeśli się zgodzi, to będzie znaczyło, że cię zdecydowanie nie odrzuca.

– Dobrze, *maman*. Czy mógłbym liczyć na jakieś finansowe wsparcie moich konkurów?

– Już nie masz pieniędzy?

– Jeszcze trochę mi zostało, ale wolałbym nie mieć przy sobie tylko ostatnich szylingów.

Pani Laura z westchnieniem sięgnęła do torebki. Syn ucałował ją serdecznie i zadowolony wyszedł. Ona zaś naląła sobie następną filiżankę herbaty i oddała się marzeniom o przyszłych

splendorach, jakie na nią spłyną i ciekawym życiu, jakie stanie się jej udziałem.

Hans posłuchał matki i wieczorem podjechał pod sklep. Kiedy Dorota, skończywszy pracę, wyszła z bramy, podszedł do niej z grzecznym ukłonem i zaprosił ją do auta.

– Będę zaszczycony, jeśli pozwoli się pani odwieźć do domu – powiedział. – Proszę mi nie odmawiać; na pewno po całym dniu pracy jest pani bardzo zmęczona.

Dorota zawahała się. Z jednej strony istotnie była zmęczona i perspektywa krótkiej przejażdżki autem nie była jej niemiła. Z drugiej – wolałaby wracać pieszo; może po drodze czeka ją spotkanie z nieznanym? Ale skąd można wiedzieć, że on pojawi się akurat dziś, po tylu dniach nieobecności? I jak się będzie czuła, kiedy wróci do domu sama, zawiedziona i jeszcze bardziej zmęczona?

– Dziękuję, to uprzejme z pana strony – odparła krótko i wsiadła do auta, podczas gdy on przytrzymał jej drzwiczki.

Kiedy ruszył, spojrzął przez moment na jej spokojny profil. Była trochę smutna i nie zwracała na niego uwagi. Nagle zapragnął stać się kimś ważnym dla tej poważnej i zamkniętej w sobie dziewczyny, sprowokować na jej twarzy uśmiech, uważne spojrzenie, zasłużyć sobie na jej uwagę i zainteresowanie. Ogarnęło go skrępowanie; zdał sobie sprawę, że dotąd był przyzwyczajony do towarzystwa innych dziewcząt, z którymi nie robił sobie wielkich ceregieli, czuł się swobodnie i bez troski. „Artystki, artystki, artystki z variete nie biorą miłości zbyt tragicznie...” – przypomniał mu się fragment arii z „Księżniczki czardasza”. Ale ta poważna dziewczyna obok na pewno nie była operetkową księżniczką czardasza, tylko panną von Belenburg, z którą on miał się ożenić!

Teraz dopiero dotarło do niego, że – jeśli zachowa się odpowiednio i będzie miał szczęście – ta dziewczyna pozwoli mu się kiedyś objąć i pocałować! Na myśl o tym poczuł miłe ciepło w piersi i energię do działania.

– Bardzo bym się cieszył, gdyby pani zgodziła się na mały spacer po Praterze – zaczął. – Obiecuję, że kiedy tylko pani zdecyduje, natychmiast odwiozę panią do domu. Nawet krótka przechadzka wśród zieleni odpręży panią po całym dniu pracy w dusznym pomieszczeniu.

Dlaczego nie? – pomyślała Dorota. – Ten kwadrans dla siebie mogę chyba wykroić z całego dnia.

– Nie mam wiele czasu – odparła spokojnie. – W domu czeka na mnie ojciec i spieszę się do niego.

– Przejdziemy tylko jedną aleję, bardzo proszę!

– No, dobrze, jeśli zgadza się pan na bardzo krótki spacer. Kiedy wchodzili do parku, Hans kupił u ulicznej kwiaciarki śliczny bukiet polnych kwiatów i z ukłonem wręczył Dorocie. Speszyła się i cofnęła rękę.

– To skromny znak mojego podziwu dla pani – pospieszył „z wyjaśnieniem” Hans. – Także wielkiego szacunku i poważania. Proszę nie odmawiać.

Jego słowa brzmiały szczerze. Kiedy na moment spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich zainteresowanie i życzliwość. Nie było powodu, żeby go odtrącać z niechęcią. Wzięła bukiet i podniosła go do twarzy. W tej chwili przypomniały jej się fiołki otrzymane od nieznajomego. Zapragnęła odejść stąd i znaleźć się sama ze swoimi myślami. Dlatego kiedy tylko przeszli pierwszy odcinek parkowej alei, stanęła.

– Chciałabym jednak już wrócić do domu – poprosiła.

Hans nie protestował. Posłusznie zaprowadził ją do auta i zapytał, na którą ulicę ma ją odwieźć. Kiedy podała adres, ruszył bez słowa. Wcale nie wyglądał na obrażonego, czy zawiedzionego.

Kiedy przed domem otworzył znów przed nią drzwi samochodu, zapytał: – Czy pozwoli mi pani odwieźć się jeszcze kiedyś?

– Wolałabym pana do tego nie zachęcać – odparła Dorota zdecydowanie.

– Rozumiem doskonale pani obiekcje – żywo zareagował Hans.

– Przysięgam, że moje intencje są jak najuczciwsze. Byłbym zaszczycony, gdyby pani mi pozwoliła złożyć wizytę jej szanownemu ojcu i przedstawić się.

– Pozna pan mojego ojca na koncercie w niedzielę. Jeśli pan też się wybiera do opery.

Hans nie nalegał. Czuł, że ustępliwością więcej zyska niż pośpiechem.

– Czy pozwoli pani w takim razie, żebym przyjechał po państwa i zawiózł ich na miejsce? – zapytał z uśmiechem.

To nie było daleko i Dorota w pierwszym odruchu chciała odmówić, ale w porę przypomniała sobie, że ojciec ma problemy z chodzeniem.

– Będzie nam miło – skinęła głową. – A teraz do widzenia.

– Dziękuję za te chwile, które mi pani podarowała! Do zobaczenia!

– Hans zczekał, aż weszła do bramy, a potem bardzo zadowolony z siebie, odjechał. Wieczorem był umówiony w Jockey Klubie.

Nazajutrz Dorota, wracając z pracy, zobaczyła w skrzynce na listy białą kopertę. Wyjęła ją i spojrzała na nadawcę: *Hermina Belenburg*. List był adresowany do jej ojca.

Kiedy mu go oddała, pan Herman poszukał okularów i rozciął starannie kopertę nożykiem. Czytał bez pośpiechu, czasem ruchem warg powtarzając jakieś słowo. Potem złożył starannie kartki eleganckiej papeterii i podał je córce.

– Przeczytaj sama.

Dorota przysiadła na oparciu fotela ojca i z uśmiechem zaczęła czytać staranne pismo ciotki Herminy:

Drogi Kuzynie!

Mam nadzieję, że czujesz się dobrze, choć nie wyobrażam sobie, jak można czuć się dobrze mieszkając w wielkim mieście, szczególnie na wiosnę i w lecie. No, ale to Twój wybór, bo – jak

pamiętasz – zaprosiłam Ciebie i Twoją córkę na bezterminowy pobyt w moim domu.

Ja tego roku znowu nie pojechałam do Vevey, choć wybieram się tam od zakończenia tej okropnej wojny. Muszę doglądać wiosennych prac w ogrodzie i w inspektach, bo teraz staramy się żywić sami i jeszcze sprzedawać część zbiorów, masła, sera i mleka. Cóż, sytuacja trochę się zmieniła na gorsze, ale – chwalić Boga – kobieta z głową na karku poradzi sobie w każdej sytuacji.

W liście, który od Ciebie dostałam na Wielkanoc i za który teraz dziękuję, pisałeś mi, że Dorotka podjęła pracę w sklepie jubilera. No, cóż, zostawiam to bez komentarza, bo u mnie pracy też nie brakuje, a wypłacalno jestem nie gorzej niż jakiś wiedeński sklepikarz. Ale zostawmy to. Młodzi widocznie muszą na własnej skórze doświadczyć, co jest dobre, a co nie, i nasze morały nic tu nie pomogą.

Zaniepokoiła mnie natomiast wzmianka o Twoim zdrowiu. Napisałeś o tym zbyt krótko, żebym się czuła dobrze poinformowana, ale umiem dodać dwa do dwóch, więc skoro to Dorotka podjęła pracę, a nie Ty, Hermanie, to znaczy, że poważnie chorujesz. Dlatego stanowczo nalegam, żebyś przyjechał do mnie choć na parę, tygodni. Obejrzy Cię doktor Laube, który leczy mnie od trzydziestu lat i to – odpukać – z dobrym skutkiem. Nie chcę słyszeć o odmowie; bardzo byś mnie nią dotknął. Oczywiście, zaproszenie dotyczy również Twojej córki, skoro tylko obowiązki zawodowe pozwolą jej wyrwać się z Wiednia.

My żyjemy tu sobie w rytmie natury; mamy już za sobą pierwsze prace w ogrodzie i na roli. Nasze rozmowy dotyczą głównie zasiewów, deszczu, wiatru i codziennych spraw, bo one składają się na nasze życie. W naszej wsi powstało nowe stowarzyszenie (obok straży pożarnej i strzelców) weteranów wojennych, którzy w niedzielę upijają się w starym zajezdzie „Kaspar – Moser”. Mamy też nowych sąsiadów: majątek w pobliżu jeziora, ten ze starym młynem, kupił Artur Rutmayer; przeniósł się tu z południowej Finlandii, gdzie po rosyjskiej rewolucji zrobiło się niebezpiecznie. Jego żona jest miłą

młodą damą; złożyli mi wizytę zaraz po osiedleniu się. Rewizytowałam ich niedawno i poznałam jej brata, Maksymiliana, który zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Energiczny młody człowiek, który zamierza oprzeć swoją egzystencję na własnej pracy. Niebawem otworzy w mieście kancelarię prawniczą. Chciałabym przedstawić go Dorocie, kiedy ta zdecyduje się mnie odwiedzić. Chyba że Twoja córka zamierza zostać starą panną; dzisiejsza młodzież miewa różne zwariowane pomysły.

Niech lepiej skorzysta z mojego doświadczenia; ponieważ nie dane mi było wstąpić w związek małżeński, na starość żyję otoczona obcymi, choć oddanymi mi ludźmi.

Dlatego, Drogi Kuzynie, Twój przyjazd zaspokoi również moją tęsknotę za bliższą rodziną. Nie zwlekaj, tylko czym prędzej wsiadaj w pociąg. Kursuje tędy znakomity ekspres: Wiedeń – Salzburg – Calais. Kiedy się zdecydujesz, wyślij telegram, kiedy mam wysiać Gabriela po Ciebie na stację.

Pozdrawiam Cię serdecznie i czekam na wiadomość. Ucałowania dla Dorotki; ją również serdecznie zapraszam.

Hermina

Kiedy dziewczyna skończyła czytać, podniosła pytające spojrzenie na ojca. – No i co, tatusiu? Pojedziesz?

– A jak sobie poradzisz sama?

– Doskonale! Już nie czuję się tu taka samotna, odkąd mogę porozmawiać z panią Otylią. Także Zuzanna jest miłą osobą; kiedy opowiada o swoim teatrze, czuję się, jakbym tam była razem z nią. A tobie taki wyjazd dobrze zrobi. Proszę, nie martw się o mnie; zresztą w sierpniu pan Berger zamyka na dwa tygodnie sklep i da mi urlop, więc będę mogła dołączyć do ciebie, a potem – jeśli zechcesz – razem wrócimy do domu.

Mówiąc to zdała sobie sprawę, że zaczęła nazywać domem to miejsce, które jeszcze nie tak dawno wydawało jej się obce i nieprzytulne.

Ojciec jeszcze się wahał.

– Obawiam się, że samotna, młoda kobieta, pozbawiona

bliskich krewnych w mieście, może być narażona na różne nieprzyjemne incydenty... – nie wiedział, jak sformułować swoją obawę, że jego córka może być zaczepiana i nie znajdzie się mężczyzna, który ją obroni.

Dorota gorączkowo szukała argumentu, który by uspokoił ojcowskie sumienie.

– Nie martw się tatusiu! Do pracy i z powrotem chodzę w dzień bezpiecznymi ulicami, więc nic mi nie grozi. A jeśli będę chciała pójść do parku, na wystawę albo do teatru, to mogę przyjąć towarzystwo pana Hansa Lebrotta, syna pani Lebrott, o której ci opowiadałam. Poznasz go w niedzielę na koncercie; zresztą sam prosił o to, bym go tobie przedstawiła.

A więc jednak! Może już znalazł się młody człowiek, który zapewni jego córce oparcie i bezpieczeństwo? Fakt, że ten Hans Lebrott chciał być mu przedstawiony, świadczył zdecydowanie na jego korzyść. Jedno się w tym tylko nie zgadzało: jego córka mówiła o nim bez rumieńca na twarzy i błysku w oku, jakby zamierzała przedstawić ojcu dalekiego znajomego, a nie ewentualnego konkurenta do ręki.

– Chętnie poznam tego młodego dżentelmena – powiedział z uśmiechem. – Czy mogłabyś mi powiedzieć o nim coś bliższego?

Dorota stropiła się.

– Niewiele o nim wiem poza tym, że skończył jakieś studia i chyba ma jechać na placówkę dyplomatyczną do Lizbony. Mówiła o tym jego matka, kiedy rozmawialiśmy przy herbacie. On nie jest specjalnie elokwentny, ale zachowuje się bardzo uprzejmie. Zaprosił mnie na wystawę i do parku... Wczoraj przywiózł mnie do domu. Te kwiaty to od niego.

Regularny konkurent! – ocenił pan Herman i zapytał ostrożnie: – A czy on ci się podoba?

– Podoba? – powtórzyła Dorota zdziwiona. – Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Chyba jest w porządku. Taki sobie, normalny młody człowiek. A czemu pytasz?

– „Taki sobie, normalny młody człowiek” – to nie są słowa, którymi określa młodzieńca zakochana dziewczyna. A więc jej

serce jeszcze się nie przebudziło, nie dokonało wyboru. A Hans Lebrott musi się dobrze postarać, jeśli chce, aby to on został wybrany. Nie wiadomo dlaczego, pan Herman poweselał.

– To dobrze, że go pozytywnie oceniasz. Chciałem wiedzieć, czy ten młody człowiek jest wystarczająco solidny, żebym mógł zgodzić się na to, by ci towarzyszył w czasie mojej nieobecności.

– Poznasz go w niedzielę i sam wyrobisz sobie zdanie – zamknęła temat Dorota. – Mnie chodzi przede wszystkim o to, czy zgodzisz się wyjechać zaraz do ciotki Herminy. Jeśli pan Hans Lebrott ci się nie spodoba, mogę ci obiecać, że nie będę wychodzić nigdzie poza bezpieczne granice naszej dzielnicy, i to tylko w dzień. Zgoda?

– Zgoda. Ale ostateczną decyzję podejmę w niedzielę. – Pan Herman był zadowolony. Dorotka spróbuje samodzielnego życia, ale nie będzie pozbawiona wsparcia starszej niewiasty i towarzystwa przynajmniej dwojga młodych ludzi – panny Zuzanny i tego Hansa. Reszta i tak była w rękach Boga. Przychodzi czas, kiedy każdy młody ptak musi zacząć próbować własnych skrzydeł. Jego córka była na pewno już wystarczająco dorosła.

Na wszelki wypadek postanowił jednak zadbać o to, żeby pani Otylia miała oko na sytuację i w razie czego dała mu znać, by mógł natychmiast wrócić.

Kiedy Dorota nazajutrz poszła do pracy, pan Belenburg ubrał się starannie i zszedł piętro niżej, by zadzwonić do pani Otylii.

– To pan hrabia! – ucieszyła się gospodyni, otwierając szeroko drzwi przed gościem. – Bardzo proszę do środka!

– Nie chciałbym robić kłopotu; ja tylko z jedną sprawą – tłumaczył się pan Herman nie wiedząc, czy nie przeszkodził w jakiejś domowej pracy.

– Żaden kłopot! Proszę do pokoju! Zaraz zrobię herbaty.

Nie mogąc pohamować gościnności pani Otylii, siadł przy stole i odczekał, aż ona sama wejdzie do pokoju z tacą. Kiedy już naląła mu herbatę i skłoniła do skosztowania biszkoptu, zaczął:

– Przyszedłem do pani z prośbą. Chodzi o moją córkę.

Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu wyjadę na jakiś czas do Rau, do majątku mojej kuzynki. Dorota zostanie w mieście sama. Nie mamy tu bliższej rodziny. I w związku z tym chciałbym prosić, żeby pani zechciała poświęcić jej nieco uwagi.

– Z największą przyjemnością! Bardzo polubiłam pannę Dorotę. To bardzo miła i mądra młoda dama. I w dodatku ma dryg do gotowania. – To stwierdzenie zabrzmiało jak najlepsza rekomendacja.

Pan Belenburg uśmiechnął się: – Jestem pani bardzo wdzięczny za nauki, jakie moja córka u pani pobiera. Już próbowałem rezultatów i bardzo mi smakowały.

Pani Otylia, zadowolona, poprawiła się na krześle.

– Niech pan hrabia poczeka jeszcze parę miesięcy. Zobacz pan, że pana córka będzie mogła sama wydawać przyjęcia.

– Na razie na to się nie zanosz, ale nigdy nic nie wiadomo, prawda? Ja chciałbym zostawić pani mój adres z serdeczną prośbą, aby mnie pani natychmiast powiadomiła, gdyby uznała pani, że Dorota może mnie potrzebować. W razie choroby albo jakiegoś kłopotu...

– Może pan hrabia być spokojny. Zatroszczę się o pańską córkę, a gdyby, nie daj Boże, coś było nie tak, to natychmiast wyślę list albo depeszę.

Starszemu panu spadł kamień z serca. Teraz mógł spokojnie skorzystać z zaproszenia kuzynki Herminy.

Kiedy w sobotę Dorota weszła do biura pana Bergera, zastała go w stanie wielkiego wzburzenia. Na jego biurku leżał niedbale rzucony bukiet fiołków. Widok znajomych kwiatów pobudził serce dziewczyny do szybszego rytmu. Jej szef wycelował w niewinne kwiaty oskarżycielki palec.

– Chciałbym panią ostrzec – powiedział. – Koło naszego sklepu kręci się podejrzany człowiek. Widziałem go już w zeszłym tygodniu. Udaje, że zaleca się do Army, a tak naprawdę to pewnie chce prześledzić moje zabezpieczenia antywłamaniowe. Jeśli pani

zobaczy, że on kręci się w pobliżu sklepu, proszę zaraz dać mi znać brzęczkiem, a ja wezwę posterunkowego, żeby go wylegitymował. W gazetach pełno jest sprawozdań z różnych napadów. Musimy być czujni!

– A jak on wygląda? – zapytała struchlała dziewczyna.

– Dość wysoki, chodzi w prochowcu i kapeluszu, ciemne włosy, jasne oczy.

O, Boże! Czyżby to był jej nieznajomy? Więc to nie o nią mu chodziło, tylko o sejf pana Bergera? A te kwiaty to miał być tylko kamuflaż?

Skinęła głową szefowi i poszła do sklepu. Irma powitała ją łobuzerskim przymrużeniem oka.

– Stary znowu dostał fioła na punkcie włamywaczy. Co jakiś czas urządza takie historie i każe legitymować różnych facetów. Chociaż raz, nie powiem, chyba zdybał jakiegoś niebieskiego ptaszka, bo policjant powiedział mu potem, że tamten był na liście poszukiwanych przez Interpol. A pani to wygląda, jakby zobaczyła ducha. Tak panią wystraszył?

To nie ducha zobaczyła Dorota przez szybę wystawy, tylko Maksa Sieferta, który kłaniał jej się, trzymając kapelusz przy piersi.

Powinna teraz nacisnąć brzęczyk, ale nie może ruszyć ręką.

Przez chwilę bezradnie patrzyła na uśmiechniętą, przystojną męską twarz, a potem odwróciła się i jak automat poszła do pokoiku na zapleczu. Tam przetała twarz zimną wodą i poczekała, aż jej się oddech uspokoi. Kiedy wróciła *do* sklepu, przed wystawą nie było już nikogo.

Dziewczyna sama nie wiedziała, jak dotrwała do końca pracy. Na szczęście tego dnia ruch był niewielki; kiedy tylko pan Berger dał sygnał do zamknięcia sklepu, oddała mu klucze i prawie wybiegła z bramy.

Prosto na uśmiechniętego Hansa Lebrotta.

– Pomyślałem sobie – powiedział kłaniając się – że może mnie pani nie przepędzi, jeśli zaproponuję jej odwiezienie do domu. Nawet nie śmiem dziś namawiać panią na spacer; za to jutro po

koncercie może wybierzemy się gdzieś?

Tym razem Dorota nie wahała się.

– To miło z pana strony, dziękuję – odrzekła podchodząc do auta. – Chętnie skorzystam z pana uprzejmości, bo śpieszę się do domu. A co do jutrzejszego dnia, to zobaczymy.

Hans pomyślał z zadowoleniem, że może sobie zapisać dwa punkty: żadna z jego propozycji nie spotkała się z odmową. Uradowany włączył silnik i ruszył. Jadąc pod znany sobie adres, zapytał, o której może przyjechać nazajutrz.

– Jak panu wygodnie; my się dostosujemy.

– Będę czekał pod bramą na pół godziny przed rozpoczęciem koncertu. Odpowiada to pani?

– Jak najbardziej. A teraz dziękuję i do widzenia.

Podawała mu rękę i czym prędzej wysiadła z auta. Zanim zdążył okrążyć samochód, by otworzyć jej drzwiczki, już zniknęła w bramie.

Biegła po dwa stopnie, aż na trzecim piętrze przystanąła. Musi się opanować; ojciec nie może jej zobaczyć w stanie takiego wzburzenia. Ale jeżeli to prawda, jeżeli pan Berger miał rację, to...

Rozpłakała się, przytulając głowę do muru. Nagromadzone przez cały dzień emocje musiały wreszcie znaleźć ujście.

Po chwili poczuła na ramieniu delikatne dotknięcie.

– Co ci jest? Czemu płaczesz?

Zza ramienia szlochającej dziewczyny wysunęła się ręka trzymająca czystą chusteczkę do nosa. Dorota odwróciła się i napotkała współczujące spojrzenie orzechowych, nieco zbyt mocno umalowanych oczu. Zuzanna wciągnęła ją do swego mieszkania i posadziła na chwiejącym się fotelu, zabierając z niego przedtem rozłożoną sukienkę.

– Siadaj. Zaraz dam ci wody.

Po chwili Dorota wypita łyk zimnej wody, a Zuza przysiadła na krześle obok niej. Poczekała, aż dziewczyna się uspokoi i zapytała cicho:

– To przez faceta, co?

Dorota spuściła głowę, nic nie mówiąc. Zuza pokiwała

domyślnie głową.

– Oni wszyscy są jednakowi. Najpierw miłe słówka, obiecanki-cacanki, a potem radź sobie sama, adiu Fruziu, śpieszę się na pociąg. A ten twój co ci zrobił?

– Nic... – westchnęła żałośnie Dorota. – To ja się pomyliłam. Wzięłam go za kogoś innego. – Tu znowu łzy zaszkliły jej oczy.

– Każdy z nich udaje kogoś innego – prychnęła Zuza. – Stary udaje młodzika, gołodupiec – bogacza, cwaniak udaje naiwniaka i tak dalej. A ten kogo udawał?

– Nie wiem... Że mu się podobam.

– A, tego akurat wcale nie musiał udawać. Przecież świetna z ciebie dziewczyna! Może to jakieś nieporozumienie?

– Nie wiem. Dziękuję za wodę, już mi lepiej – uśmiechnęła się z wdzięcznością. – A jak twoja praca?

– Dostałam tę rolę. Tyram na próbach jak dziki osioł. Reżyser to despota, ale muszę go słuchać bez gadania. Nie mam takiej pozycji w teatrze jak główna gwiazda, która może wszystkim narzucać swoje widzimisię. – Zaczęła z poczuciem humoru naśladować gwiazdę operetki: – Dzisiaj nie śpiewam, bo jestem niedysponowana... W tej sukni nie wystąpię, bo w zielonym mi nie do twarzy... Proszę światła skierować bardziej na mnie... – przeszła po pokoju, kołysząc się w biodrach, wachlując wyobrażonym wachlarzem i posyłając fałszywe uśmiechy w stronę Doroty, która w końcu parsknęła śmiechem.

– Masz prawdziwy talent komiczny!

– A co? Zapraszam cię na premierę. To już za dwa tygodnie. Przyjdiesz? Obiecuj, że przyjdiesz!

– Dobrze, z przyjemnością. A teraz muszę już iść. Dziękuję za wodę i za... wszystko.

– Nie ma za co. Trzymaj się. – Zuzanna odprowadziła nową przyjaciółkę do drzwi, a potem wróciła przed lustro do ćwiczenia swojej roli. Była zdecydowana dać z siebie wszystko.

Dorota późno w nocy stała przy oknie, wpatrując się w księżyc wędrujący nad dachami miasta. Rozmyślała o tym, że nie zna

pułapek, jakie może jej zgotować życie. Wychowana w poszanowaniu prawdy i uczciwości, nie zdawała sobie sprawy, że oszuści, łajdacy i zbrodniarze żyją nie tylko na kartach powieści kryminalnych, ale również w rzeczywistości. Jak sobie radzić w wielkim mieście? Jak odróżnić dobrych ludzi od złych? Czy może zaufać swojemu sercu? Czy Maks istotnie jest niebieskim ptakiem, który oczarował ją, z zawodową sprawnością stwarzając romantyczne pozory?

Nie mogła w to uwierzyć.

Nazajutrz, punktualnie o wpół do siódmej, Hans Lebrott zajechał przed dom na Mariahilferstrasse. Nie czekał długo. Wkrótce w bramie ukazała się Dorota, prowadząc pod rękę siwego, eleganckiego pana, który podpierał się laską. Kiedy zbliżyli się do auta, powiedziała:

– Ojczy, pozwól że ci przedstawię pana Hansa Lebrotta. – Zwracając się do Hansa, dodała: – To jest mój ojciec.

– Miło mi pana poznać – powiedział przyjaźnie pan Belenburg, wyciągając dłoń do młodego mężczyzny. – Córka mówiła mi o panu.

– To dla mnie zaszczyt – Hans z ukłonem uściśnął podaną mu rękę i otworzył drzwi samochodu. – Mama również cieszy się na poznanie pana hrabiego.

Droga do opery nie trwała długo. Podjechali pod imponujący gmach, potem powoli weszli do marmurowego hallu, gdzie już zbierało się eleganckie towarzystwo miłośników muzyki i snobów, którzy zazwyczaj tłumnie przychodzą na występy artystów o międzynarodowej sławie. Rozejrzawszy się uważnie, Hans wypatrzył w tłumie swoją matkę i skierował do niej kroki. Kiedy przedstawił jej pana Belenburga, twarz pani Laury rozjaśnił zachwycony uśmiech.

– Tak się cieszę, że mogę pana poznać, panie hrabio! Do tej pory miałam przyjemność cieszyć się towarzystwem pańskiej córki i muszę przyznać, że jestem pod jej urokiem. Nie dziwię się,

że Hans... – tu taktownie urwała, widząc rumieniec występujący na twarzy dziewczyny. – Chodźmy już do łoży, bo tu robi się coraz cieżniej. – Ruchem głowy wskazała kierunek.

Weszli na marmurowe schody, pokryte czerwonym chodnikiem i po chwili znaleźli się w łoży na pierwszym piętrze. Tam Hans troskliwie pomógł paniom zająć miejsca i podsunął fotel panu Belenburgowi. Podczas gdy Dorota rozglądała się po sali, a Hans ukradkiem wypatrywał znajomych, pan Herman czuł się w obowiązku bawić rozmową panią Lebrott.

– Jestem pani wdzięczny za to zaproszenie. Do tej pory nigdzie nie bywaliśmy ze względu na... okoliczności. – Nie chciał mówić o żałobie i chorobie.

Pani Laura, doskonale zorientowana, jakie okoliczności miał na myśli, ze zrozumieniem skinęła głową i odparła przyjaźnie: – Najważniejsze, że zdecydowaliście się państwo na to wyjście. Mam nadzieję, że to nie będzie nasze ostatnie spotkanie. Byłabym bardzo rada, gdybyście państwo zechcieli przyjść na jedno z najbliższych moich przyjęć.

– Widząc wahanie na twarzy hrabiego, dodała: – Panna Dorota będzie mogła trochę się rozerwać w towarzystwie... Bardzo ją podziwiam, bardzo, a Hans jest najwyraźniej pod jej urokiem. – Spojrzała przelotnie, jakie wrażenie wywrze na ojcu Doroty zapuszczona sonda. Jego twarz wyrażała jednak co najwyżej uprzejme zainteresowanie.

– Pani syn, jak słyszałem, wybiera się na placówkę dyplomatyczną?

– zagadnął.

– Tak, na studiach specjalizował się w prawie międzynarodowym, a teraz ma zacząć pracę w dyplomacji. Po nowym roku wyjedzie do Lizbony. To dobre miejsce, na początek.

– To interesujące – uśmiechnął się pan Herman i zmienił temat:

– Lubi pani kreacje Szalapina? Widziała go pani może w „Borysie Godunowie”?

– Och, tak! Był cudowny! – odparła z emfazą pani Laura, która w swoich zachwytach nie umiała wyjść poza kilka komunałów.

Zresztą czy ona na pewno widziała tego „Borysa Godunowa”?

Na szczęście światło na sali zaczęło przygasać, a z kanału orkiestry dało się słyszeć strojenie instrumentów. Po chwili na swoje miejsce wszedł znany wiedeński dyrygent, powitany gromkimi brawami. Ukłoniwszy się, podniósł ręce i na sali zapanowała cisza. Potem rozległy się dźwięki uwertury do „Zaczarowanego fletu” Amadeusza Mozarta. W ten sposób składano hołd patronowi tej sceny. Następnie rozsunęła się kurtyna i na scenę wszedł wielki śpiewak, by zaprezentować swoje najświetniejsze arie. Potężny, miękki bas wypełnił całą salę.

Dorota słuchała jak urzeczona. Dawno już nie miała możliwości słuchania muzyki i teraz czuła się tak, jakby po długiej podróży znów znalazła się w dobrze znanych, wytęsknionych stronach. Nie zwracała uwagi na nic, zapomniała o swoim towarzystwie; chwilami tylko odnosiła przelotne wrażenie, że patrzą na nią czyjeś oczy.

W czasie przerwy pani Laura, widząc, że ojciec Doroty ma trudności z chodzeniem, taktownie zaproponowała: – My tu sobie zostaniemy i porozmawiamy, a wy idźcie się czegoś napić i przynieście nam... – tu zwróciła się do starszego pana – Może wypijemy po kieliszku szampana?

– Jak pani sobie życzy – odparł z kurtuazją.

Kiedy młodzi wyszli, pani Laura westchnęła, odprowadzając ich wzrokiem: – Jaka z nich byłaby ładna para! Proszę mi wybaczyć, że mówię tak bezceremonialnie, ale znam mego syna i mogłabym przysiąc, że jest bardzo zainteresowany panną Dorotą. Oczywiście, znają się zbyt krótko, by snuć na ich temat jakieś przypuszczenia, ale przyznam się panu, że z najwyższym zadowoleniem powitałabym wiadomość o ich zaręczynach.

Widząc, że pan Belenburg zachnął się, uśmiechnęła się rozbijając i pośpieszyła z wyjaśnieniem: – Niech pan nie ma za złe stroskanej matce tych słów. Znam wiele młodych panien, które chętnie przyjąłby oświadczyzny Hansa, ale ja wiem, że chodziłoby im głównie o jego majątek i pozycję... którą już niedługo zacznie sobie wyrabiać. Tymczasem panna Dorota

wydaje się hołdować przede wszystkim wyższym wartościom...

– Moja córka jest już dorosła – powiedział powściągliwie pan Herman, ukrywając fakt, że komplementy pani Lebrott pod adresem jego córki sprawiły mu przyjemność. – Ufam, że wybierając towarzysza życia będzie się kierowała sercem i zasadami, które wpoiliśmy jej z żoną.

– Jaka szkoda, że pańska małżonka odeszła w tak młodym wieku – westchnęła pani Laura.

– Nie sądziłem, że pani o tym wie – pan Belenburg spojrział na nią ze zdziwieniem.

Pani Laura zmieszała się. Nie mogła się przecież przyznać, że wie to z raportu detektywa! Powiedziała więc wymijająco: – Ach, świat jest taki mały! Z pewnością mamy wspólnych znajomych, a ja ostatnio, przyznając, mówiłam chętnie o panie Dorocie.

Pan Herman postanowił zmienić temat: – Jeszcze raz dziękuję pani za to uprzejme zaproszenie. Ostatnio córka ma zbyt mało kontaktu z ludźmi, ze sztuką...

– Och, bardzo łatwo można to zmienić! Hans będzie zachwycony, mogąc towarzyszyć pana córce, gdziekolwiek panna Dorota zechce się udać. Jeśli pan obawia się pozwolić im na wychodzenie bez asysty, zapewniam pana, że mój syn wie, jak odnosić się z szacunkiem do panny z dobrego domu i na pewno nie zaprosi jej do miejsca, którego pan by nie zaakceptował. Gdyby mimo wszystko miał pan obiekcje, jestem gotowa chodzić z nimi, aby wszystko było jak należy...

Pan Belenburg z uśmiechem pokręcił głową. – Mówiłem już, że Dorota jest dorosła i sama umie rozeznąć, co jej przystoi, a co nie. Nie wątpię również, że pani syn jest dżentelmenem. Zostawmy to im, niech sami układają sobie swoje sprawy, dobrze? Jak się pani podoba koncert?

Pani Laura musiała uznać, że w pierwszej rozmowie osiągnęła wszystko, co mogła, i może teraz wypowiedzieć kilka zdawkowych komplementów pod adresem wielkiego śpiewaka.

Tymczasem Hans zaprowadził Dorotę w poblizze bufetu. Tam na chwilę ją zostawił, a sam poszedł złożyć zamówienie.

Dziewczyna, stojąc przy marmurowej kolumnie, obserwowała ożywiony tłum, składający się z ludzi bogatych, swobodnych i dobrze ubranych. Ona sama miała na sobie skromną, ale elegancką czarną sukienkę i pojedynczy sznur pereł, ale nie czuła się tu jak uboga krewna. Po prostu przestała się porównywać z tymi ludźmi, bo wydawało jej się, że już nie należy do ich świata, że jest tu tylko gościem i widzem.

Nagle ponownie odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła głowę i wstrzymała oddech – nie dalej niż dwa metry przed nią stał Maks Siefert w doskonale skrojonym smokingu i patrząc jej radośnie w oczy, kłaniał się! Wcale nie wyglądał na włamywacza ani niebieskiego ptaka; czuło się, że w tym towarzystwie jest kimś całkowicie na swoim miejscu.

Dorota poczuła taką ulgę i radość, że wszystko w jej oczach pojaśniało. Jej rozradowane spojrzenie musiało być bardziej wymowne od opanowanego skinięcia głową, gdyż Maks poruszył się, jakby chciał podejść, ale w tej chwili wrócił Hans i podając jej lemoniadę zapytał:

– Może wrócimy do naszej łóży? Taki tu tłok.

Dorota zmieszała się: ta chwila wystarczyła, by drugi mężczyzna odwrócił się i odszedł; dziewczyna uchwyciła jeszcze żegnające ją, nagle posmutniałe błękitne spojrzenie.

Nie zdawała sobie sprawy, jak znalazła się z powrotem w łóży. Mechanicznie odpowiadała na pytania Hansa, a potem ojca, nie bardzo wiedząc, czego dotyczą. Ojciec znów przypisał jej zmieszanie obecności tego młodego mężczyzny i – choć się trochę dziwił, co Dorota w nim dostrzegła szczególnego – postanowił nie sprzeciwiać się jej wyborowi. Zwłaszcza że pani Laura jasno dała mu do zrozumienia, że jej syn żywi jak najuczciwsze zamiary. No, cóż, może nie kogoś takiego chciałby nazwać synem, ale też niewiele mógłby mu zarzucić poza tym, że jakoś nie pasował do jego córki. Z westchnieniem uznał, że jej zdanie jest w tym wypadku najważniejsze.

Zaczęła się druga część koncertu. Dorota dyskretnie rozglądnęła się po sali; chcąc dojrzeć, gdzie siedzi Maks Seifert.

W przygaszonym świetle sala wyglądała tajemniczo; krąg jasnego światła otaczał tylko mocną sylwetkę artysty, który śpiewał teraz arię z „Wesela Figara”. Przyzwyczajwszy wzrok do półmroku, systematycznie przesuwiała wzrokiem po rzędach parteru i lożach. Wreszcie w loży naprzeciwko, trochę na prawo, zobaczyła ruch głową, pochylenie ramion, coś nieuchwytnego, co sprawiło, że jej serce zaczęło mocniej bić. Odwróciła głowę w stronę sceny, ale już wiedziała, gdzie on jest i czuła, że tamto miejsce przyciąga jej uwagę, jakby wysyłało delikatne fluidy. Przez chwilę wydało jej się, że w tej wielkiej sali nie ma nikogo tylko ich dwoje, a między nimi przepływa muzyka; jakby pozdrawiali się z dwóch brzegów rozśpiewanej rzeki.

Siedziała tak i chciała tylko jednego: żeby ten koncert nigdy się nie skończył.

Kiedy jednak, po licznych bisach, ukłonach i koszach kwiatów wybrzmiały ostatnie brawa i światła z kryształowego pająka znów oświetliły czerwonozłotą salę, Dorota poczuła się, jakby ją zbudzono z pięknego snu. W loży zrobiło się trochę zamieszania ze wstawaniem, podawaniem paniom okryć i wychodzeniem. Zdołała jednak rzucić okiem na lożę naprzeciwko. Obok smukłej męskiej sylwetki, odwróconej w stronę drzwi, zobaczyła przez moment postać kobiecą, ubraną w błękitny jedwab.

A może jej się tylko zdawało?

Maks Siefert siedział w poważnej, skupionej atmosferze Biblioteki Narodowej nad opasłym tomem prawa rzymskiego. Przed ostatnim egzaminem adwokackim musiał przypomnieć sobie wiadomości ze studiów. Jego praktyka u mecenasa Reissa dobiegała końca. Jeszcze tylko ten jeden egzamin, składany przed nestorami Izby Adwokackiej, dzielił go od nowego rozdziału życia, od samodzielności.

Westchnął głęboko, wdychając zapach drewnianych regałów i szacownego kurzu na książkach. Dziś nie mógł się skupić. Myśli uciekały mu do ostatnich spotkań z tą Fiołkową Dziewczyną,

która tak zapadła mu w pamięć. Chyba zrobił jakieś postępy? Jej oczy, kiedy natknęli się na siebie przypadkowo w operze, oczy rozjaśnione radością, nie mogły kłamać. Żałował, że mimo wszystko nie podszedł się przywitać. No i co z tego, że była w towarzystwie innego mężczyzny? Może to kuzyn? Przecież on też był z siostrą, która przyjechała na parę dni do Wiednia, na konsultację ze znanym lekarzem. Była nieco anemiczna, a właśnie spodziewała się pierwszego dziecka.

Jak ten czas leci! Jeszcze niedawno Alicja była wesołym podlotkiem, który wieształ mu się na szyi, kiedy on, oficer kawalerii c. k. armii austriackiej, przyjeżdżał na krótkie urlopy z frontu, a potem już widział ją na pierwszym balu, kiedy przedstawiał jej kolegę z pułku, uchodźcę z Finlandii. Nie wiedział wtedy, że pomaga przeznaczeniu, które miało połączyć tych dwoje młodych. Ale po niecałym roku, w zastępstwie nieżyjącego ojca, prowadził do ołtarza pannę młodą w sukni z koronek, tej samej, którą nosiła na swoim ślubie jeszcze jej babka. Nowożeńcy zamieszkali w zakupionym okazjnie majątku w okolicach Salzburga. Artur Rutmayer, jego szwagier, ukończył studia rolnicze w Niemczech i teraz zamierzał rozwinąć w majątku hodowlę rasowych koni.

On sam zrzekł się na rzecz matki i siostry schedy przypadającej mu po ojcu, bardzo pomniejszonej przez bankructwo Banku Drzewnego, w którym ojciec lokował swoje kapitały. Postanowił sam radzić sobie w nowej, powojennej rzeczywistości, korzystając z dyplomu z prawa, który zdążył uzyskać przed wojną w Heidelbergu.

Odwiedził swoją małą siostrzyczkę, obecnie szczęśliwą mężatkę, wraz z matką na Wielkanoc. Zostali tam przez kilkanaście dni. Podczas tego pobytu towarzyszył państwu Rutmayerom w składaniu sąsiedzkich wizyt, między innymi u pani Herminy von Belenburg, której posiadłość znajdowała się o pół godziny drogi powozem, blisko jeziora Mosee. To tam, w nieco ciemnym salonie, wypełnionym mahoniowymi meblami w stylu biedermaier, zobaczył na fortepianie fotografię

dziewczyny na koniu i zapytał o nią.

– To moja krewna, córka kuzyna, Dorota – powiedziała gospodyni z dumą. – Mieszka teraz w Wiedniu i uczy się samodzielnego życia. Niefortunne okoliczności zmusiły ich do opuszczenia majątku... – urwała i tylko westchnęła. Po co o tym mówić?

To go jeszcze bardziej zaintrygowało. Alicja, która umiała wyczuć wszystkie jego nastroje, zorientowała się w lot, że może być pomocna.

– Chciałabym usłyszeć coś więcej o tak dzielnej osobie! – zachęciła starszą panią. – Panna Dorota sama wybrała sobie zawód?

– Nie mogła wybierać; to wszystko działo się tak szybko – odparła zapytana. – Bez przygotowania musiała skoczyć na głęboką wodę. Ale nie załamała rąk. Nie chciała też rozstać się z ojcem, który ostatnio zachorował. Przyjęła posadę w jakimś sklepie jubilerskim, podobno dość eleganckim – dodała niechętnie pani Hermina. – Mam nadzieję, że to tymczasowe zajęcie; to żadna przyszłość dla młodej kobiety z jej zdolnościami.

– Tym bardziej ją podziwiam – oświadczyła Alicja. – Chętnie ją poznam, kiedy pojedę do Wiednia. Więc mówiła pani, że pracuje w eleganckim sklepie jubilerskim? To pewnie gdzieś w okolicach katedry świętego Stefana...

– Koło opery – mruknęła starsza pani nie podejrzewając, że dostarcza właśnie Maksowi upragnionej wskazówki. Gdyby o tym wiedziała, byłaby zadowolona, bo bardzo przypadł jej do gustu ten przystojny młody człowiek o uczciwym spojrzeniu i energicznym zarysie ust. Słyszała, że ma otworzyć kancelarię w Salzburgu i już zdecydowała, że jemu właśnie powierzy swoje sprawy majątkowe.

Kiedy po skończonej wizycie Maks znalazł się z siostrą w powozie, w drodze do domu, bez słowa ucałował ją w policzek, a ona milcząc pogładziła go po ręce. Zrozumieli się.

Postanowił, że zrobi wszystko, by poznać tę śliczną i dzielna dziewczynę, która umiała przyjąć wyzwanie losu. Właśnie takiej szukał po przeżyciach wojennych nie potrafił znaleźć wspólnego

języka z pannami wychowanymi według przedwojennych wzorów, paplającymi o najnowszych powieściach, modnych kurortach i nie mających pojęcia, jak wygląda prawdziwe, brutalne życie na zewnątrz ich eleganckich buduarów. Polityka była dla nich nudna i wulgarna, ale to właśnie polityka rzuciła go na cztery długie lata na front i kazała patrzeć na śmierć i rany tylu młodych mężczyzn po obu stronach frontu.

Owszem, musiał przyznać, że niektóre z tych wymuskanych laleczek potrafiły ubrać fartuchy pielęgniarek i pójść do przyfrontowych szpitali, aby tam robić wszystko – od mycia podłóg do mycia pokiereszowanych ciał. Poznał kilka takich dzielnych panien, kiedy leżał ranny w nogę po walkach w Galicji. Ale jakoś żadna nie poruszyła jego serca, choć zachował o nich wdzięczne wspomnienie.

A tutaj dziewczęca twarz na fotografii zrobiła na nim takie wrażenie...

I to wrażenie nie zmalowało, kiedy zobaczył ją samą po powrocie do Wiednia. Trochę głupio się czuł, wychodząc na chwilę z kancelarii mecenasa Reissa pod byle pretekstem, aby śledzić nieznajomą. Specjalnie ubrał stary kapelusz i prochowiec, żeby wtopić się w tłum, a przynajmniej samemu schować się w tym przebraniu.

Poznał ją od razu. Szła, uśmiechając się leciutko do czegoś. Może do słońca, które tak złociło jej włosy? Może do tego wiosennego dnia? Przystanąła przy straganie z kwiatami i na moment przytknęła nosek do fiołków, ułożonych w szerokiej misie. Potem poszła dalej i zniknęła w cienistej bramie obok sklepu.

Odtąd zaczął wychodzić o stałej porze, aby móc odprowadzić wzrokiem nieznajomą. A po paru dniach odważył się stanąć w bramie. Nie zmierzyła go oburzonym wzrokiem, raczej była zdziwiona, ale jej spojrzenie było ufne i przyjazne. Oczywiście, zawieranie znajomości z nieznajomym, wyglądającym w dodatku jak inkasent z gazowni, nie wchodziło w grę, i dobrze to rozumiał.

Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego nie stara się jej poznać w

normalny sposób i nie składa po prostu wizyty krewnym pani Herminy, którą poznał w Rau. To byłoby najprostsze. Ale, biorąc pod uwagę ich obecną sytuację, nie był pewny, czy pan Belenburg z córką mają ochotę na przyjmowanie gości. Nie chciał być intruzem, nie chciał ich krępować. Wolałby też, żeby ona zobaczyła w nim jego samego, a nie dobrze skoligaconego i świetnie zapowiadającego się prawnika. Było w tym coś z wyzwania losu i romantycznej intrygi, ale to mu dziwnie odpowiadało. Chciał, żeby się rozpoznali jak para rozbitków na nieznanym lądzie.

Jego sprzymierzeńcem okazała się burza. Właśnie wyszedł, kiedy się przetoczyła nad miastem, i zobaczył swoją Fiołkową Pannę, jak stała pod murem, rozglądając się za jakąś osłoną przed deszczem. Tego dnia błogosławił nieznanego mu, niestety, wynalazcę parasola. Cóż to za wspaniały pośrednik w romantycznych misjach! Ten spacer z uśmiechniętą dziewczyną pozostał w jego pamięci jak ulotna piosenka, motyw muzyczny wpleciony w szum miasta i ciąg jego pracowitych dni. Prawie nie pamiętał, o czym rozmawiali – i czy w ogóle rozmawiali – tak był pochłonięty próbą zapamiętania wszystkich szczegółów: lekko zaróżowionych policzków, rozświetlonych uśmiechem oczu, delikatnych palców, nieśmiało dotykających jego rękawa, pięknie wykrojonych ust i wreszcie jej smukłego cienia, znikającego za nią w mroku sieni, kiedy ich przechadzka – zbyt szybko! – dobiegła końca pod bramą starej kamienicy.

Wciąż to przeżywał na nowo. Westchnął teraz tak mocno, aż jego sąsiad podniósł oczy znad grubego foliału, który nieprzerwanie studiował. Uśmiechnął się przepaszająco i spuścił oczy na stronicę książki. Prawo rzymskie przemawiało językiem konkretnym i logicznym. Apelowo do rozsądku. Znów spojrzął przez okno na błękitne niebo nad koronami drzew. Tak... jak długo można tak wystawać przed sklepem i liczyć na przypadkowe spotkanie? Już się zdarzyło, że kiedy włożył fiołki za klamkę drzwi do sklepu, te otwarły się nagle i jakiś gruby jegomość o oczach podejrzliwej ropuchy obrzucił go nieprzyjaznym

spojrzeniem, po czym zachrobotał zamkami.

To niepoważne. Nie może dłużej zachowywać się jak zakochany sztubak albo błędny rycerz. Trzeba przystąpić do działania.

Tylko jak? Tutaj nie mają wspólnych znajomych, przez których mogliby się poznać. Co innego w Rau... Chociaż właściwie to już się jej przedstawił. Tylko co dalej? Coś wymyśli! Ale najpierw egzamin. To teraz najważniejsze.

Maks z determinacją pochylił głowę nad książką.

Mniej więcej w tym samym czasie pani Laura Lebrott siedziała w swoim prywatnym saloniku, w fotelu obitym malinowym jedwabiem i po raz kolejny czytała bilecik, który wraz z tuzinem herbacianych róż przysłany został z najelegantszej kwiaciarni.

Szanowna Pani,

Raz jeszcze w imieniu córki i swoim dziękuję za uprzejme zaproszenie na koncert. Było to dla nas interesujące przeżycie artystyczne, a towarzystwo Pani oraz Jej Syna dodało mu atrakcyjności.

Mam nadzieję, że po powrocie do Wiednia zechcą Państwo przyjąć nasze zaproszenie na któryś z ciekawszych koncertów lub spektakli teatralnych. Łączę ukłony i wyrazy szacunku

Herman Belenburg

Od razu widać, że to człowiek z klasą. Co prawda, list jest krótki i niespecjalnie serdeczny, ale to zaproszenie... No cóż, nie ma się co czarować. Też niezbyt gorące, niestety.

W wyższych sferach, widocznie, obowiązuje taki styl.

Nie znaczy to, by w kręgach towarzyskich, w których obracała się obecnie pani Laura, postępowano inaczej, ale dla niej wszystko, co robił człowiek obdarzony tytułem arystokratycznym, było nacechowane szczególną dystynkcją i wyjątkowością. Pod tym względem nie różniła się od pani Otylii. Zresztą nie było w

tym nic dziwnego; bo wywodziła się z rodziny dzierżawcy niedużego majątku w Styrii, który przeniósł się do Wiednia i tu otworzył handel hurtowy mąką. W czasie wojny wzbogacił się nie tyle na dostawach dla armii, co na czarnym rynku, gdzie ceny żywności rosły z roku na rok. Po czterech latach powalił go atak apopleksji. Interesy wziął w swoje ręce zięć i on dopiero zmienił ich majątek w prawdziwą fortunę, sprytnie lokując pieniądze w najbardziej poszukiwanych towarach.

A po wojnie został głównym udziałowcem banku. Teraz jego interesy i wpływy obejmowały kilka sąsiednich krajów.

Przed państwem Lebrott otworzyły się salony wiedeńskiej plutokracji. Bywali na eleganckich przyjęciach, na które kwiaty do ubrania stołu sprowadzane były samolotem z Nicei, a kreacje pań pochodziły wyłącznie z któregoś z wielkich paryskich domów mody. Ona wybrała Diora, bo – jak usłyszała, czy przeczytała gdzieś – „łączył to, co piękne, z tym, co wytworne”. Tego właśnie potrzebowała, by poczuć się pewniej w czasie swoich pierwszych występów w wielkim świecie.

Na początku, nieco onieśmielona, trzymała się na uboczu, pilnie obserwując zachowanie pań otaczanych największym kręgiem osób. Potem dyskretnie włączała się do różnych grup, z uprzejmym uśmiechem słuchając toczących się rozmów. Mówiono o ostatnich premierach (szczególnie Opera Państwowa była wysoko notowana), wydarzeniach politycznych (kto został nominowany na jakie stanowisko i co to oznacza), wyjazdach do kurortów (modne wciąż były Ostenda i Baden-Baden) oraz o zaręczynach, ślubach lub – rzadko i ściszymi głosami – o śmierciach i rozwodach.

Pani Laura szybko wyciągnęła z tego wnioski. Męża nakłoniła do wykupienia łoża w operze, zaprenumerowała dziennik, którego nazwa padała szczególnie często w rozmowach, i zaczęła go pilnie czytać. Wkrótce mogła swobodnie włączyć się do salonowej konwersacji bez obawy, że strzeli jakieś głupstwo.

Latem pojechała z mężem na parę tygodni do Baden-Baden, gdzie potężnie się wynudziła, spacerując po eleganckim deptaku

lub słuchając koncertów w wielkim pawilonie. Mąż, choć doceniał jej starania i rozumiał ich sens dla prestiżu banku i nazwiska, znudzony uciekł po dwóch tygodniach, tłumacząc się pilnymi interesami. Z matką pozostał Hans, który kiedy tylko mógł, uciekał w jakieś nieznane jej rejony, by tam dokazywać z rówieśnikami.

Jej pozostało sączenie kruszonu na tarasie kawiarni w towarzystwie podobnych jej, bogatych i znudzonych pań, i obserwowanie eleganckiego, międzynarodowego towarzystwa.

Bystre oczy pani Laury dostrzegły wkrótce, że są kręgi, do których nawet duże pieniądze nie są wystarczającym biletem wstępu. Kiedy do uzdrowiska przyjechała królowa grecka, bywanie w jej towarzystwie było udziałem wybranych. Istniały sposoby witania się, wymiany uśmiechów i uprzejmości, z których ona była wyłączona. Te damy, od których dzielił ją niewidoczny mur, miały w swoim sposobie bycia coś, co je wyróżniało. Swobodę? Pewność siebie? Wtajemniczenie? Tego nie dało się udawać bez popadania w śmieszność, więc pani Laura nawet nie próbowała. Ale ten niewidoczny mur stanowił dla niej wyzwanie. Była pewna, że jest sposób na to, by znaleźć się po drugiej stronie. Musi być jakaś ukryta furтка.

I któregoś dnia ją dostrzegła, a przynajmniej tak jej się zdawało. Kiedy siedziała w kawiarni ze znajomymi paniami, usłyszała, jak przez salę przechodzi szum szeptów, a potem kierownik sali wybiegł prawie w ukłonach naprzeciw dystyngowanego mężczyzny, któremu towarzyszyło kilka osób.

– Witam, ekscelencjo – powiedział uniżonym tonem. – To dla nas wielki zaszczyt. Czy mogę zaproponować waszej ekscelencji ten sam stół, co zwykle?

Ujrzawszy łaskawe skinienie głową, w lansadach zaprowadził towarzystwo do najlepszego stolika przy oknie, na którym zazwyczaj widniała tabliczka „Zarezerwowane”.

– Kim jest ten pan? – zapytała pani Laura sąsiadki przy stoliku.

– Nie wie pani? – zdziwiła się obłudnie zapytana. – To ambasador Wielkiej Brytanii, lord Fairfax.

– Czy tylko lord może zostać ambasadorem? – pytała dalej pani Laura, nie przejmując się tym razem, że może wyjść na nieobytą gęś.

– No cóż, dobre urodzenie jest wielką zaletą, ale odpowiednie uzdolnienia też mogą być docenione...

– I stosunki – dodała sąsiadka z lewej. – Jak zawsze.

To jej wystarczyło. Stosunki to było coś, co – w obecnych czasach – można było znaleźć za pieniądze. A jej Hans na pewno nie był głupszy od tych wyelegantowanych dżentelmenów, z których każdy wyglądał, jakby połknął kij od miotły.

Tak zrodziło się jej wielkie marzenie, które niebawem miało się ziścić.

Jeszcze raz popatrzyła na bilecik. Potem wyobraziła sobie siebie, jak wchodzi do salonu recepcyjnego ambasady w Lizbonie oparta na ramieniu tego eleganckiego, szpakowatego pana, a Hans przedstawia ich: „Moja matka, mój teść, hrabia Herman von Belenburg”. Słyszeć szmer uznania.

A teraz pora wrócić na ziemię.

W czasie wspólnego wieczoru w operze, a potem, podczas kolacji w eleganckiej restauracji, do której zaprosił ich Hans (za jej pieniądze, oczywiście), obserwowowała uważnie ojca i córkę. Panna nie zadzierała nosa, była miła i uprzejmie podtrzymywała rozmowę, ale pani Laura była pewna, że Dorota Belenburg patrzy na jej syna z takim samym uczuciem jak na fotel, na którym siedział. Ojciec zaś traktuje go z grzecznym dystansem i też bez specjalnego zachwyty.

Poczuła się urażona. Jej Hans na pewno zasługuje na więcej względów! Ale na razie sam się musi o nie postarać. Tylko lepiej, żeby się pośpieszył, bo czas nagli. W takich rodzinach ślubu nie bierze się na łapu-capu, narzeczeństwo musi potrwać kilka dobrych miesięcy, a tu najpóźniej na Boże Narodzenie musi się odbyć wesele!

Hans też najwidoczniej nie pali się do małżeństwa. No, trudno mu się dziwić; takiego życia, jakie prowadzi teraz, nie zgodzi się tolerować żadna żona. Będzie musiał zrezygnować z nocnych

szaleństw i bibek z kolegami. No, może nie ze wszystkich, ale to już nie będzie to samo.

Trudno, każdy musi wziąć na swoje barki brzemień życiowych obowiązków. I tak ominie go ciężka praca, jaka jest udziałem jego starszego brata. Ten pod surowym okiem ojca przechodził kolejno wszystkie szczeble stanowisk w banku, zapoznawał się z pracą pozostałych przedsiębiorstw, i to nie z fotela prezesa! Pewnie, Franz to okaz pracowitości i sumienności i może być z niego dumna. A raczej ojciec może być z niego dumny. Ale jej Hans zajdzie jeszcze wyżej i wtedy ojciec się przekona, że był dla niego niesprawiedliwy, nazywając go nicponiem i obibokiem. A ona będzie miała swoją chwilę tryumfu, bo to będzie jej dzieło.

Tak stanie się niebawem, ale na razie trzeba będzie go zmobilizować do większych starań.

Dorota, stojąc tego dnia za ladą z klejnotami, nie podejrzewała, że jest obiektem rozważań dwóch, jakże różnych osób. Powracała myślami do wieczoru w operze; przeżywała jeszcze raz spotkanie z Maksem i ulgę, jaką poczuła upewniwszy się, że podejrzania pana Bergera okazały się fałszywe. Tylko jedno wspomnienie starała się ominąć, właściwie przelotny obraz, może złudzenie? Światło kryształowego kandelabra padające na znikającą w głębi łoży kobiecą postać w błękitnej sukni. Kim była – jeżeli istotnie była – ta kobieta? Czy miała jakieś prawa do Maksa?

Na myśl, że może tak, robiło jej się bardzo smutno, a wszystko wokół szarzało. Pocieszała się, że mężczyzna mający poważne zobowiązania, nie próbowałby nawiązać z nią znajomości. Ale wtedy przypomniały jej się gorzkie słowa Zuzy: „Każdy kogoś udaje...”. Czyżby Maks udawał wolnego, aby nawiązać przelotną znajomość z panną sklepową? Przecież dla niego nie była nikim innym. „Wiem o pani wszystko, co najważniejsze: że jest pani piękną i pełną wdzięku kobietą”. To jego słowa. *Piękna i pełna wdzięku*. No tak. Czy nie o to chodziło przewrotnym uwodzicielom w czytanych po kryjomu francuskich romansach?

Jak strasznie w takich chwilach brakowało jej matki, mądrej kobiety, która powiedziała by jej coś o prawdziwym życiu! Już się domyślała, że nie jest ono tak piękne i uporządkowane, jak budujące historyjki, które opowiadano jej podczas nauki na pensji. Ale też chyba nie jest tak ponure, jak je w chwilach załamania widzi Zuza! Kto jej powie, gdzie leży prawda?

Tego dnia po pracy wstąpiła znów do kościółka i usiadła w drewnianej ławce przed ołtarzem świętej Katarzyny. Nie wiedziała sama, o co chce się modlić, więc tylko w myślach opowiedziała o swoich rozterkach. Kiedy to robiła, chaos w myślach zaczął ustępować, a ona poczuła ulgę, jakby sama możliwość zwierzenia się ze swoich kłopotów przyjaznej duszy była lekarstwem na troski.

Kiedy wróciła do domu, zastała ojca zajętego pakowaniem drobiazgów do skórzanej walizki.

– Tatusiu, pomogę ci! – zaproponowała. – Już się zdecydowałeś, kiedy chcesz jechać?

– Tak, wyjadę w poniedziałek. Odbędziemy jeszcze nasz niedzielny spacer, a następnego dnia po pracy odwiedź mnie na dworzec. Proszę cię tylko, żebyś wróciła taksówką.

– Ależ to niedaleko... – zaprotestowała.

– Pora będzie późna. Bardzo cię proszę, żebyś zawsze wracała taksówką do domu, jeśli zdarzy ci się gdzieś zostać dłużej, a nikt ci nie będzie towarzyszył. Obiecuj mi to. To mi jest potrzebne do spokoju tam, w Rau.

– Ja nie mam gdzie zostawać dłużej – wzruszyła ramionami Dorota. W jej głosie mimo woli zabrzmiała nuta goryczy.

Pan Herman wyprostował się, podszedł do córki, położył jej ręce na ramionach i patrząc jej w oczy powiedział: – Możesz chodzić, gdzie zechcesz. Jesteś już dorosła i wiem, że umiesz odróżnić dobro od zła. Każdemu z nas zdarza się popełnić błąd; wolni od pomyłek są tylko ci, którzy siedzą w kącie, nic nie robią i tylko liczą cudze grzechy. Nie chciałbym, żebyś tak się zachowywała. Masz prawo doświadczyć wszystkiego, co cię pociąga i fascynuje. Wierzę, że nie uwiedzie cię tani blichtr,

pozory i fałszywe słowa. Słuchaj swego serca, ale też nie lekceważ głosu rozumu. Czasy się zmieniły i dzisiaj kobiety mają prawo do większej swobody. Korzystaj z niej; wierzę, że sama rozpoznasz granicę między wolnością a anarchią. Ale nawet gdyby zdarzyło ci się zrobić fałszywy krok, pamiętaj, że ja zawsze stanę po twojej stronie...

Dorocie łzy zakręciły się w oczach.

– Tatusiu, dziękuję ci za te mądre słowa, ale mówisz tak, jakby... jakbyś... – tu nie wytrzymała i rozpląkała się na dobre.

Ojciec przytulił ją delikatnie i zaczął uspokajająco poklepywać po wstrząsanych szlochem plecach.

– No, no, już dobrze. Myślałaś, że wybieram się na tamten świat? Nic podobnego. To tylko bliskość podróży tak mnie filozoficznie usposabia. Wiesz, co mówią Francuzi: „Odjechać, to trochę umrzeć”. Ale przecież rozstajemy się tylko na kilka tygodni; w sierpniu przyjedziesz do ciotki, prawda?

Dorota, pociągając nosem, skinęła głową.

Pan Herman wyciągnął z walizki czystą chusteczkę, podał córce, a ją samą posadził na fotelu. Sam oparł się o krawędź stołu. Przez chwilę stał z założonymi rękami, patrząc z serdecznym uśmiechem na usiłowania Doroty, by zapanować nad łzami. Wreszcie podniosła na niego oczy; w oprawie mokrych jeszcze rzęs pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Już dobrze? – spytał, a kiedy skinęła głową, dodał: – Dam ci jeszcze ostatnią radę: staraj się żyć tym, co jest dzisiaj, i nie zamartwiać się tym, co może przynieść przyszłość. Przeważnie takie czarne myśli się nie sprawdzają, ale mogą zatruć każdą chwilę. Spróbujesz?

– Dobrze, tatku – obiecała dziewczyna.

– No, to w porządku. Na dzisiaj dosyć morałów. Nie chciałbym wyjść na pospolitego głodomora, który myśli tylko o rozkoszach stołu, ale teraz chętnie zjadłbym kolację.

Dorota zerwała się z fotela i zniknęła w kuchennym kąciku. W międzyczasie nauczyła się od pani Otylii robienia wyśmienitych omletów z różnościami, więc teraz szybko zrobiła dwa omlety z

szynką, pomidorami, czosnkiem i papryką. Do tego zielona sałata z sosem vinegrait. Na deser drożdżowy placek z kruszonką kupiony u piekarza. Pycha!

Pan Herman chwalił córkę z prawdziwą przyjemnością. Na początku jej kulinarnej edukacji był zdecydowany zachęcać ją do dalszych prób pomimo wszelkich niepowodzeń; przyrzekł sobie w duchu, że będzie jadł bez szemrania wszystko, choćby było twarde, łykowate, niesłone albo przesolone. Na szczęście, ku swojej wielkiej uldze, nie musiał się aż tak poświęcać. Pani Otylia była najwyraźniej dobrym pedagogiem, a jego córka zdolną uczennicą. Teraz już z przyjemnością czekał na każdy posiłek.

Po kolacji Dorota umyła naczynia i wyszła, żeby wynieść śmieci. Po drodze zadzwoniła do pani Otylii.

– Właśnie schodzę wyrzucić śmieci i pomyślałam, że może pani też ma coś do wyrzucenia, to wezmę po drodze – zaczęła dyplomatycznie.

– Niedoczekanie, żeby panna Dorota moje śmieci wyrzucała! – oburzyła się” starsza pani. – To nie wypada.

– No, cóż, myślałam, że mnie pani traktuje jak normalną osobę, ale widzę, że sama pani wie lepiej, co mi wypada, a co nie. – Dorota postarała się, żeby w jej głosie zabrzmiała uraza i słuszne oburzenie.

– Ależ ja nie dlatego – natychmiast zaczęła się tłumaczyć zakłopotana pani Otylia. – Tylko jak to tak... Ja przecież dla pani jestem obca...

– Na to, żebym robiła bałagan w pani kuchni to nie jest pani obca – nie ustępowała dziewczyna. – Na to, żeby mnie dokarmiać, to też nie, prawda? Tylko pani wiadro ze śmieciami jest dla mnie zabronione!

– Ja tak mówię dlatego, że pannie Dorocie to nie pasuje. Panna z dobrego domu...

– Jedną ręką będę trzymała koronę na głowie, a drugą wyrzucę śmieci!

Pani Otylia parsknęła śmiechem i pokręciła głową. – Panny Doroty to nikt nie przegada. No, już dobrze, ale żeby pani

pamiętała, że ja byłam przeciw!

– Jasne – zgodziła się dziewczyna, ominęła starszą panią i pomaszzerowała do kuchni.

Kiedy po niedługim czasie wróciła, żeby oddać wiadro, musiała jeszcze wpaść „na momencik” na filiżankę herbaty i kruchą babeczkę.

– Przy pani zacznę niedługo wyglądać jak tłusty baleron – przekomarzała się z panią Otylią, ze smakiem zajadając rozpływającą się w ustach babeczkę z kremem budyniowym.

– Daleko pani jeszcze do tego! Jak panią pierwszy raz zobaczyłam, to wyglądała pani jak pisklę, co wypadło z gniazda. Prawie same kosteczki obleczone skórą i takie smutne oczy...

Bo i wypadłam z gniazda – pomyślała Dorota. – Ale przeżyłam.

– A poza tym – tu pani Otylia zaniżyła głos, przybierając nieco poufny ton doświadczonej matrony – mężczyźni wolą dziewczęta takie bardziej przy kości. Teraz to podobno moda się zrobiła na zagłodzone chudzielce, ale ja nie wierzę, żeby prawdziwy mężczyzna zobaczył w takiej coś pociągającego. A panna Dorota na pewno będzie się podobać.

Dziewczyna o mało nie zakrztusiła się herbatą. – No, to już wiem, co naprawdę zobaczył we mnie Maks. Wikt pani Otylii! – pomyślała śmiejąc się.

– Nie ma się z czego śmiać – pokiwała głową gospodyni. – Jeszcze pani wspomni moje słowa.

Kiedy Dorota wracała do siebie, znów czuła w sercu – zupełnie bez konkretnego powodu – jakieś beztroskie rozradowanie, które zajęło miejsce smutku i przygnębiających myśli.

Wszystko będzie dobrze!

*

Wszystko będzie dobrze. Musi się udać! – powtarzała sobie, zaciskając zęby Zuzanna Kovacz, kiedy reżyser po raz czwarty kazał jej wyjść tanecznym krokiem z lewej kulisy, zrobić obrót i „przypadkiem” wpaść na hrabiego Boni, którego grał zarozumiały tenor, nie pierwszej już młodości. Wzdychał i znacząco wznosił

oczy w górę, dając do zrozumienia, że granie z taką „krowientą” to dyshonor dla jego nazwiska, które wciąż pokazywało się dużymi literami na plakatach. Może nie na czołowym miejscu, ale zawsze.

Czekaj, ty łysy pacanie – mruzczała Zuza, schodząc posłusznie ze sceny, żeby na znak reżysera powtórzyć wyjście – po premierze będziesz śpiewał cieniem niż eunuch. Pożałujesz każdej głupiej miny, każdej podłej aluzji!

Uśmiechnęła się czarująco i w rytm muzyki granej przez zmęczonego pianistę wbiegła na scenę, zrobiła wdzięczny obrót i bezbłędnie wpadła w objęcia scenicznego amanta z takim impetem, aż tupecik zatrząsał mu się nad niezbyt wysokim czołem.

– Ona mnie przewróci! – Tenor z oburzeniem zwrócił się w stronę wygaszonej widowni; tam żarzący się ognik papierosa wskazywał miejsce, gdzie siedział reżyser. – Proszę jej powiedzieć, żeby się tak nie szastała!

– Panna Kovacz wykonała to dobrze tym razem. Proponuję, żeby pan zrobił coś z rękami, kiedy już się do pana zbliży.

– Rozumiem – ton tenora zmienił się na przymilno-porozumiewawczy. – Naturalnie, zagram zachwyconego tą uroczą istotą, która wpadła mi w objęcia.

– Doskonale – odpowiedział znudzony głos z ciemności. – Następna scena, proszę.

Zuza stała za kulisami, powtarzając półgłosem swoje następne kwestie. Wdychała zapach tego miejsca – starego drewna, kurzu i teatralnej szminki. Jakże inny od znanych jej od dzieciństwa zapachów kuchni, targu, koni i – na wiosnę – kwitnącej puszczy.

Za wszelką cenę musi się tu zaczepić, żeby wreszcie udowodnić swojej matce, że warto było porzucić małe węgierskie miasteczko, gdzie czekała ją co najwyżej kariera kelnerki w jakiejś gospodzie, zanim pojałby ją za żonę miejscowy galant. – Albo bogaty rzeźnik. Już jeden zaczął patrzeć na nią takim przymilnym wzrokiem, kiedy spacerowała z innymi dziewczynami po rynku w niedzielne popołudnie. Stara Ziśi, która pełniła w miasteczku rolę chodzącej gazety, napomykała już,

siorbiąc w kuchni swoją porcję gulaszu, że pan Istvan to solidny człowiek, a matka słuchała tego uśmiechając się i niby obojętnie wzruszając ramionami.

Kiedy dziewczyna któregoś dnia oznajmiła, że jedzie do Wiednia odwiedzić ciotkę, która służyła w jakimś zamożnym domu, matka początkowo złapała za kij. Ale córka jakoś zdołała jej wytłumaczyć, że po praktyce w dobrym domu, na przykład w kuchni, będzie znacznie bardziej pożądaną partią niż jest obecnie i może... może zainteresuje się nią sam pan aptekarz?

No cóż, perspektywa takiego awansu społecznego sprawiła, że pani Kovaczowa odstawiła kij i tylko pogroziła Zuzi palcem.

– Pamiętaj, że wolę cię widzieć martwą niż zhańbioną – powiedziała tylko na pożegnanie.

Ciotka w Wiedniu wpadła w popłoch, widząc przybyłą z prowincji siostrzenicę. Zniżając głos powiedziała, że może ją przenocować tylko przez dwa dni, kiedy państwa nie ma w domu, a potem musi sobie radzić sama albo wracać do domu. Radziła jej zrobić to drugie.

– To nie jest miejsce dla samotnej dziewczyny, w dodatku tak ładnej jak ty. Tutaj łatwo może ci się pośliznąć noga, a potem to już tylko ulica cię czeka...

Opatrzona takimi dobrymi radami, Zuza postanowiła nie dać się i za wszelką cenę zahaczyć się w tym mieście. Wiedziała, że jedyna dostępna jej droga kariery prowadziła przez teatr. Ale najpierw trzeba było zarobić na najmarniejszą choćby klitkę i utrzymanie.

Ruszyła więc od sklepu do sklepu, od kawiarni do kawiarni, pytając o pracę. Wreszcie zatrudniono ją w delikatesach na Keiserstrasse jako dziewczynę do wszystkiego. Sprzątała, donosiła towar, układała na półkach, wynosiła puste pudła; czasem trafiło jej się zlecenie zanieśienia zakupów do domu stałego klienta. Wieczorem leciała z nóg, kiedy znalazła się w swoim pokoiku od podwórza, na peryferiach miasta.

Po trzech miesiącach stwierdziła, że ta harówka nie przybliży jej do teatru. Musiała znaleźć inne, dające więcej możliwości zajęcia.

Z pomocą przyszedł jej przypadek. Kiedy w niedzielę siedziała nad Kanałem Dunajskim i patrzyła z zazdrością na wesołych ludzi, którzy bawili się w swoim towarzystwie, usłyszała strzęp rozmowy, prowadzonej przez dwie kobiety na sąsiedniej ławce.

– Tam można nieźle zarobić na napiwkach, ale męża nie złapiesz. Sami ładowani faceci, ale żaden nie zwróci na ciebie uwagi. Tylko konie im w głowie. No, jest też trochę hochsztaplerów i łobuzów, ale oni rozglądają się za samotnymi bogatymi paniusiami, które przyjechały pograć sobie na wyścigach. Rzuciłam to wczoraj; rozejrzę się za czymś innym.

Zuza poczuła impuls do działania, podobny do natchnienia. Zerwała się z ławki i ruszyła przed siebie. Nie opodal, w koszu zobaczyła gazetę, którą ktoś wyrzucił. Wyjęła ją, rozprostowała i wodząc nosem strona za stroną znalazła wreszcie poszukiwaną informację.

Odżałowała pieniądze na tramwaj i pojechała kilka przystanków do Prateru, potem, pytając się, doszła tam, gdzie usytuowany był tor wyścigowy, otoczony z jednej strony trybunami, stajniami i wybiegiem dla koni.

W parterze trybun, obok kas, w których robiono zakłady, czynna była spora kawiarnia ze stolikami na zewnątrz.

Zuzanna śmiało poprosiła o rozmowę z kierownikiem. Wyszedł dość ponuro wyglądający grubas, wycierając ręce w fartuch. Kiedy usłyszał, że dziewczyna jest gotowa również sprzątać i zadowolony się skromnym wynagrodzeniem, mruknął tylko:

– Akurat jedna stąd odeszła. Możesz przyjść jutro od dziesiątej. Jak coś zawalisz, to zwolnię cię natychmiast. Jasne?

Dziewczyna skinęła głową i wyszła. Nazajutrz rano opowiedziała w delikatesach, że musi natychmiast wrócić do domu, do chorej ciotki, i o dziesiątej zameldowała się do pracy w kawiarni „Derby”.

Pracowała jako kelnerka; podawała głównie kufle piwa i porcje gulaszu. Po zamknięciu lokalu sprzątała też swój rewir. Wkrótce się przekonała, że nieznamoma kobieta z ławki miała rację. Gdybym chodziła w worku na głowie, chyba żaden z tych facetów

tego by nie zauważył – pomyślała po paru dniach. – I bardzo dobrze. Syn właściciela delikatesów miał za bardzo ruchliwe ręce, od których musiała się opędzać.

Po kilku tygodniach zaczęła rozumieć strzępki informacji z dobiegających ją czasami, poufnie szeptanych słów. Terminy: góra-dół, porządek, tripel oznaczały rodzaje zakładów, pewniak – konia, który jest faworytem, a fuks – niespodziewanego zwycięzcę. Nie próbowała jednak robić użytku z tych informacji, bojąc się zaryzykować utratę ciężko ciułanych szylingów. Jej wynagrodzenie było niskie, ale drugie tyle dostawała z napiwków, szczególnie od wygranych graczy. Nauczyła się ich rozpoznawać i z uśmiechem gratulować im dobrego nosa i powodzenia. Miła dziewczyna, która umie skomplementować szczęśliwego zwycięzcę, zasługuje na porządny napiwek.

Aż któregoś dnia, po ponad dwóch miesiącach, w jej rewirze usiadł ktoś najwyraźniej przegrany. Choć Zuzanna z niechęcią patrzyła na mężczyzn, którzy przepuszczali tu pieniądze, i nie żałowała ich, kiedy pożyczali od właściciela drobne sumy na powrót tramwajem do domu, tym razem było inaczej. Na widok skulonego, drobnego mężczyzny ze zwieszoną głową, który podarł właśnie bezużyteczne bilety zakładów na minioną gonitwę i siedział, patrząc nieruchomo przed siebie, poczuła współczucie. Podeszła do niego i zapytała:

– Może kufelek piwa? Zapłaci pan, jak się panu znowu poszczęści.

Ona sama właśnie dostała hojny napiwek od wygranego klienta i mogła sobie pozwolić na wspaniałomyślność.

Człowieczek pokręcił głową z rzadkimi, siwawymi włosami. Bruzdy na jego twarzy układały się w wyraz beznadziejnej rezygnacji. Dziewczyna poczuła niepokój. Dosyć się nasłuchiwała opowieści o splukanych do czysta hazardzistach, którzy w samotnym pokoju hotelowym strzelali sobie w łeb, nie zostawiając na tej ziemi nic prócz długów i pustego miejsca na trybunach. Jakoś nie bardzo chciała, żeby ten człowieczek zniknął w ten sposób. Korzystając z tego, że po rozpoczęciu następnej

gonitwy w kawiarni nie było prawie ruchu, przystanąła przy nim wycierając blat stolika i spróbowała go pocieszyć:

– Przecież pan wie, że w grze raz się jest na górze, a raz na dole. Na pewno nie raz pan tego doświadczył. Nie ma się czym przejmować. Jutro znowu się panu powiedzie.

– Jutro będzie za późno – jęknął cicho człowieczek. – Miałem cynk na przedostatnią gonitwę, pewny fuks. A teraz wszystko przepadło.

Zuza, sama nie wiedząc kiedy, wyciągnęła z kieszeni fartuszka napiwki z tego dnia i położyła na stoliku.

– Jeżeli to pana urządza, to możemy zagrać na spółkę. Pan daje typ, a ja forszę.

W oczach małego mężczyzny zapaliło się światełko. Przez chwilę siedział nieruchomo, jakby nie wierzył własnemu szczęściu, a potem zerwał się nagle, uścisnął rękę dziewczyny, potrząsając nią z entuzjazmem.

– Interes ubity – powiedział zachrypniętym głosem i ruszył szybko w stronę kas.

Zuzanna pożegnała się ze swoimi pieniędzmi, ale jakoś tego nie żałowała. Czasem trzeba mieć gest – myślała sobie, gdy zaczynało ją gryźć sumienie. Ludzie muszą sobie pomagać, bo inaczej strasznie pieskie byłoby to życie.

Jakież było jej zdziwienie, kiedy po skończonych gonitwach mały człowieczek znów zjawił się w jej rewirze. Ale jaki odmieniony! Bił od niego blask jak od świeżo wypucowanego rondla. Rudawy zarost mienił się złotymi błyskami, błyszczał złoty ząb w uśmiechniętych ustach. Niecierpliwym ruchem ręki przywołał ją, a kiedy Zuza podeszła do niego, oznajmił konspiracyjnym szeptem:

– W porządeczku. Kiedy pani kończy pracę? Tutaj się nie możemy rozliczyć.

– Za dwie godziny – odparła zdumiona dziewczyna. – A bo co?

– Będę na panią czekał koło wielkiej karuzeli. Wie pani, gdzie to jest?

Zuzanna skinęła głową i pobiegła do następnego stolika, gdzie

klienci żądali kolejnych kufli pilznera. Uwijała się aż do zamknięcia lokalu, a potem zmęczona ruszyła przez park. Na szczęście wokół było jeszcze sporo spacerujących, rozbawionych ludzi.

Przy wejściu na wielkie diabelskie koło stał ten człowiek i najwyraźniej jej wypatrywał. Kiedy ją dostrzegł, ruszył w jej stronę, a gdy znalazł się blisko, zachrypiał:

– *r* Zapraszam panią na kolację. Ja funduję.

Zuzanna cofnęła się. Nie miała ochoty na żadną kolację z tym trochę dziwnym mężczyzną. On widocznie wyczuł jej wahanie, bo dodał:

– Niech się panna nie nerwuje. Jestem porządny gość i chcę tylko oblać interes. Ale jak pannie to nie pasuje, możemy się policzyć gdzie indziej. Tylko żeby nam się nikt nie gapił na ręce. Niech panna sama wybiera.

Stańto na tym, że usiedli w ogrodowej restauracji, przy ustronnym stoliku, oddzielonym od innych drewnianą kratą, oplecioną dzikim winem. Kiedy już kelner przyniósł im zamówione kiełbaski na gorąco i kieliszek wina „dla pani”, oraz małego szhapsa dla fundatora, ten podniósł się zza stołu, ceremonialnie wyciągnął rękę i przedstawił się:

– Alfred Rudi. Bardzo mi przyjemnie, – Zuzanna Kovacz. – Nic więcej nie przyszło jej do głowy.

– Kiedyś byłem dżokejem, a teraz kręcę się przy wyścigach. Gram rzadko i tylko wtedy, kiedy kumple dadzą mi cynk, że warto obstawiać. Sam też mam niezłego nosa, więc czasem ryzykuję. Pilnuję się, żeby nie popłynąć na dobre. Za dobrze wiem, co hazard robi z ludzi. Dziś miałem niefart. Dostałem typa na końcową gonitwę, ale zobaczyłem dobrego konia, który miał startować na wcześniejszej, i obstawiłem go. Był bankowo najlepszy w tej obsadzie... – Westchnął ciężko. – Pewnie gonitwa była ustawiona...

– Co to znaczy? – spytała Zuza zaintrygowana.

– Ktoś się z kimś umówił. Komuś się opłaciło przegrać. To jest karane, ale sprytny dżokej nie da się nakryć na szwindlu. Koń

może być przecież w gorszej formie, na to też są sposoby... – pokiwał głową z rezygnacją, a potem uśmiechnął się. – No, ale najważniejsze, żeśmy wyszli na swoje. – Wyciągnął stuloną dłoń i podał dziewczynie plik banknotów. – Niech panna przeliczy. Lepiej pod stołem, bo po co ma ktoś zobaczyć i pomyśleć sobie Bóg wie co.

Zuzanna położyła zwitek na kolanach i zaczęła liczyć pieniądze. W miarę jak przeliczała, jej oczy robiły się coraz większe ze zdumienia. Miała tu równowartość trzymiesięcznych zarobków!

– Aleja panu dałam... to jest pożyczyłam znacznie mniej – powiedziała zakłopotana.

Rudi błysnął złotym zębem.

– Grailiśmy do spółki, nie? To jest uczciwa połowa wygranej. Płacili prawie sto do jednego. Gdybyśmy mieli więcej na postawienie, teraz tarzalibyśmy się w forsie. Ale i tak nie jest źle – dodał szybko. – Nie wiem, co bym zrobił, gdyby mi panna Zuzanna nie pomogła. Mogło być ze mną krucho – zasępił się i odpłynął gdzieś na chwilę myślami.

Dziewczyna nie mogła ochłonąć z wrażenia. Czuła jakieś gorączkowe podniecenie, które ciągnęło ją, by nazajutrz znów zaryzykować i podwoić tę sumę. Z tym można by zacząć nowe życie!

Na szczęście po chwili wrócił jej rozsądek. Zrozumiała, że takie właśnie uczucia pchają ludzi w szpony hazardu. Otrząsnęła się. Rudi patrzył na nią, jakby był świadom tego, co przeżywa jego nowa współniczka, i uśmiechał się wyrozumiale.

– Tak, to jest diabelsko pociągające – powiedział, jakby czytając w jej myślach. – Tylko że łatwo można stracić głowę, a wtedy adiu Fruziu! Już po człowieku. Ale panna Zuzanna nie wygląda mi na taką słabą głowę. A jak człowiek ma głowę na karku, to czemu nie? Zawsze te parę groszy można wyfarcić, nie?

I tak to przy kiełbaskach zaczęła się ich znajomość i ciche współnictwo. Dziewczyna nigdy sama nie grała, ale też uważniej słuchała, co mówią przy piwie inni gracze. Dzielila się tymi informacjami z Rudim, a ten kiwał głową albo krzywił się z

niesmakiem. Stawiali na ogół małe sumy i częściej wygrywali niż przegrywali, choć i to się zdarzało. Zuzanna jednak wyznaczyła sobie dolną granicę tego, co gotowa była zaryzykować danego dnia, i nigdy jej nie przekraczała. Dzięki temu suma, którą odkładała do kasy oszczędnościowej, stale rosła. Aż któregoś dnia dziewczyna uznała, że stać ją na pobieranie lekcji śpiewu.

Rudi, zapytany czy nie zna przypadkiem kogoś odpowiedniego, odparł: – Ja tam się do śpiewaczek nie paliłem, ale mogę popytać.

Po paru dniach przyniósł jej adres byłej gwiazdy przedwojennej operetki, która mieszkała w starszej części dzielnicy willowej, bliżej Lasku Wiedeńskiego.

*

Kiedy dziewczyna stanęła przed kutą ozdobnie furtką w szarym murze, otaczającym spory ogród, serce biło jej jak młotem. Miała na sobie najlepszą sukienkę uszytą u krawcowej, granatową z białymi wypustkami, czarną torebkę ze skóry i takie same czółenka, biały kapelusik ze słomki i niciane rękawiczki. Kiedy pokazała się w tym stroju Rudiemu, ten aż gwizdnął z wrażenia i orzekł, że „panna Zuzanna wygląda jak, nie przymierzając, gwiazda filmowa”. Ona też tak uważała, patrząc w lustro. Ale teraz, kiedy stała przed tą elegancką furtką, czuła się tym, kim w głębi duszy była – dziewczyną z małego miasteczka, która próbuje szczęścia w wielkim mieście.

Drzwi otworzył jej stary odźwierny. Poinformowany o celu wizyty, wskazał ręką szarą willę stojącą w głębi ogrodu. Tam drzwi otworzyła jej starsza kobieta w czarnej sukni. Wysłuchawszy prośby o widzenie z panią Selmą, powiedziała tylko:

– Tędy, proszę – i wprowadziła dziewczynę do wielkiego salonu, umeblowanego ciężkimi, mahoniowymi meblami. Wszędzie widać było świadectwa sukcesów byłej gwiazdy: zasuszone wieńce, zdjęcia z dedykacjami, szarfy z wyrazami hołdu. Jej portret naturalnej wielkości wisiał nad kominkiem. Widniała na nim kobieta we wspaniałej sukni z koronek,

przybrana w klejnoty, uśmiechająca się trochę tajemniczo i bardzo uwodzicielsko.

– Co panią do mnie sprowadza? – rozległ się cichy głos za plecami dziewczyny.

Zuzanna odwróciła się gwałtownie i ujrzała szczupłą, starszą panią w szarej jedwabnej sukni. Tylko jej oczy, bystre i uważne, przypominały olśniewającą kobietę na portrecie.

– Chciałabym się uczyć śpiewu... To znaczy chciałam panią prosić o lekcje śpiewu – powiedziała zmieszana.

– Kto panią do mnie skierował?

– Przyszłam z polecenia pana Krausa. – Takie nazwisko kazał jej wymienić Rudi.

Przez twarz pani Selmy przemknął ledwie zauważalny uśmiech, jakby w myślach witała kogoś znajomego i dawno nie widzianego. Szczupłą dłonią wskazała dziewczynie miejsce na kanapie. Sama usiadła w fotelu naprzeciw.

– Proszę mi coś o sobie opowiedzieć.

Zuzanna przez chwilę miała pokusę, aby dodać sobie splendoru jakąś zmyśloną historią o panience z dobrej rodziny, która w ciężkich czasach musi sama szukać pracy, ale bystre spojrzenie starszej pani mówiło jej, że pozna się na każdym kłamstwie.

Zacinając się trochę, opowiedziała więc swoją niewesołą historię, nie ukrywając i tego, że jest kelnerką w kawiarni przy torze wyścigów konnych.

Pani Selma milczała chwilę, po czym powiedziała spokojnie: – to się pani chwali, że radzi sobie pani własną pracą zamiast zgodzić się na pomoc jakiegoś bogatego... protektora, którego znalezienie – przy pani młodości i urodzie – nie byłoby trudne. Teraz sprawdzimy, czy ma pani również odpowiedni głos, słuch i poczucie rytmu.

Zaprowadziła dziewczynę do stojącego w kącie salonu czarnego fortepianu i grając różne dźwięki, akordy, fragmenty melodii, kazała jej powtarzać. Potem poleciła jej wystukiwać po sobie różne, coraz bardziej skomplikowane rytmy. Zuzanna skoncentrowała się, żeby powtórzyć jak najdokładniej wszystko,

co usłyszała; na ogół jej to wychodziło, choć gardło, ściśnięte ze zdenerwowania, z trudem wydobywało z siebie zadane dźwięki.

Wreszcie śpiewaczka zamknęła wieko fortepianu. Wróciły na swoje miejsca. Po chwili milczenia, zaczęła mówić wolno, jakby wciąż się zastanawiała:

– Ma pani warunki odpowiednie do śpiewu w lżejszym repertuarze. Brak pani wykształcenia muzycznego i nie ma pani odpowiednio ustawionego głosu. To się da zrobić, jeśli pani będzie ciężko pracowała nad sobą. Uprzedzam, że kosztować to panią będzie wiele wysiłku, a może i łez.

– Ja wszystko... – zaczęła żarliwie dziewczyna, ale pani Selma przerwała jej ruchem ręki.

– Jeśli pani zdecyduje się zostać moją uczennicą, to zobowiąże się pani wykonywać bez komentarzy wszystkie moje polecenia, ćwiczyć tak wytrwale i starannie, jak pani to polecę, i powtarzać wszystko tak długo, aż uznam, że robi to pani zadowolająco. Nie życzę sobie widzieć grymasów, ponurej miny i oznak zniechęcenia. Ma pani pracować z uśmiechem i entuzjazmem.

Zuzanna, kiedy entuzjastycznie godziła się na wszystko, nie przypuszczała, że ten ostatni warunek będzie najtrudniejszy do spełnienia.

Lekcje – dwa razy w tygodniu – miała wcześniej rano, żeby zdążyć przed pracą. Pani Selmie to odpowiadało, bo – jak powiedziała – w starszym wieku potrzeba mniej snu. Ale Zuzanna była młoda i potrzebowała go więcej! Toteż kiedy rano wybiegała z domu, żeby zdążyć na tramwaj do śródmieścia, miewała takie chwile, kiedy chciała machnąć ręką na wszystko i pozwolić sobie na odpoczynek.

Kiedy raz zwierzyła się z tego Rudiemu, ten zasepił się na chwilę, po czym zachrypiał po swojemu: – Rzucić można, czemu nie, każdy głupek to potrafi. Trudniej ruszyć głową, nie? Jakby tak panna Zuzanna zmieniła mieszkanie, żeby mieć bliżej do tej śpiewaczki i do roboty, to by zostało więcej czasu na spanie.

Była mu wdzięczna za tę radę, zwłaszcza że ćwiczenie pełnym głosem w jej klitce było prawie niemożliwe; po paru minutach

rozlegało się stukanie w którąś ścianę.

Zacząła więc studiować ogłoszenia o wynajmie lokali i pytać stałych klientów, czy nie wiedzą o jakiej okazji. Wreszcie jeden z nich podał jej adres ulicy niedaleko Ringu, gdzie na trzecim piętrze opróżniło się mieszkanie po zmarłym tam lokatorze. Ponieważ odszedł on z tego świata w nieco podejrzanych okolicznościach, czynsz był niewysoki, bo jakoś nie było chętnych na zajęcie pokoju z kuchnią; zostały bowiem opisane w gazecie, w kronice policyjnej.

Zuzannie to nie przeszkadzało. Od razu zrobiła generalne porządki, jakby wodą i szarym mydłem odczyniała wszelkie uroki, umeblowała oba pomieszczenia paroma sprzętami kupionymi z drugiej ręki i po raz pierwszy w życiu poczuła się u siebie. To było wspaniałe uczucie. Własne kąty, własny widok z okna, to nic, że na podwórko z trzepakiem, ale nad dachami – ile nieba!

Zuzanna zaczęła śpiewać z samej radości życia. Teraz jej marzenie o scenie nie wydawało jej się już tak trudne do urzeczywistnienia.

Usłyszała otwieranie sąsiednich drzwi i wyjrzała. Starsza, dość tęga kobieta, ciężko oddychając otwierała zamek. Zuzanna podeszła do niej i przedstawiła się:

– Jestem tu nową lokatorką. Nazywam się Zuzanna Kovacz. Uczę się śpiewu. Chciałam zapytać, czy nie będą pani przeszkadzały moje ćwiczenia z solfeżu?

Starsza pani wzruszyła ramionami. – Śpiewanie nigdy mi nie przeszkadza. Przynajmniej wiem, że blisko jest żywy człowiek, nie to, co ten... Panie, świeć nad jego duszą. Przemykał się chyłkiem i tylko jakieś ciemne typy czasem do niego pukały. A potem jeszcze policja... taki wstyd. To się nie powinno zdarzać w porządnej kamienicy!

Zuzanna ucieszyła się, że będzie miała obok tę starszą kobietę. Pod pozorami szorstkości dojrzała w niej osobę o dobrym sercu i uczciwym charakterze. Przypominała jej babcię, jedyną istotę, którą z całego serca kochała.

Jesienią sezon wyścigów konnych Się skończył. Kawiarnia

zamykała podwoje aż do wiosny. Skończyły się też zakłady robione razem z Rudim. Zuzanna miała odłożoną sporą sumę, ale bała się ją zbyt uszczuplić, bo lekcje kosztowały drogo, a i czynsz za mieszkanie, choć obniżony, dla niej i tak był wysoki. Szukała więc na gwałt pracy, najlepiej w śródmieściu, żeby nie tracić czasu i pieniędzy na dojazdy tramwajem. Teraz miała już jakieś doświadczenie w zawodzie i dobre referencje od poprzedniego pracodawcy. Niestety, w oczach kilku właścicieli okolicznych lokali zobaczyła te same niepokojące błyski, co u rzeźnika w swoim miasteczku; mówiła wtedy, że się jeszcze namyśli, i nie wracała do tego miejsca.

Wreszcie udało jej się znaleźć kawiarnię, której właścicielką była kobieta, energiczna, dość przystojna brunetka w średnim wieku. Jej lokal mieścił się w przecznicy od Kaertnerstrasse, najelegantszej ulicy miasta. Klientelą tego lokalu, którego wystrój przypominał trochę bombonierkę wyłożoną czerwonym aksamitem, z marmurowymi blatami stolików i wyplatanymi krzesłami, były przeważnie zamożne kobiety, żony adwokatów, radców ministerialnych, bankierów, które tam spędzały beczynne przedpołudnia nad czarną kawą z bitą śmietanką i wiedeńskim sernikiem. Stałe klientki miały ten przywilej, że od czasu do czasu mogły przyprowadzać ze sobą swoich ulubieńców – kunsztownie wystrzyżone pudle, senne niopsy albo zmarszczone pekińczyki, z których każdy miał minę jak mandaryn na dworze chińskiego cesarza.

Zadaniem Zuzanny było między innymi wyprowadzanie tych czworonogów na wewnętrzne podwórko kamienicy, by tam mogły zażyć nieco ruchu i oddać hołd naturze.

Panie były raczej skąpe, więc napiwki dostawała niewielkie. Traktowały ją z góry, przyzwyczajone do pomiatania służącymi w swoich domach. Ale nikt tu jej nie klepał po siedzeniu ani nie robił jej dwuznacznych propozycji na wieczór, więc chociaż szczerze nie cierpiała kilku babusów, zasiadających prawie co dzień wokół „swojego” stolika przy oknie, znosiła je grzecznie i z uśmiechem. Uśmiech i entuzjazm ćwiczyła wszędzie na polecenie pani Selmy.

Właścicielka dostrzegła i doceniła jej starania, by w niczym nie uchybić szanownym paniom. Od czasu do czasu do wypłaty dodawała jej umiarkowaną premię „za staranność w pracy”. W sumie było więc całkiem znośnie.

No i wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień. Pani Selma po długich miesiącach zmuszania jej do najwyższego wysiłku, oświadczyła, że Zuzanna może stanąć do przeglądu kandydatek do chóru, który pod koniec sezonu odbywał się w Theater an der Wien.

Kiedy dziewczyna po raz pierwszy przekroczyła progi tego budynku wejściem dla pracowników, czuła się strasznie onieśmielona. Stary portier skierował ją do sali prób, gdzie czekało już kilkanaście kandydatek. Przycupnęła na wolnym krześle. Niebawem do sali weszło czterech mężczyzn; z szeptów pozostałych dziewcząt dowiedziała się, że są to: dyrektor teatru ze swoim sekretarzem, reżyser i pianista, który zasiadł przy instrumencie, aby akompaniować adeptkom podczas przesłuchania. Podchodziły kolejno, każda przedstawiała się i mówiła tytuł arii, którą zamierza zaprezentować.

Pianista grał krótką przygrywkę i płynęła melodia Straussa, Lehara albo Offenbacha.

Kiedy przyszła kolej na Zuzannę, dziewczyna szybko podeszła do pianisty i powiedziała mu, co zamierza śpiewać. Potem odwróciła się w stronę przesłuchujących i rozpoczęła arię z „Księżniczki Maricy”. Czuła w sobie jakąś lekkość i pewność, że dobrze jej idzie.

Po niej prezentowały się jeszcze dwie dziewczyny. Następnie panowie naradzali się krótko, porównując swoje notatki. Zuzanna uchwyciła porozumiewawcze spojrzenie pianisty. Nieznacznie mrugnął do niej. Uśmiechnęła się.

– Prosimy o pozostanie pannę Emmę Schmidt i pannę Zuzannę Kovacz oznajmił dyrektor. – Pozostałym paniom dziękujemy.

Rozległ się jęk zawodu i dziewczęta zaczęły wychodzić. W sali została tylko smukła, wysoka blondynka i Zuzanna. Kiedy

dyrektor zbliżył się do nich, wstały.

– Panie pozwolą do mojego gabinetu. Porozmawiamy o warunkach angażu na następny sezon.

Zuzanna nie pamiętała, jak znalazła się w dość skromnie wyglądającym sekretariacie, gdzie kazano jej poczekać na wysiedzianej kanapie. Pierwsza weszła Emma. Po kwadransie wyszła uśmiechnięta.

Kiedy Zuzanna znalazła się w gabinecie dyrektora, ten, zajęty pisaniem, kazał jej usiąść. Przysiadła na brzeżku krzesła, wstrzymując prawie oddech, żeby nie przeszkadzać.

– Kto panią uczył śpiewu? – zapytał bez żadnych wstępów, odkładając pióro.

– Pani Selma – odpowiedziała.

– Taak, to widać – rzekł skinąwszy głową i zaraz zmienił temat: – Mogę pani zaproponować na początek... – Tu padła bardzo skromna suma, mniejsza niż Zuzanna zarabiała w kawiarni. – O stroje będzie się pani starała we własnym zakresie, zgodnie ze wskazówkami inscenizatora. Jeśli przejdzie pani pomyślnie okres próbny i okaże się przydatna dla teatru, pani gaża zostanie odpowiednio zwiększona. Czy pani się zgadza?

Dziewczyna skinęła głową. Wszystko jedno za ile, najważniejsze, że tu jest! Uśmiechem okazała radość i entuzjazm. Dyrektor łaskawie skinął głową.

– Proszę zostawić swój adres w sekretariacie. Zawiadomimy panią o terminie rozpoczęcia prób. – Kiedy już była w drzwiach, dodał:

– Zechce pani przekazać moje ukłony i wyrazy uszanowania pani Selmie.

Przy wyjściu z teatru czekał na nią pianista.

– Czy pani pozwoli się zaprosić na kieliszek wina, żeby uczcić pani przyjęcie do zespołu?

Zuzanna ucieszyła się; tego dnia miała wolny dzień, nie chciało jej się wracać do pustego mieszkania. U pani Selmy miała być jutro.

Joseph Kransky zaprowadził ją do artystycznej kawiarni Cafe

Havelka, gdzie przychodzili aktorzy, malarze, krytycy. W sali było gwarno; gdy już znaleźli stolik, Joseph pokazał jej kilku stałych bywalców o znanych nazwiskach. Potem opowiedział trochę o samym teatrze, podkreślając z dumą, że jego założycielem był sam Emanuel Schikaneder, ten sam, który napisał libretto do „Zaczarowanego fletu” Mozarta.

Zuzanna już wiedziała, jak znany i sławny był to kompozytor, więc z powagą skinęła głową. Jednak teraz wolałaby usłyszeć coś o tym, jaki jest zespół, do którego została przyjęta.

– Zespół jest liczny, podzielony na różne grupki i koterie, jak wszędzie – wzruszył ramionami. – Sama się pani przekona.

– Chciałabym wiedzieć, jak się zachować, żeby kogoś nie urazić...

– próbowała go zachęcić do mówienia.

– Każdy artysta uwielbia podziw, Więc jak pani będzie skora do pochwał, to nikomu się pani nie narazi. Radzę nie powtarzać plotek a nie angażować się do żadnego stronnictwa, bo w wielkich bitwach najgorzej dostają w kość ciury. Pilnie pracować i mieć oczy otwarte, żeby nie przegapić swojej szansy. A taka dziewczyna jak pani na pewno będzie miała szansę. Jeśli jeszcze będzie umiała dopomóc swojemu szczęściu...

Zuzanna nie okazała zgorszenia. Pani Selma przygotowała ją na to, że jako początkująca chórzystka będzie narażona na różne propozycje ze strony mężczyzn z zespołu. „Należy odmawiać z uśmiechem, żeby nie urazić ich ambicji – pouczała swoją uczennicę. – Można posunąć się do westchnienia żalu, że gdyby nie okoliczności, to kto wie... To im na ogół wystarcza. Nikt, poza dyrektorem teatru, nie jest wart utraty reputacji. A dyrektor teatru na ogół ma żonę, która umie go pilnować przed rywalkami, bo sama go kiedyś odebrała pierwszej żonie. Lepiej żyć z nią w zgodzie. Prawdziwi protektorzy przychodzą z zewnątrz, choć nie każda ma takie szczęście, żeby zwrócił na nią uwagę sam cesarz... „. Pani Selma miała na myśli aktorkę wiedeńskiego teatru, panią Schratt, która przez wiele lat była przyjaciółką cesarza Franciszka Józefa.

Teraz więc Zuzanna uśmiechnęła się miło i odparła: – Dziękuję za komplement. Założę się, że wszystkie dziewczęta z chóru szaleją za panem.

Na zwiędłej twarzy pianisty pojawił się cień rumieńca. To była jego upragniona chwila, kiedy mógł zaimponować jakiejś pięknej dziewczynie swoimi możliwościami. Ta nowa kandydatka na chórzystkę niebawem dowie się, że on ma żonę i dwoje dzieci, a w teatrze nie znaczy nic. Teraz, przez chwilę, mógł się upajać zachwytem we wpatrzonych w niego oczach.

Kiedyś miał szansę rozpocząć karierę jako dobrze zapowiadający się pianista. Ukończył konserwatorium z wysoką lokatą, był uczniem wybitnego mistrza. Cóż, kiedy zjadała go trema. Przed wyjściem na estradę prawie tracił przytomność, kiedy wyobrażał sobie to morze głów i setki wpatrzonych w niego oczu. Nie wytrzymał, zrezygnował z publicznych występów. Dobrze, że jego nauczyciel zaprotegował go do teatru. Tu całymi godzinami akompaniował podczas ćwiczeń, zanim jeszcze rozpoczęły się próby z orkiestrą.

Teraz odpowiedział z udaną nonszalancją: – Nie zależy mi na tym. Lubię wspierać młode talenty i potrafię się na nich poznać.

To ostatnie akurat było prawdą. Obdarzony znakomitym słuchem, od pierwszych paru taktów wiedział, czy śpiewająca ma talent i prawdziwą muzykalność. Ta dziewczyna je miała, choć jej głos nie obejmował dużej skali. Oprócz tego miała urodę, wdzięk i zapał. Tak, jej zapał i entuzjazm po prostu rzucały się w oczy. To musi zostać zauważone, i na pewno będzie. Panna Zuzanna była obiecującym nabytkiem.

Jak długo można się dobrze zapowiadać? – pytała siebie Zuzanna, kiedy już zaczęła grać na scenie. W grupie kobiet i mężczyzn odgrywała albo „lud wieśniaczy” albo „tłum na balu”, zawsze anonimowa, w każdej chwili możliwa do zastąpienia przez inną dziewczynę. Kiedy reżyser kazał jej stanąć w pierwszym rzędzie, myślała, że oto wstąpiła na pierwszy szczebel kariery, ale nic szczególnego się potem nie wydarzyło. Tyle że widziała, jak

starszy jegomość z pierwszego rzędu puszcza do niej oko i uśmiecha się, pokazując sztuczne zęby.

Dostała też do garderoby bukiet róż z zaproszeniem na kolację, ale nie skorzystała z niego. Pani Selma przestrzegła ją przed niepotrzebnym szastaniem się po lokalach. „Jak spaść, to z wysokiego konia” – mówiła sentencjonalnie, a Zuzanna w pełni się z nią zgadzała. Ale nikt godny uwagi na razie się nie pojawił.

Pieniądze szybko topniały. Zuzanna zaczynała się martwić, co pocnie, kiedy jej konto zmaleje do zera. Za nic nie chciałaby się wyprowadzić z tej kamienicy, która wydawała jej się taka wytworna i bezpieczna. Marmurowe schody, prowadzące aż do drugiego piętra, kiedyś były pewnie pokryte czerwonym chodnikiem, w oknie na półpiętrze światło, padające przez witrażowe okno, oświetlało kolorowo rzeźbę kobiety trzymającej na ramieniu kosz z owocami. Za każdym razem, kiedy szła do siebie, czuła dumę. Szkoda, że jej matka nie może jej tu odwiedzić. Zobaczyłaby, że źle oceniła córkę i jej możliwości. Może pochwaliłaby ją, przytuliła i powiedziała, że jest z niej dumna... Takie marzenie wywoływało skurcz w gardle i pieczenie w oczach. Zuzanna wzdychała i z jeszcze większym uporem myślała, że da sobie radę, musi!

I wreszcie pojawiła się szansa. Jak zwykle, przypadkiem. Zaangażowana do roli Stasi aktorka złamała nogę, wysiadając z powozu. W teatrze szeptano po kątach, że nie była wtedy zupełnie trzeźwa, podobnie jak jej towarzysz, znany wiedeński birbant, syn grafa von R.

Niedyspozycja i cień skandalu to dosyć, by dyrektor teatru zdecydował o szukaniu zastępstwa. W połowie sezonu było to jednak trudne. Wtedy jego żona zwróciła mu uwagę na pannę Zuzannę Kovacz, którą uznała za osobkę grzeczną i bardzo na miejscu. Dziewczyna z entuzjazmem oddawała jej drobne usługi, a przy tym umiała docenić jej talent i urodę. Pani dyrektorowa grywała role charakterystyczne, wciąż jeszcze zyskując szczerą aplauz widowni za temperament i siłę komiczną, jaką umiała nadać swoim postaciom. Uznała, że warto by też trochę utrzc

nosa głównej primadonnie, która ostatnio za bardzo się szarogęsiła i nawet próbowała dyrygować jej mężem, Gustawem! Co gorsza, robiła do niego słodkie oczy albo posyłała mu omdlewające spojrzenia. Niech więc się przekona, kto tu ma prawdziwy wpływ na obsadę ról! Może ta Kovacz nie będzie nawet najgorsza; zresztą nikt się po niej nie spodziewa niczego więcej niż poprawność. Ma odśpiewać swoje i nie przewrócić się na scenie.

Tę nowinę przyniósł Zuzannie sekretarz dyrektora, który od dłuższego czasu miał ochotę na tę śliczną brunetkę. Pozwoliła mu się pocałować w policzek, ale jasno dała mu do zrozumienia, że na nic więcej nie może – na razie – liczyć. Nie zrezygnował i kręcił się nadal koło niej, czyhając na okazję.

Kiedy dziewczyna usłyszała tę wspaniałą nowinę, pisnęła z radości i rzuciła mu się na szyję. To go zachęciło do śmielszego uścisku, ale wtedy się odsunęła z miłym uśmiechem. Może, kiedyś... a na razie musi poświęcić się pracy nad rolą!

Wspaniała szansa o mało nie wymknęła jej się z rąk przez brak pieniędzy na odpowiednie stroje. Pani Selma dała jej już jedną swoją suknię – zupełnie niemodną, wymagającą sporej przeróbki – w której Zuzanna była już na paru scenicznych balach. Ale teraz to co innego – ta duża rola miała być grana we współczesnych kreacjach. Młoda artystka na większy kredyt jeszcze nie mogła liczyć. Kto sfinansuje toalety nieznannej debutantce? Rudi też był spłukany, a sezon wyścigów dopiero się rozkręcał. Czy miała pójść do dyrektora i oddać rolę z powodu braku pieniędzy?

Nie, za nic! Choćby miała pójść na kolację z jakimś staruchem! Ale bardzo nie miała na to ochoty. Dlatego tak gorzko płakała, kiedy okazało się, że Willi, sekretarz, też nie może jej pomóc, choć obiecywał coś załatwić.

I wtedy jak z nieba zjawiała się ta panna hrabianka, która obcej dziewczynie dała swoją sukienkę z pierwszego balu. Zuzanna była pewna, że to znak z nieba, dowód opieki Opatrzności. Teraz już była z Dorotą zaprzyjaźniona, choć czasem onieśmielał ją jej spokój, dystans, jaki umiała wytworzyć, wiedza... Zuzanna zdawała sobie sprawę, że pochodzą z różnych światów, które do

tej pory nie spotykały się ze sobą na równej stopie. Teraz, wskutek zawirowań losu, obie walczą o przeżycie. To im pomaga znaleźć wspólny język.

– Panna Kovacz za minutę zaczyna swoją scenę z drugiego aktu
– zapowiedział suchy głos inspicjenta.

Zuzanna podniosła głowę i uśmiechnęła się. Wszystko będzie dobrze!

Lekkim krokiem wbiegła w krąg światła.

Dorota stała na peronie dworca z uniesioną głową, wymieniając ostatnie, urywane zdania z wychylającym się z okna wagonu ojcem. Czekanie na odjazd pociągu było dla obojga trudne. Pan Herman ze skurczem żalu patrzył na zmaląłą jakby w tej perspektywie sylwetkę córki. Dorota powstrzymywała się, by nie zawołać – Zabierz mnie ze sobą! Zamiast tego przypominali sobie różne polecenia.

– Obiecałaś, że weźmiesz z dworca taksówkę!

– Tak, tatusiu. Pozdrów ode mnie ciocię Herminę.

– Oczywiście, zresztą niedługo sama ją zobaczysz. Te parę tygodni przeleci szybko.

– Pewnie, ale pisz często.

– Naturalnie, że będę. Ty też przysyłaj regularnie choćby parę słów.

Dorota odsunęła się na chwilę, żeby przepuścić spieszących do wejścia do wagonu dwoje ludzi. Młoda kobieta w podróżnym kostiumie przed wejściem na stopnie przystanąła na chwilę i położyła rękę na brzuchu odwiecznym gestem kobiet, które chronią swój największy skarb. Mężczyzna podał jej rękę i z wielką troskliwością pomógł wsiąść do wagonu. Wtedy Dorota zobaczyła wyraźnie jego twarz.

To był Maks Seifert!

On też ją zauważył i przez jego przystojną twarz przemknął wyraz zaskoczenia. Potem rozjaśnił ją rozradowany uśmiech. Zdjął kapelusz i ukłonił się.

Dorota chłodno skinęła mu głową.

– Ktoś znajomy? – zapytał jej ojciec.

– Niezupełnie. Raczej tylko z widzenia – odparła mrużąc oczy, ale coś w jej sercu strasznie żałowało, że tak właśnie wygląda prawda.

Maks zapewne usadowił kobietę w przedziale i kiedy pociąg już ruszał, stanął przy sąsiednim oknie wagonu. Dostrzegła przez moment jego spojrzenie, którym chciał jej jakby coś powiedzieć.

Odwróciła oczy.

Kiedy machała ojcu ręką na pożegnanie, z odjeżdżającego w mrok wagonu gest przyjaznego pożegnania przesłały jej dwie męskie dłonie.

Szła do taksówki, zatopiona w myślach, zdenerwowana. Jak on mógł? Przecież ta kobieta w ciąży musiała być jego żoną! Jak on mógł za jej plecami kłaniać jej się i przesyłać jej uśmiechy?

A może to tylko uprzejmość i przyznanie się do przelotnej znajomości?

Przelotnym znajomym nie zostawia się kwiatów i nie mówi takich komplementów!

A więc to tylko pospolity uwodziciel, który chciał sobie urozmaicić czas oczekiwania na potomka? Dorocie nie mogła się pomieścić w głowie taka podłość. Już by chyba wolała, żeby Maks okazał się włamywaczem.

Boże, nad czym ja się zastanawiam! – przemknęło jej przez głowę. Co mnie to w ogóle obchodzi, kim jest ten pan?

Ale obchodziło ją, i to bardzo.

Nawet kiedy wróciła do domu, nie mogła przestać o nim myśleć. Wciąż szukała takiej wersji wydarzeń, w której dałoby się pogodzić wszystkie te zdarzenia. Zgoda, w operze mógł być z jakąś krewną. Ale kobietę w ciąży w nocnym pociągu do Calais mógł eskortować tylko mąż!

Weszła na chwilę do pokoju ojca i popatrzyła na zasłane łóżko. A potem uklękła przy pustym fotelu i przytuliła głowę do oparcia.

Czuła się taka samotna!

Następnego dnia w sklepie Dorota snuła się od lady do lady senna i przybita. Na szczęście pan Berger był w mieście. Irma zapytała ją, co jej jest, ale zbyła ją informacją, że odprowadzała wczoraj późno ojca na dworzec.

Kiedy wychodząc po pracy z bramy zobaczyła Hansa w jego czerwonym samochodzie, w pierwszej chwili chciała uciec. Żadnych ludzi, żadnych rozmów! Nie czuła się na siłach, żeby prowadzić banalną konwersację. Marzyła o tym, żeby wrócić do siebie, położyć się do łóżka i o niczym nie myśleć.

Hans już jednak dostrzegł ją i wyszedł z samochodu.

– Czy pozwoli się pani gdzieś zawieźć? – zapytał grzecznie.

– Nie, dziękuję. Boli mnie głowa i chciałabym jak najszybciej wrócić do domu.

To mu nawet odpowiadało, bo był umówiony w Jockey Klubie na kolacyjkę w męskim gronie.

– Zawiozę więc panią na sygnale! – oświadczył ucieszony i otworzył przed nią drzwiczki auta.

Wsiadła zrezygnowana i przez całą drogę nie odezwała się do niego ani słowem. On też nie próbował ją zagadywać. Dopiero kiedy pomagał jej wysiąść z auta, przypomniało mu się, że powinien wykazać się przed matką jakimiś postępami.

– Czy nie miałaby pani ochoty pójść w niedzielę na wystawę malarstwa do galerii w Muzeum Secesji? Z największą przyjemnością będę pani towarzyszył.

Zastanowiła się przez chwilę. Chyba już wszystko było lepsze niż samotna niedziela na dusznym poddaszu. Milcząc skinęła głową.

– To o której mogę po panią przyjechać?

– Czwarta po południu odpowiadałaby panu? – Podniosła na niego smutne oczy.

– Jak najbardziej. – Coś w tym smutnym spojrzeniu poruszyło go. – Czy mógłbym być pani w czymś pomocny? Ja bardzo chętnie... proszę mną dysponować! – W jego głosie brzmiała tak nieklamana szczerłość, że Dorota uśmiechnęła się blado.

– Dziękuję, ale to niemożliwe. – Skinęła mu głową. – Do

zobaczenia. – Odwróciła się i zmęczonym krokiem weszła do bramy.

Kiedy Hans jechał do klubu, wciąż przypominały mu się te zasnute melancholią oczy. Odezwał się w nim – o co się wcześniej zupełnie nie podejrzewał – instynkt rycerski i opiekuńczy. Chciałby zrobić dla tej pastelowej, cichej dziewczyny coś, co rozjaśniłoby radością jej twarz, a jemu dało poczucie słusznej dumy.

Dorota weszła na górę, opierając się ciężko o poręcz. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, usiadła na łóżku i wbiła nieobecne spojrzenie w deski podłogi. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, zanim dobiegło ją energiczne pukanie.

Otworzyła niechętnie drzwi i zobaczyła panią Otylię.

– Panna Dorotka zejdzie do mnie na kolację – powiedziała starsza pani tonem, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie przewiduje sprzeciwu.

– Dziękuję, nie chce mi się jeść – odparła dziewczyna cicho.

– Tak nie można – powiedziała łagodnie pani Otylia. – Choćby trochę, ale trzeba. Przygotowałam pyszne krokietki z mięsem i barszczyk.

Dorota poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

– Nie chcę jeść, chcę być sama! – powiedziała szorstko i zaraz zrobiło jej się przykro, że uraziła tę dobrą kobietę. Dodała więc łagodniej: – Naprawdę, pani Otylio, wolałabym zostać sama.

Ale pani Otylia nie zamierzała ustąpić. Przyrzekła panu hrabiemu, że będzie się opiekowała jego córką, więc musiała coś zrobić z tą kupką nieszczęścia, która siedziała tu w ciemnym pokoju. Położyła rękę na sercu i westchnęła ciężko.

– Rozumiem. To i na dół pewnie panna Dorotka też dla mnie nie zejdzie. Skończyły mi się ziółka, a aptekę niedługo zamykają. Sama bym nie zdążyła...

Dorota już ubierała buty.

– Dlaczego pani mi tego od razu nie powiedziała? – burczała na panią Otylię przestraszona, że jej przyjaciółka może zasłabnąć. – Lepiej pójść jeszcze po doktora Feldmana.

– Jak mi nie pomogą ziółka, to zawsze będzie czas iść po doktora – starsza pani starała się ukryć serdeczny uśmiech pod wciąż zbolaną miną. Wcale nie miała sobie za złe tego niewinnego podstęp. Wiedziała, że każde zdarzenie, choćby i nieprzyjemne może wyrwać człowieka z czarnej melancholii, której objawy rozpoznała niemylnie. Przypisywała je jednak rozstaniu z ojcem, choć coś jej mówiło, że to chyba przesadna reakcja. W końcu to tylko rozstanie na parę tygodni. Chyba że stało się coś innego...

Kiedy Dorota wpadła zdyszana do mieszkania na trzecim piętrze, pani Otylia siedziała na krześle, nadal trzymając się za serce. Poprosiła o zaparzenie ziółek i posiedzenie z nią przez chwilę.

– Chyba, że panna Dorotka już chce wrócić do siebie, to proszę się – mną nie przejmować, dam sobie radę...

– Jak pani może tak mówić! – ofuknęła ją dziewczyna, nadal przestraszona. Już idę do kuchni, a potem sobie posiedzimy. Na pewno nie trzeba pójść po doktora?

Starsza pani pokręciła głową. – Nie, to tylko na zmianę pogody; pewnie zbiera się na deszcz. Kiedy wieje taki wiatr jak dzisiaj, to czuję się gorzej.

Kiedy już wypić przyniesione w garnuszku ziółka, westchnęła z zadowoleniem i oznajmiła: – Już mi lepiej... już mi lepiej na samą myśl, że zaraz podziałają. Chętnie bym coś zjadła, ale tak samej...

– Zaraz podgrzeję! – Dorotę już wymiotło do kuchni. Drżącymi rękami przestawiała garnuszki, nalewała barszcz do filiżanek, układała paszteciki na półmisku. Nie chciała już nikogo stracić! Wróciło wspomnienie ostatnich chwil jej matki i tej okropnej bezradności, jaką wtedy czuła. Najgorszego uczucia, jakiego doświadczyła w życiu. Strach przed nim w niej pozostał i teraz szykując kolację, szybkimi, uważnymi ruchami rąk jakby odczyniała urok, jakby broniła się przed złowrogim cieniem, który zagrażał pani Otylii.

Ku jej ogromnej uldze starsza pani po kolacji, którą zjadły wspólnie, poczuła się lepiej. Odetchnęła głębiej i oznajmiła:

– No, już wszystko w porządku. Nie wiem, co bym bez panny Dorotki zrobiła. Podziękuję dzisiaj Panu Bogu za to, że zesłał mi panią.

Dorota poczuła skurcz wzruszenia w gardle. Nic nie odpowiedziała, tylko mocno ucałowała swoją starszą przyjaciółkę w policzek.

– Jutro do pani zajrzę. I proszę samej nie wynosić śmieci, dobrze? Pani Otylia pokiwała głową.

– Złota z pani dziewczyna. Niech panią Bóg błogosławi.

Te serdeczne słowa towarzyszyły jej do pustego mieszkania. Już nie, było w nim tak strasznie samotnie. Nawet myśl o Maksie nie bolała tak mocno. Cóż, może się pomyliła w ocenie tego człowieka? Jednak przed chwilą przekonała się, że może być gorzej, i przypomniała sobie, jak wygląda prawdziwe nieszczęście. Nie będzie się mazgać z powodu straconych złudzeń.

Ale serce wciąż nie chciało uwierzyć, że to było złudzenie.

Kiedy w niedzielę pojechała z Hansem do galerii sztuki, była już opanowana i uprzejma. Nie mówiła zbyt wiele, ale starała się, żeby jej towarzysz nie czuł się ignorowany. W końcu był porządnym młodym mężczyzną, który nie udawał nikogo, został przedstawiony jej ojcu i ten go zaakceptował. To nic, że z trudem znajdowała z nim temat do rozmowy i trochę nudziła się w jego towarzystwie. Za to miała pewność, że przebywa 'z dżentelmenem, który stara się być dla niej grzeczny. Zdawała sobie sprawę, że spacerują po galerii tylko dlatego, żeby jej zrobić przyjemność. Istotnie, wystawa ją zainteresowała; przed paroma płótnami Kokoschki przystanęła dłużej, żeby podziwiać ekspresję jego kreski i pełne wyrazu postacie na portretach.

Po wyjściu z muzeum Hans zaproponował jej przejażdżkę do Lasku Wiedeńskiego, kieliszek wina w nowo otwartej gospodzie i spacer.

– A może teraz wybierzemy się tam, gdzie pan z kolei będzie się dobrze bawił? – zaproponowała z uśmiechem Dorota.

– Co pani ma na myśli? – zapytał spłoszony, bo wyobraźnia podsunęła mu obraz wesołej kolacyjki w towarzystwie pańienek z baletu. Panna Belenburg o takich przyjemnościach nie powinna mieć zielonego pojęcia.

Istotnie, nie miała.

– Moja koleżanka opowiadała mi o torze wyścigów konnych przy , Praterze. Nigdy go nie widziałam. Czy moglibyśmy tam pójść?

– Oczywiście, świetny pomysł – ucieszył się Hans. Że też sam na to nie wpadł! Zupełnie do rzeczy dziewczyna z tej hrabianki.

Kiedy się tam znaleźli, Hans znalazł jej doskonałe miejsce na trybunie, potem przyniósł jej z bufetu oranżadę i ciasteczka, wreszcie objaśnił zasady wyścigów. Właśnie biały balon przy starcie podniósł się do góry i siedem koni ruszyło wzdłuż trybuny wyciągniętym galopem. Na ich grzbietach jechali drobni, skuleni dżokeje, trzymając krótkie szpicruty. Wśród widzów zaczął narastać gwar głosów dopingujących , swoich faworytów, wreszcie, gdy konie kończyły ostatnie okrążenie, prawie wszyscy na trybunach wstali, krzycząc i wymachując rękami. Niektórzy głośno wyrażali zawód i darli ze złością paski papieru. Dorota patrzyła na nich zdumiona; na nią nikt nie zwracał uwagi.

Przed następną gonitwą Hans zaproponował jej postawienie na jakiegoś konia. Poszli razem na kolisty wybieg, na którym spacerowały konie, przygotowujące się do startu. Dorota od ojca nauczyła, się oceniać walory tych szlachetnych zwierząt, więc teraz podzieliła się z Hansem paroma uwagami. Ten popatrzył na nią z szacunkiem. No, no. Dziewczyna zna się na rzeczy. Zaczął doceniać przenikliwość matki.

– Na którego chce pani postawić? Zaraz pójde do kasy po bilety. Dorota zmrużyła oczy, zastanawiając się i nagle wydało jej się, że jeden z dżokejów popatrzył na nią. To trwało mgnienie oka; nie była pewna, czy jej się zdawało.

– Na tego – wskazała programem tę właśnie, piękną kasztanową klacz, która przypominała jej trochę ulubioną Game.

Hans zajrzał do programu „Barkarola” – przeczytał. – W tym

sezonie jeszcze ani razu nie wygrała. – Ale, oczywiście, postawimy na nią.

Niebawem rozległ się dzwonek zapowiadający następną gonitwę.

Tym razem Dorota nie siedziała jak obojętny widz. Z napięciem śledziła walkę swej faworytki, a kiedy konie wypadły z zakrętu, zmierzając do mety, wstała i zaczęła głośno dopingować swojego konia, razem z Hansem, którego w tym podekscytowaniu złapała za rękaw.

Klacz zwyciężyła o pół głowy przed następnym koniem.

Hans, zachwycony, z zapalem potrzasał jej ręką.

– Wygraliśmy! – zawołał. – Co za wyczucie! A ja, idiota, postawiłem za mało, chociaż od razu wiedziałem, że pani zna się na koniach. Chodźmy odebrać wygraną.

Przed ich kasą stało tylko kilku ludzi, między innymi pomarszczony, rudawy człowieczek, który wziął grubszą wygraną. Hans też podszedł do niej z solidnym plikiem pieniędzy. Wręczył go jej z ukłonem.

– Panno Doroto, gratuluję. Oto pani wygrana. Dziewczyna cofnęła się.

– Ależ ja nie mogę wziąć tych pieniędzy! To przecież pan...

– Ale gdyby nie pani...

– Proszę schować te pieniądze – powiedziała surowo Dorota. – Nie mogę ich wziąć.

Trudno, takie zasady wpojono jej w domu. Pieniądze z hazardu są brudne i dama nie kala sobie nimi rąk.

– To co ja mam z nimi zrobić? – spytał stropiony Hans. – Nie są moje.

– No cóż – zastanowiła się. – Moglibyśmy je przeznaczyć na jakiś szlachetny cel.

Hans spojrzał na nią bez entuzjazmu. Skąd, u diabła, w niedzielne popołudnie on jej wytrzaśnie szlachetny cel? Czy nie można by sprawy potraktować normalnie i przeznaczyć tych pieniędzy na dobrą zabawę? Tak wesoło zapowiadał się ten wieczór...

Dorota jakby czytała w jego myślach.

– Myślałam, oczywiście, o tej części, która przypada na mnie. Swoją zadysponuje pan według uznania.

Hans rozjaśnił się.

– A więc pojedziemy do Lasku Wiedeńskiego posłuchać cygańskiej orkiestry!

Zapadał już zmierzch, kiedy znaleźli się na oplecionym dzikim winem tarasie podmiejskiej gospody. Panujący tu gwar wesołych głosów był tłem dla dźwięków niedużej orkiestry, która wygrywała na przemian walce i pulsujące rytmem czardasze.

Grajkowie, obdarzeni przez Hansa hojnym napiwkami, zbliżyli się do ich stolika. Skrzypek nachylił instrument do ucha ślicznej dziewczyny i zagrał specjalnie dla niej czarującą melodię, pieśń o szczęśliwej miłości.

Na stole w oszronionym dzbanku złocił się młody riesling. Ciepły powiew przynosił słodki zapach kwitnących lip. Wszystko wokół było takie, jakie być powinno, aby mogła poczuć się szczęśliwa.

Z jednym, zasadniczym wyjątkiem: to nie był ten mężczyzna.

Nazajutrz rano Dorota, idąc do pracy, zapukała do mieszkania dozorczy. Otworzyła jej wylękniona kobieta, przytrzymując przy szyi pocerowaną bluzę.

– Proszę pani – zaczęła Dorota niepewnie, mając świadomość, że mija się « prawdą. – Z pewnej... jakby to powiedzieć... fundacji, dostałam skromną kwotę na wsparcie osób, które znalazły się... chwilowo... w trudnej sytuacji materialnej. No więc proszę przyjąć to!

Wcisnęła nic nie rozumiejącej kobiecie w rękę kopertę ze swoją połową wygranej, uśmiechnęła się przepraszająco i mówiąc: – Do widzenia – odwróciła się i wyszła z bramy ucieszona, że ma to już za sobą.

W sklepie tego dnia był niewielki ruch; odczuwało się już koniec sezonu; większość bogatych ludzi wyjeżdżała na pobyty w modnych kurortach.

Okolo południa wpadł Hans i przywiózł jej bilecik z zaproszeniem na sobotnie popołudniowe przyjęcie u rodziców. Był na nim odręczny dopisek pani Lebrott:

Bardzo proszę, aby Państwo byli łaskawi nie odmówić. Bardzo nam zależy na obecności Szanownych Państwa.

– Ale mój ojciec wyjechał na wieś – powiedziała Dorota, przeczytawszy list. – A ja sama nie...

– Wcale nie będzie pani sama! – zapewnił ją Hans. – Z najwyższą przyjemnością dotrzymam pani towarzystwa i poznam z każdym interesującym gościem. Obawiam się, że nie będzie ich zbyt wielu – dodał z przekornym uśmiechem.

Dorota też uśmiechnęła się mimo woli.

– No cóż, nie chciałabym sprawić zawodu pańskiej matce. Proszę jej przekazać, że dziękuję za zaproszenie i z przyjemnością z niego skorzystam, o ile wystarczy jej tylko moja obecność.

– Pewnie będzie żałowała, że tym razem nie zaszczyli nas szanowny ojciec pani, ale pocieszy się nadzieją na spotkanie z nim u nas po wakacjach. Przyjadę po panią o wpół do piątej, dobrze?

Ucałował jej dłoń, uklonił się grzecznie Irmie i wyszedł.

Pan Berger obserwował tę scenę z głębi sklepu i tłumaczył ją sobie po swojemu.

A więc to tak! Młody Lebrott poluje na zdobycz na jego podwórku! Pewnie mu wpadła w oko ta dziewczyna, kiedy woził z nią klejnoty, a teraz korzysta z zawartej znajomości, aby namotać sobie mały romansik. Myśl o tym, że Hans mógłby mieć wobec Doroty poważne zamiary, natychmiast odrzucił. To niemożliwe! Zdeklasowana arystokratka, a teraz panna sklepowa i syn bankiera Lebrotta, którego nazwisko warte było obecnie miliony? Nie, to nie wchodzi w rachubę.

A więc ten złoty młodzieniec poluje tu na romansik. A co się stanie, jeśli mu się uda? W cnotę niewieścią pan Berger raczej nie wierzył. W czasach upadku dawnych wartości był skłonny uważać, że wszystko można osiągnąć za odpowiednią cenę.

Wnosząc z szeptanych poufnie w klubie sum, które bankier podobno tracił na swoje kolejne podboje, syn też pewnie będzie miał szeroki gest. A więc panna Dorota nie będzie już musiała pracować. On, który pierwszy podał jej pomocną dłoń, straci nie tylko tanią i dobrą pracownicę, ale też prawo do pewnej, nazwijmy to... gratyfikacji za swoją wspaniałomyślność.

Ale też nie jest wykluczone, że gdyby on sam okazał się wystarczająco ofensywny w działaniu, to może też miałby szansę? Mężczyzna w sile wieku, poważny, odpowiedzialny, jeszcze całkiem przystojny i... sprawny. Wyobraźnia zaczęła mu podsuwać coraz bardziej pociągające obrazy erotycznych scen z nim w roli głównej i Dorotą jako zachwyconą, uległą niewolnicą. Jego też byłoby stać na utrzymanie – na przyzwoitym poziomie – swojej... kochanki. Obejrzał się odruchowo, jakby się bał, że jego myśli może podsłuchiwać pani Bergerowa – pani o solidnej tuszy i skrzywionej niezadowolonym minie, która całe dni spędzała na graniu w bridża w jakiejś kawiarni dla pań.

Tak, oczywiście, to tylko takie fantazje. Wszystko przez tego Lebrotta, który się tu niepotrzebnie kręci. Trzeba będzie jakoś ostrzec pannę Belenburg przed nieodpowiednimi znajomościami.

Zrobi to w piątek po pracy.

Ale pokusa zaczęła kielkować.

W piątek, kiedy Dorota po zamknięciu sklepu oddawała klucze, jej szef, zwrócił się do niej z uprzejmym uśmiechem:

– Panno Doroto, czy mogę zamienić z panią kilka słów?

– Oczywiście – odparła, niemile dotknięta poufałością, z jaką zwrócił się do niej po imieniu, czego dotąd nie robił.

– Proszę spocząć – powiedział wskazując jej nie krzesło dla interesantów przy swoim biurku, tylko miejsce na kanapce dla szczególnych gości. Usiadła, zdziwiona i trochę zaniepokojona. Pan Berger zajął miejsce w foteliku, który przysunął sobie dość blisko. Za blisko. Starła się zająć jak najdalszy kąt kanapki, ale i tak dzieliło ich nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów.

– Panno Dorotko – powtórzył, starając się nadać swemu głosowi aksamitne brzmienie. – Niepokoiłem się o panią ostatnio.

– Z jakiego powodu? – zapytała, coraz bardziej zdezorientowana. – Czyżby nie był pan zadowolony z mojej pracy?

– Nic podobnego! Wręcz przeciwnie, doceniam pani umiejętności i starania i nie chciałbym, by coś... lub ktoś przeszkodził pani w dalszym ich doskonaleniu. Oczywiście, niebawem pomyślimy o stosownym zwiększeniu pani wynagrodzenia...

– Na słowo „ktoś” Dorota natychmiast przypomniła sobie leżące na biurku szefa fiołki i pomyślała z mieszaniną nadziei i przestachu:

– Znów tu był? Jak śmiał! Poczula, jak się czerwieni.

Pan Berger wziął ten rumieniec za oznakę radości. To dobry znak. A więc do dzieła! Przysunął się odrobinę bliżej i zniżył głos.

– Oczywiście te perspektywy mogą zostać zniweczone przez jeden fałszywy krok. Wiedeń jest miastem pełnym pułapek, a dziewczyna tak piękna jak pani stanowi nie lada pokusę. Boję się, żeby pani nie padła ofiarą jakiegoś bogatego lekkoducha, który nie będzie chciał wziąć na siebie poważnych zobowiązań.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi! – przerwała mu Dorota zdenerwowana. – Czy zechciałby pan wyrażać się jaśniej?

– Rozumiem pani wzburzenie – pan Berger był teraz uosobieniem pobłażliwej wyrozumiałości. – Sam z najwyższą przykrością mówię o tym, zwłaszcza że trochę czuję się odpowiedzialny za to, że ułatwiłem synowi pani Lebrott poznanie pani...

A, więc o to chodzi! Dorota poczuła taką ulgę, że mimo woli roześmiała się.

– Zapewniam pana, że pan się myli. Pan Hans Lebrott nie dał mi żadnego powodu do tego rodzaju podejrzeń.

– Zapewne pani ich nie dostrzega, ponieważ ta sfera życia jest dla pani obca, ale ja to widzę wyraźnie. Wiem, że dla młodej, pełnej życia kobiety spotkanie z odpowiednim mężczyzną jest jednym z najważniejszych wydarzeń. Ale, panno Dorotko – tu pan Berger zbliżył się tak, że owiał ją zapach wody kolońskiej i cygar

– po co szukać daleko, kiedy można znaleźć blisko...

Święci pańscy! Dorota zerwała się na równe nogi. Chciała wybiec z pokoju, ale jej szef stał teraz między nią a drzwiami i zbliżał się z obleśnym uśmiechem i wyciągniętymi ramionami. Poczowała, że ogarnia ją panika. Co robić, matko, co robić?

Nagle wzrok jej padł na przycisk instalacji alarmowej. Niewiele myśląc, nacisnęła go z całej siły.

Rozległo się przeraźliwe dzwonięcie.

– Co pani zrobiła? – ryknął rozwścieczony Berger, odwracając się, by znaleźć wyłącznik. Ta chwila wystarczyła, by Dorota dopadła drzwi i uciekła z pokoju. Wpadła do „pokoju śniadaniowego” po swój kapelusz i torebkę i wybiegła na korytarz.

Dzwonięcie nadal świdrowało w jej uszach.

Kiedy otworzyła drzwi wyjściowe, zobaczyła przed nimi posterunkowego, który stał z wycelowaną w nią bronią.

Przeraźliwe dzwonięcie właśnie ustało, na korytarz wyszedł pan Berger.

– Gdzie są złodzieje? – zawołał posterunkowy. – Nic wam nie zrobili?

– Nie... to znaczy tu nie ma żadnych złodziei – zaczął się tłumaczyć jubiler, który wyglądał tak, jakby za chwilę miał go powalić atak apopleksji – robiłem właśnie próbę instalacji...

Dorota nie czekała na ciąg dalszy. Przecisnęła się między framugą drzwi a policjantem i wybiegła z bramy na ulicę. Opamiętała się dopiero w momencie, kiedy zdała sobie sprawę, że ludzie się za nią oglądają. Przystanęła przed jakąś wystawą sklepową, ubrała kapelusz i już spokojniej ruszyła dalej. Wciąż nie mogła się otrząsnąć z szoku, jakim było zagrożenie ze strony tego... brakowało jej słów. Na samą myśl o tym, czego on od niej najwyraźniej chciał, ogarniała ją na przemian wściekłość i fale mdłości. Takiego wstępu nie czuła chyba nigdy w życiu.

Czuła, że musi o tym z kimś porozmawiać, natychmiast. Nie żałowała, że nie ma tu ojca. I tak by mu o tym nie powiedziała. Pani Otylia też nie była odpowiednią osobą. ' Trzeba oszczędzać

jej serce. Zuzanna! Może ona ją zrozumie?

Wpadła zdyszana na trzecie piętro i zadzwoniła. Po chwili zza uchylonych drzwi wyjrzało podejrzliwe orzechowe oko. Zaraz drzwi otworzyły się szerzej.

– A. to ty! Bałam się, że to ktoś inny. Wchodź. Co się stało, pali się? Dorota, nie mogąc złapać tchu, potrząsnęła głową. Zuza spojrzała na nią uważnie.

– Wyglądasz, jakby cię goniło stado wilków. Siadaj i strzel sobie kielicha. Potem mi wszystko opowiesz.

Naląła mały kieliszek koniaku i podała przerażonej dziewczynie. Ta wypila jednym haustem, potem zaczęła kaszleć. Zuzanna mocno klepnęła ją w plecy. Dorota poczuła, jak z jej żołądka rozchodzi się promieniście ciepło, a nieznośne napięcie trochę puszcza. Odetchnęła głęboko i oparła głowę o oparcie fotela.

– No, mów – zachęciła ją Zuza.

Z nieskładnej i rwanej opowieści Doroty zorientowała się wreszcie, co się stało. Wtedy wybuchnęła śmiechem.

– Stary Berger postanowił trochę poszaleć! – zawołała. – I trafił kulą w płot, tak, że już gorzej nie mógł. O. rany, nie wytrzymam! Już was tam widzę – tą nadętą ropuchę, co udaje królewicza, i ciebie, wystraszonego króliczka. Trzeba było walnąć go w nos i zagrozić, że o wszystkim powiesz żonie. To zawsze działa.

Dorota patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Tu nie ma się z czego śmiać. On mnie chciał... on mi chciał...

– Dobrze wiem, co on chciał. W teatrze co chwilę mam do czynienia z takimi typami, co nie potrafią trzymać łap przy sobie. Ale wybór jeszcze należy do ciebie. Nie chcesz, to się bronisz. Jak grzeczna perswazja nie pomaga, to czasem trzeba uderzyć pięścią i wzywać pomocy. Świetnie mu zrobiłaś z tym dzwonkiem, już to widzę! – I Zuza znowu zaniósła się śmiechem.

Dorocie nie mogło pomieścić się w głowie, że Zuza może tak lekko traktować takie ohydne zachowanie. W domu słyszała, że za

mniejszy afront wyrządzony damie brat albo mąż obrażonej mógł wyzwać zuchwalca na pojedynek. Ale to był inny świat: tutaj kobieta mogła być traktowana jak łatwa zdobycz przez każdego mężczyznę, który czuł się wystarczająco silny i ważny. Była przerażona. Chciała stąd uciec do bezpiecznego domu ciotki Herminy. Choćby miała potem zostać panną do towarzystwa przy jakiejś starszej pani! Żadne kaprysy nie będą gorsze od tego, co ją dzisiaj spotkało.

Zresztą chyba nie będzie miała innego wyjścia.

– Straciłam pracę – powiedziała ze smutkiem. – Już tam nie wrócę.

– No tak, z widokiem brylantów możesz się pożegnać. Ale jak nie boisz się żadnej pracy, to coś znajdziesz. Może zapytamy jutro w tej kawiarni, w której byłam ostatnio? Tam będziesz bezpieczna.

– Dziękuję ci – pokiwała głową Dorota. – Ale to praca bez perspektyw. Powinnam się zastanowić, jakiego zawodu mogłabym się wyuczyć, żeby potem móc utrzymać siebie i ojca.

– Dla dziewczyny po maturze, takiej jak ty. co zna języki, to pewnie coś by się znalazło w jakimś biurze. Musiałabyś się tylko nauczyć pisać na maszynie.

– I stenografii.

– Nie znam się na tym. Do teatru z twoją wrażliwością na pewno się nie nadajesz. Tu trzeba mieć grubą skórę, a czasem zgodzić się na mniejsze zło... Ten świat jest stworzony dla mężczyzn i oni nim rządzą. Chcesz się ustawić, to złap odpowiedniego męża.

– Co to znaczy złap?

– No, wyjdź za mąż.

– Tak zwyczajnie? Bez miłości?

– Biednych dziewczyn nie stać na takie luksusy jak miłość. Mówią, że można się przyzwycząić.

– Kto mówi?

– Te, co złapały nadzianych mężów.

– Gdzie złapały?

– Tam, gdzie bywają grube ryby. Na przyjęciach, na

premierach, sama zresztą wiesz... A jak już sobie jakiegoś upatrzysz, to sięgasz po sposoby stare jak świat: uśmiech, zainteresowanie, podziw i te rzeczy. Jednym słowem radość i entuzjazm. To działa.

Dorocie przypomniało się, że jutro ma być na przyjęciu u państwa Lebrottów. Na myśl o tym, że mogłaby się tam rozglądać za odpowiednim kandydatem na męża, a potem starać się zainteresować go sobą, poczuła taką niechęć, że przemknęło jej przez głowę, żeby nie pójść. Ale było już za późno na odmowę.

Pomyślała, że za długo zajmowała przyjaciółkę swoją osobą.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałaś – uśmiechnęła się do Zuzy. – Już mi lepiej. Powiedz teraz, co u ciebie. Jak próby?

Zuzanna z humorem odmalowała jej swoje perypetie z tenorem i atmosferę napięcia, jaka zaczyna ogarniać wszystkich w teatrze, gdy zbliża się premiera.

– Od poniedziałku zaczynają się próby z orkiestrą, w sobotę premiera. Przyjdiesz, oczywiście?

– Naturalnie, zostanę do soboty, żeby cię oklaskiwać, a potem pojedę do ojca, bo nie mam na razie po co siedzieć w Wiedniu. Muszę się trochę zastanowić nad swoją przyszłością. A teraz już pójdę.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, długo stała w oknie i patrzyła na światła miasta ciągnące się daleko, aż do wzgórz na horyzoncie.

Tyłu tu mieszka ludzi – przemknęło jej przez głowę. – Czy nie znajdzie się tu ani jeden człowiek, którego mogłabym pokochać i zaufać mu? W sercu odezwał się znajomy ból i znów zobaczyła przed sobą uśmiechnięte ciepło oczy Maksa Sieferta.

Dlaczego to wszystko jest takie trudne?

Nazajutrz Hans przyjechał po nią punktualnie.

– Ślicznie pani wygląda – zauważył szarmancko, otwierając przed nią drzwiczki samochodu.

Istotnie, wyglądała elegancko. Wczorajszy incydent z panem Bergerem zranił jej poczucie własnej wartości i wzbudził gniew.

Postanowiła nie zapominać o swojej godności i zachowaniu twarzy. W końcu wciąż była Dorotą von Belenburg. Miała dziś na sobie prostą jedwabną suknię w kolorze jasnego migdała, wisiorek z topazem, beżowe lakierki i torebkę, takie same rękawiczki. Do tego delikatny toczek z mgiełką woalki w kolorze dymu.

Kiedy zajechali pod rezydencję państwa Lebrottów, na podjeździe stało już kilka aut.

Hans wprowadził ją do rzęsiście oświetlonego hallu. Przy drzwiach wielkiego salonu pani Laura z małżonkiem u boku witała gości. Kiedy zobaczyła zbliżającego się syna z Dorotą, poczuła przyływ dumy. Pięknie oboje wyglądali! Ta dziewczyna to znakomity wybór. Tylko trzeba się pospieszyć, żeby ktoś inny nie zawrócił jej w głowie.

– Witam panią serdecznie, panno Belenburg – przywitała wchodzącą do salonu Dorotę z ostentacyjną serdecznością. – Mojego męża już pani poznała, prawda?

– Owszem, miałam przyjemność. – Dorota wyciągnęła rękę, którą pan domu grzecznie uściskał.

– Hans przedstawi pani naszych stałych bywalców – ciągnęła pani Laura. – Jaka szkoda, że pani ojciec nie mógł przyjść. Tak, słyszałam, że wyjechał. Mam nadzieję, że zechce nas odwiedzić po wakacjach. Cóż, okres letni przerzedził naszych gości. To nasze ostatnie przyjęcie w tym sezonie. Przepraszam – pani Laura zwróciła się do następnego gościa. – Witam pana radcę. Cieszę się, że pana widzę...

Dorota poczuła na ramieniu delikatne dotknięcie ręki Hansa.

– Pójdziemy na początek do tamtego kąta. Wypijemy trochę kruszonu, a potem pani wskaże mi osoby, które chciałaby pani poznać.

Kiedy stali przy oszklonych drzwiach otwartych na przestronny taras, salon zappełniał się. Mężczyźni, wśród których Hans wskazał jej bankierów, przemysłowców, paru wojskowych, zaczęli skupiać się w grupy, skąd dobiegały Dorotę urywki rozmów o polityce: „ciągłe kłopoty z socjalistami... rząd premiera Dolfusa... w Niemczech szykują się zmiany... Chwilowa koniunktura”

Natomiast panie zasiadły na rozstawionych pod ścianami kanapkach i fotelach obserwując innych i wymieniając z najbliższymi sąsiadami wiadomości z kroniki towarzyskiej.

Dorota czuła, że nie ma nic wspólnego ani z jednymi, ani z drugimi. Na tle tych obcych ludzi Hans wydawał się kimś znajomym i prawie sympatycznym.

Po salonie krążyli kelnerzy, roznosząc szampana. W kącie salonu, na długim stole widać było elegancko zaaranżowany bufet, gdzie wśród dekoracji kwiatowych stały półmiski z małutkimi kanapeczkami, patery z ciastami i kryształowe misy pełne różnych owoców, ułożonych w kolorystyczne kompozycje.

Kiedy gwar głosów pozwalał przypuszczać, że przyjęcie się już rozkręciło i goście bawią się sami, przy Dorocie pojawiła się pani Laura.

– Hans, przynieś nam truskawek ze śmietaną i kilka ciasteczek. My tu sobie tymczasem troszkę pogwarzymy.

Gestem ręki wskazała dziewczynie kanapkę w wykuszowym oknie, usiadła i poklepała dłonią miejsce obok siebie.

Kiedy Dorota przysiadła obok niej, pani Laura uśmiechnęła się czarująco i zaczęła dobrze przygotowaną wcześniej rozmowę.

– Tak się cieszę, że polubiliście się z Hansem – zaczęła. Dorota nie protestowała, bo w końcu mogło to tak wyglądać i nawet niezbyt odbiegało od prawdy.

Nie słysząc sprzeciwu, pani Laura rozpromieniła się. Położyła dłoń na ręce dziewczyny i ciągnęła dalej: – Mam dobrą intuicję i znam swego syna. On panią bardzo ceni, poważa i... – tu zawiesiła głos i z uśmiechem spuściła na chwilę oczy. – Nie chcę się wtrącać do jego życia, akceptuję wybory serca, a ten wybór zaakceptowałabym z radością.

– Co pani ma na myśli? – spytała zdezorientowana Dorota.

– No, chyba pani wie, że Hans adoruje panią i ma wobec pani jak najpoważniejsze zamiary?

– Jakie zamiary? – Dorota po wczorajszych doświadczeniach była pełna najgorszych przeczuć.

– Zamierza panią prosić o rękę – pani Laura trochę się zdziwiła

brakiem domyślności swojej przyszłej synowej. – Dlatego tak żałowałam, że pani ojciec wyjechał. No, cóż – zaśmiała się – chyba wyszło na to, że uprzedziłam syna w oświadczeniach. Ale on zrobi, co do niego należy!

– Jestem zaskoczona. Ja nie...

– Rozumiem to doskonale – pani Laura wszelki sprzeciw musiała zdusić w zarodku. – Jeszcze pani nie przemyślała sobie tego. Ale ufam, że kiedy pani przemyśli, to nie da mu pani kosza. Oczywiście, na to potrzeba trochę czasu... Choć byłoby świetnie, gdybyście się mogli pobrać przed jego wyjazdem do Lizbony.

Dorota siedziała osłupiała. Zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć i jak się zachować. Obrażać się nie było powodu, bo propozycja była uczciwa i wyrażona uprzejmie. Ale miała wrażenie, że pani Lebrott coś się pomieszało w głowie. Tylko spokojnie, byle jej nie zdenerwować.

– Bardzo dziękuję za zaszczyt, ale... – nieco drżącym głosem zaczęła zwyczajową formułkę odmowy, ale pani Laura znów wpadła jej w słowo:

– Na początek Hans dostanie skromne stanowisko, ale będzie rozporządzał własnymi funduszami i jego żonie niczego nie zabraknie. Poza tym jakie pole do popisu znalazłaby tam pani dla swojej znajomości języków i talentów towarzyskich! Żona dyplomaty też pracuje w dyplomacji, prawda?

Zawiesiła głos, czekając na potwierdzenie; zadowolona się nieznacznym skinieniem głowy dziewczyny i ciągnęła dalej:

– Poza tym ojciec pani stanowczo powinien wyjechać na kurację do Szwajcarii. Hans zadba w pierwszej kolejności o to, żeby jego teść miał zapewnioną opiekę na najwyższym poziomie. Ufam, że po takiej kuracji pani ojciec będzie mógł bez przeszkód was odwiedzać. Może wspólnie się tam wybierzemy, żeby cieszyć się waszym szczęściem? Cóż, rozmarzyłam się, a to przecież jeszcze nic pewnego... Ale proszę wybaczyć matce, że myśli o szczęściu swojego dziecka, a pani od pierwszego spotkania w sklepie pana Bergera przypadła mi do serca. Co ta wspaniała dziewczyna tam robi? – pomyślałam. Dlaczego się tam marnuje?

No, ale w dzisiejszych czasach można znaleźć perły w nieoczekiwanych miejscach.

Pogładziła dziewczynę po ręce. – Proszę mi obiecać, że pani nie powie „nie”, zanim sobie tego spokojnie nie przemyśli, dobrze? Ufam w pani trzeźwy osąd sytuacji i zdrowy rozsądek. I w uczucia, oczywiście. – Pani Laura wstała. – Muszę wrócić do gości. Miło mi się z panią gawędziło. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Zaraz przyślę tu Hansa.

Wstała spokojnie, rozejrzała się po salonie i podeszła do grupy diskutujących mężczyzn.

– Niezdrowo jest rozmawiać o polityce na pusty żołądek – zwróciła się do nich. – Zapraszam panów do bufetu.

Jej interwencja została przyjęta z aprobatą, bo ich spór właśnie przeradzał się w kłótnię.

Dorota siedziała nadal, oszołomiona, próbując zdać sobie sprawę z tego, o co tu chodzi. Kiedy Hans do niej podszedł, poprosiła go, żeby odwiózł ją do domu. Wytłumaczyła się nagłym bólem głowy. Pani Laura nie zatrzymywała ich. Z domyślnym uśmiechem westchnęła tylko: – Cóż, młodzi wolą być sami! – i pożegnała pannę von Belenburg tak, jakby ta już była stałym i mile widzianym gościem w tym domu.

Kiedy odprowadzała ich wzrokiem do drzwi, czuła zadowolenie. Na pewno popchnęła sprawę naprzód. Teraz trzeba będzie jeszcze odpowiednio przygotować Hansa. Już mu dyskretnie poleciła, aby zaraz poprosił pannę Dorotę o pozwolenie złożenia jej wizyty.

Niebawem trzeba będzie zamówić w drukarni zawiadomienia o zaręczynach. No, a potem zaczną się przygotowania do wesela! Pani Laura będzie w swoim żywiole. Ponieważ narzeczona nie ma matki, ona będzie mogła ją zastąpić. A więc do niej będzie należał decydujący głos co do wyprawy panny młodej, oprawy ceremonii weselnej i samej uroczystości. Widziała już oczami duszy, jak siedzi w pierwszej ławce w katedrze świętego Stefana. Główny ołtarz jarzy się od świec, panna młoda w długiej białej sukni, z

welonem na głowie, jej syn we fraku. Ona sama... musi sobie sprawić na tę okazję coś niezwykle wytwornego. Potem wszyscy pojedą wynajętymi powozami do Hotelu Larischa, gdzie w sali reprezentacyjnej już będzie czekała zamówiona orkiestra, wytworna kolacja i nienaganna obsługa. Na to wesele przyjdzie cały Wiedeń!

Pani Laura podniosła dumnie głowę i odwróciła się do gości, którzy powoli zaczęli się rozchodzić, dziękując jej za znakomite przyjęcie „jak zwykle u szanownych państwa”. Wąskie grono osób, z którymi pan Lebrott prowadził interesy i chciał porozmawiać w swobodnej atmosferze, zostawało na kolacji.

Jej obowiązki tego wieczoru jeszcze się nie skończyły.

Przez całą drogę do domu Dorota była milcząca. Hans dziwił się temu trochę, bo jadąc na przyjęcie dość swobodnie wymieniali wspomnienia z dawnych wakacyjnych podróży i żartowali z napuszonych ceremoniałów w eleganckich pensjonatach. Teraz dziewczyna patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem i nie odzywała się lub odpowiadała monosylabami.

Kiedy zegnał ją przed bramą, zgodnie z poleceniem matki poprosił o pozwolenie na złożenie wizyty w najbliższych dniach. Dorota, która domyślała się jej celu, spojrzała na niego spłoszonym wzrokiem.

– Jutro nie – powiedziała szybko. – Pojutrze też będę zajęta. Jeśli panu to odpowiada, to zapraszam we wtorek o piątek po południu.

– Doskonale! – Hans uklonił się i ucieszony wsiadł do auta. A więc ma teraz dwa dni dobrze zasłużonej wolności!

Dorota wolno weszła do bramy i skierowała się ku schodom. W tej chwili z mieszkania dozorca wyszła szczupła kobieta. Można było pomyśleć, że czekała tam na zjawienie się lokatorki z czwartego piętra.

– Panno Belenburg... – zająknęła się z emocji – ja nie wiedziałam... nie przypuszczałam... Tyle pieniędzy! I na doktora, chociaż on nie chciał nic wziąć, i na lekarstwa, i mleko dla malutkiej! – Podeszła bliżej, przytrzymując na piersiach

włóczkowy szal, zrobiony na szydełku. Uśmiechnęła się nieśmiało. – Nie wiem, jak pani dziękować! To wszystko było takie niespodziewane. Kiedy już wyglądało na to, że nic się nie poprawi, nagle taki cud! Jak wymodlony. Tyle czasu prosiłam świętego Józefa o pomoc i wreszcie pani się zjawiała! Niech Bóg panią błogosławi! Tak się martwiłam o moją malutką, że może się wdać we mnie i zachorować. Żal mi było ją zostawić samą na świecie. A teraz doktor mówi, że będzie lepiej. Może nawet na trochę pojedziemy na wieś! Ja mogłabym pomagać przy kuchni, bo to w żniwa każde ręce się przydadzą, a Tereska pobędzie na świeżym powietrzu. To nie wypadnie drogo. Ale co ja tu szanownej panience głowę zawracam swoimi sprawami, kiedy tylko chciałam podziękować i powiedzieć, że póki życia będę wdzięczna! – Tu kobieta schyliła się i chciała Dorotę pocałować w rękę.

Dziewczyna cofnęła się, a potem ujęła dłoń przejętej kobiety i uścisnęła ją serdecznie.

– Cieszę się, że ta sumka trafiła do właściwych rąk. Nie ma tu żadnej mojej zasługi, to tylko przypadek. Ja byłam właściwie tylko posłańcem – tłumaczyła się zakłopotana i pomyślała, że teraz w zasadzie mówi prawdę.

A może to święty Józef postawił tego dnia na właściwego konia?

Żona dozorczy, potrząsając dłonią Doroty, zaczęła się żegnać: – To ja już nie będę szanownej paniutki zatrzymywała. Chciałam jeszcze tylko powiedzieć, że jakby trzeba było pomocy w sprzątaniu albo coś zanieść, to ja albo mąż bardzo chętnie... Wystarczy powiedzieć.

– Dziękuję, możliwe, że niebawem skorzystam z uprzejmości państwa.

Dziewczyna już rozumiała, że ta uboga kobieta też ma swoją godność i chce się czymś odwzajemnić za otrzymany dar. Nie chciała jej odbierać tej możliwości.

Kiedy znalazła się w domu, weszła do pustego pokoju ojca, usiadła na jego fotelu i wbiła oczy w okno. Przyszedł czas, żeby

zdecydować o swoim życiu, i ta decyzja należała do niej. „Słuchaj serca – powiedział jej ojciec – ale nie lekceważ głosu rozumu”. Teraz musiała dojść ze sobą do ładu. Odpowiedź, którą da we wtorek Hansowi, powinna być uczciwa i przemyślana.

A więc trzeba rozważyć wszystko po kolei.

Po pierwsze – myślała – nigdy już nie wrócę do sklepu pana Bergera. Muszę więc znaleźć inną pracę. Mogę więc – w najlepszym wypadku – stanąć za następną ladą albo znaleźć pracę biuralistki. Dopóki nie zdobędę sensownego zawodu, czeka mnie więc ciężka praca za małe pieniądze na podrzędnych stanowiskach. Zdobyć dobrego zawodu wymagałoby pójścia na studia. Czy zdołam to pogodzić z ciężką pracą? Nie wiem, ale może mi się nie udać.

Czy chcę tak żyć? Nie, jeśli znalazłoby się inne wyjście.

To może być wyjście za męża za Hansa. Jego matka przedstawiła mi dziś jasną propozycję pewnego... układu. Słowo „handel” byłoby może właściwsze. A więc po stronie plusów: pozycja, środki finansowe na leczenie ojca, życie na odpowiednim poziomie i wśród elitarnego towarzystwa, podróże. Po stronie minusów: Hans do końca życia. Hans przy śniadaniu, obiedzie, kolacji i po kolacji też. Tuż obok, w łóżku. Czy to nie będzie gorsze niż stanie za ladą przez osiem godzin dziennie?

Właściwie nie idzie tu o samego Hansa, który w końcu nie jest taki najgorszy. Zachowuję się grzecznie, ma pogodne usposobienie i nie budzi we mnie obrzydzenia. Ale to za mało!

A więc o co tu idzie?

O to, że to nie jest Maks.

Cóż, taka jest prawda.

Dorota westchnęła i poprawiła się na fotelu. Tak trudno było roztrząsać za pomocą racjonalnych argumentów wszystko, co miało związek z tym prawie nieznanym mężczyzną. To, co o nim przypuszczała, a więc, że jest żonaty, nie było minusem ale dyskwalifikacją. Nie ma o czym mówić. Ale gdyby, gdyby – to przecież nie jest wykluczone – nie był? Co za nim przemawia? Wszystko! Śniadanie, obiad, kolacja i po kolacji... Zawsze razem,

do końca życia!

No, dobrze, dosyć tych sentymentów. Co przemawiałoby przeciw? Prawie go nie znam. Może go sobie tylko wymarzyłam? Nie wiadomo, czy chciałby się ze mną ożenić. Może pociągał go tylko przelotny flirt? Nie wiadomo też, czy Maks miałby warunki na utrzymanie żony. To nic, mogłabym pracować. W sklepie za ladą? Może na początek, ale na pewno znaleźlibyśmy jakieś wyjście.

Krótko mówiąc, o Maksie nic pewnego nie wiadomo. Trudno powiedzieć, czy kiedykolwiek się pojawi. W końcu ostatni raz widziała go, jak wyjeżdżał z Wiednia, i to nie sam. Był tylko kometą, która przecięła jej drogę i zniknęła gdzieś w wielkim świecie.

Zaraz, powiedział, że pracuje w kancelarii mecenasa Reissa!

No to co? Albo już nie pracuje, albo nie chce się już ze mną spotykać. Może poczuł się zdemaskowany, gdy go zobaczyłam z tą... damą?

Poza tym ja też niebawem wyjadę z Wiednia.

A więc chyba już się nie zobaczymy!

Dochodząc do takiego wniosku, Dorota, o dziwo, poczuła pewną ulgę. Nie zdawała sobie sprawy, jak męczyło ją podświadome czekanie na jakieś spotkanie, wyjaśnienia, na dalszy ciąg ich znajomości. Teraz potrafiła przyznać, że czegoś takiego prawdopodobnie nie będzie. Sytuacja była jasna: albo samotne przebijanie się przez trudne warunki życia i odpowiedzialność za postępującą chorobę ojca albo małżeństwo z Hansem i pogodzenie się z utratą nadziei na miłość do wybranego przez siebie mężczyzny.

Były jeszcze inne wyjścia, teoretycznie możliwe, ale dla niej nie do przyjęcia, jak: pójście do klasztoru (bez prawdziwego powołania byłaby to ucieczka i oszustwo), czekanie nie wiadomo na co, bądź – przeciwnie – szukanie krętych dróg i wątpliwych moralnie rozwiązań.

Ale czy małżeństwo z Hansem nie należy do tej ostatniej kategorii?

Nie będzie tak, jeśli powie mu prawdę o swoich uczuciach i motywach. Wtedy on będzie mógł wybierać, czy w takiej sytuacji nadal chce się z nią żenić. Jeśli zrezygnuje, nie będzie miała do niego pretensji. Do siebie zresztą też.

No, dobrze, a jeśli to zaakceptuje? Czy małżeństwo z niekochanym mężczyzną nie jest oszustwem wobec siebie, przysięgi małżeńskiej i Boga?

Cóż, jako podłotek niejednokrotnie słyszała o małżeństwach w rodzinie lub wśród bliższych i dalszych znajomych. Wciąż pamiętała mówione z obłudną pewnością słowa: „miłość przyjdzie po ślubie” albo „dobra córka spełnia swój obowiązek wobec rodziny” – kiedy panna przyjmowała oświadczyny, żeby majątek męża mógł wyratować rodzinę z finansowej zapaści. Tylko jej rodzice pobrali się z wzajemnej, gorącej miłości, ale też w kilku szeptanych poufnie na kanapie, a podsłuchanych przez nią kiedyś komentarzy na ich temat przewinęło się słowo „mezalians”. Zdumiało ją to i oburzało. Nie umiała sobie wyobrazić, żeby ojciec i matka nie mogli być razem.

Tym niemniej małżeństwo z rozsądku było w jej środowisku dobrze widziane i aprobowane. Tego się w pewnych sytuacjach nawet spodziewano od córek.

A czy ona nie jest w takiej sytuacji? Ojciec ma prawo oczekiwać od niej opieki; zresztą ona sama bardzo chce zapewnić mu możliwie najlepsze warunki na starość. Przecież mają tylko siebie! W miarę postępów choroby ojciec będzie tracił siły i sprawność. W jaki sposób zapewni mu stałą opiekę, obecność, troskę? Jak jej się to uda, jeśli prawie przez cały dzień będzie stała za ladą albo nawet siedziała w jakimś biurze?

Tak, to jest decydujący argument. Ma obowiązek myśleć nie tylko o sobie. A może w nowej sytuacji życiowej i finansowej znajdzie jakieś pole do robienia czegoś pożytecznego również dla innych ludzi? Przypomniała jej się żona stróża i jej wzruszająca wdzięczność.

Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, że myśląc w ten sposób, otwiera sobie drogę wiodącą prosto do komitetu dobroczynnych

pań, przed którym tak wzdragą się pani Laura.

Za oknem już szarzało, kiedy wreszcie wstała z fotela. Czuła się tak, jakby przez jedną noc przybyło jej kilka lat.

Dorota uprzedziła panią Otylię, że we wtorek po południu spodziewa się wizyty pana Hansa Lebrotta. Starsza pani pokiwała z aprobatą głową, ponieważ pamiętała to nazwisko z rozmowy z panem hrabią. Chcąc się jednak w pełni wywiązać z danego mu przyrzeczenia, zaproponowała:

– Ja tam się pannie Dorocie nie będę wpraszać jako przyzwoitka, ale jakieś pozory zachować trzeba. Umówmy się, że podam wam herbatę, a potem będę u siebie. Jakby co, to panienka mnie zawoła.

– Dziękuję pani – zgodziła się Dorota, myśląc, że bliskość pani Otylii doda jej trochę otuchy w czasie trudnej rozmowy.

Hans zjawił się punktualnie, świeżo ogolony, w nienagannym wizytowym garniturze i z przepięknym bukietem herbacianych róż. Pani Laura nie zaniedbała żadnego szczegółu i poinstruowała syna, jak ma się zachować. Zaprotestował, tylko, gdy powiedziała o przyklęknięciu podczas wygłaszania zwyczajowej formuły oświadczyn.

– Mamo, wyjdę na idiotę! Ona nie spodziewa się po mnie takich ceregieli.

– Lepiej trochę przesadzić niż czegoś zaniedbać. Ci ludzie są bardzo wrażliwi na formy – powiedziała stanowczo matka.

Teraz stał na progu, a w otwartych drzwiach skromnego, ale gustownie urządzonego pokoju ze spadzistym sufitem patrzyła na niego poważnie jego przyszła żona. Nieodwołalność tej sytuacji sprawiła, że poczuł prawdziwą treść.

– Proszę wejść – zachęciła go Dorota. – Dziękuję za kwiaty, są piękne. Zaraz je włożę do wody. Zechce pan usiąść tutaj? Napijemy się herbaty, dobrze? Pani Otylia za chwilę nam ją poda.

Rzeczywiście, po chwili do pokoju weszła starsza, zażywna niewiasta z elegancko zastawioną tacą. Kiedy już ustawiła na stole filiżanki, czajniczek, dzbanuszek z mlekiem i talerz z ciasteczkami

wyszła, mówiąc jeszcze od drzwi: – To ja jestem u siebie. Jakby panienka czegoś potrzebowała, proszę mnie zawołać.

– Dziękuję – pożegnała ją uśmiechem Dorota.

Przez chwilę zapadło niezręczne milczenie. Oboje byli spięci i skrępowani. Dziewczyna zajęła się nalewaniem herbaty, ale kiedy skończyła, nic już nie zostało do zrobienia i trzeba było przejść do rzeczy. Była trochę blada, ale spokojna. Wiedziała, co ma zrobić, i przygotowała się na tę rozmowę. Ale pierwsze słowa musiały wyjść od Hansa.

Zakłopotany młody człowiek kręcił się chwilę niespokojnie, wreszcie westchnął i zaczął:

– Panno Doroto, myślę... to znaczy chciałbym prosić, żeby pani pozwoliła mi starać się o jej rękę – dokończył szybko i trochę się odprężył. Najgorsze miał już za sobą. Teraz ciągnął spokojniej przygotowaną przemowę: – Darzę panią wielkim szacunkiem i podziwem. Byłbym dumny i szczęśliwy, gdybym mógł kiedyś mieć ten zaszczyt... – zająknął się i stracił wątek. I w dodatku zapomniał uklęknąć!

Dorota jednak nie wyglądała na urażoną.

– Czy mam rozumieć, że proponuje mi pan małżeństwo?

– Tak! – potwierdził wdzięczny, że ona zwraca się do niego prosto i bez krygowania się.

– Pańska matka uprzedziła mnie o pańskich planach, a także o jej oczekiwaniach – powiedziała spokojnie dziewczyna. – Zanim dam panu odpowiedź, chciałabym pana prosić, żebyśmy byli wobec siebie szczerzy. Czy zgadza się pan na to?

Pokiwał głową zdezorientowany. – Co pani chciałaby o mnie wiedzieć?

– Najpierw ja panu chcę coś powiedzieć o sobie. Szanuję pana i doceniam wagę pańskich intencji, ale nie darzę pana uczuciem, które zazwyczaj daje impuls do małżeństwa. – Widząc jego otwarte szeroko oczy i zbaraniałą minę, dodała: – Po prostu nie kocham pana.

– A, to rozumiem! – ucieszył się. – Oczywiście, że mnie pani nie kocha! A niby za co miałyby mnie pani kochać? Nie

ośmieliłbym się oczekiwać od pani tak... osobistego uczucia. Ale jeśli z czasem mogłaby mnie pani polubić i zaakceptować jako męża, to może...

– Tak, to niewykluczone – zgodziła się Dorota. – Ale to jeszcze nie cała prawda. Jeśli zgodzę się zostać pańską żoną, będą miały na to również wpływ względy natury materialnej, o których mówiła pańska matka. Mam obowiązki wobec ojca i chciałabym mu zapewnić bezpieczną starość. Jednym słowem mogłabym wyjść za pana z rozsądku, ponieważ miałabym nadzieję na polepszenie swojej sytuacji życiowej.

No, jaśniej nie można się chyba wyrazić, żeby zniechęcić konkurenta, pomyślała. Uśmiechnęła się mimo woli i dodała:

– Jeżeli po tym, co pan usłyszał, zechce pan wycofać się ze swojej propozycji, przyjmę to ze zrozumieniem i zachowam dla pana cały szacunek. Poproszę tylko, żeby ta rozmowa pozostała między nami. Jeśli pan chciałby to przez chwilę rozważyć, to zostawię pana tu samego.

Wstała i przeszła w stronę okna. Zapatrzyła się w ten znany na pamięć widok dachów i przedzielających je miejscami wierzchołków drzew. Była zupełnie spokojna.

Hans, który też podniósł się z krzesła, nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie był przygotowany na taką otwartą wymianę zdań. Już chyba wolałby dostać po prostu kosza! Od początku się go spodziewał. Z drugiej strony polubił myśl, że to Dorota zostanie jego żoną, a nie jakaś nowa, wynaleziona przez matkę kandydatka, której z góry nie lubił. Dobrze się czuł przy tej spokojnej, miłej dziewczynie; nie krępowała go ani przesadnym zainteresowaniem, ani narzucaniem swoich opinii. Na wyścigach bawili się razem świetnie; można by sobie wyobrazić, że będą elegancką parą życzliwych sobie ludzi, którzy starają się żyć tak przyjemnie, jak tylko się da. Nawet tę dyplomatyczną pompę będzie można łatwiej przeżyć we dwoje. Zrobił krok w stronę okna.

– Panno Doroto – zaczął niepewnie, a kiedy dziewczyna odwróciła się do niego, poprosił: – Usiądźmy i porozmawiajmy!

Kiedy znów zajęli miejsca naprzeciw siebie, Hans zdobył się na odwagę: – Zapewne domyśla się pani, że pomysł tego małżeństwa wyszedł od mojej matki. Ja wcale nie miałem ochoty się jeszcze żenić. Ale ponieważ od stycznia mam zacząć pracować w dyplomacji, byłoby dobrze, gdybym na placówkę pojechał z żoną. Odpowiednią żoną. Mama wybrała panią, a ja się nie sprzeciwiłem. Teraz jednak naprawdę chciałbym, aby pani rozważyła moją kandydaturę. Rozumiem, że mnie pani nie kocha, ale też tego nie oczekuję. Powtarzam, że darzę panią szacunkiem i sympatią. Jeśli nie czuje pani do mnie wyraźnej niechęci... – zawiesił głos, czekając na reakcję dziewczyny. Dorota pokręciła głową.

– Jeśli więc pani nie żywi do mnie wyraźnej niechęci i jest pani wolna...

Dorota powoli skinęła głową.

– ... to mnie wcale nie przeszkadza, że pani zgoda jest wynikiem względów, o których pani wspomniała. Jeśli uzgodnimy ze sobą jakiś sposób życia, który nam obojgu będzie odpowiadał, to może każde z nas więcej na tym zyska niż straci. Jeśli o mnie chodzi, to obiecuję uszanować pani uczucia i nie narzucać się swoją osobą, dopóki... pani sama nie da mi przyzwolenia... Nie wiem, czy jasno mówię?

– Wystarczająco jasno – potwierdziła dziewczyna. – A czego oczekuje pan w zamian?

– Żeby pani nadzorowała prowadzenie domu i pełniła funkcję reprezentacyjną jako żona dyplomaty. Jeśli zgodzi się pani w ważnych dla mnie sprawach porozmawiać ze mną, będę wdzięczny, bo nabrałem zaufania do pani rozsądku. Poza tym chciałbym liczyć na pani tolerancję, jeśli chodzi o moje – jak by tu powiedzieć – pozasłużbowe życie towarzyskie. Mam wielu kolegów i nie chciałbym tak zupełnie zrywać z nimi kontaktu. Oczywiście, z zachowaniem wszelkich względów dla pani pozycji i naszego nazwiska...

Aha, pewnie chodzi o kawalerskie wieczory – domyśliła się Dorota i wzruszyła ramionami. A co ją mogło obchodzić, z kim

Hans będzie się bawił wieczorami? Ona sobie znajdzie własne zajęcia.

– Zgadzam się – powiedziała spokojnie. – Informuję pana tylko, że nie lubię szmaragdów.

– Nie rozumiem – spojrzał na nią zdumiony.

– Nic, nic, to tylko nieudany żart.

– Rozumiem – odprężył się. – No więc, czy mogę się pani powtórnie oświadczyć? – Zrobił ruch, jakby chciał uklęknąć, ale Dorota powstrzymała go ruchem ręki.

– Darujmy sobie ten ceremoniał – powiedziała. – Ponieważ nasza umowa ma charakter raczej praktyczny niż romantyczny, wystarczy uścisk dłoni. Wyciągnęła do niego rękę; Hans uścisnął ją, a potem pochylił się nad nią i lekko ją pocałował.

– Mam zaszczyt zaprosić panią na jutro do domu naszych rodziców. Będzie kolacja w gronie rodzinnym. Mama chciałaby z panią omówić wiele spraw.

Moja przyszła teściowa była pewna, że jutrzejsza kolacja dojdzie do skutku – pomyślała dziewczyna. – Cóż, trzeba jej pogratulować znajomości życia.

– Oczywiście – odrzekła spokojnie. – O której?

– Przyjadę po panią o wpół do siódmej. A teraz nie będę pani dłużej niepokoił. Pozwoli pani, że się pożegnám?

– Naturalnie – uśmiechnęła się. – Życzę miłego wieczoru. Aha, miałabym do pana prośbę... mam nadzieję, że nie nadużyję pana uprzejmości...

– Z największą przyjemnością spełnię każde pani życzenie – powiedział szczerze Hans. Ten układ naprawdę podobał mu się coraz bardziej.

– W sobotę odbędzie się premiera „Księżniczki czardasza”...

– Wiem, oczywiście!

– Wybiera się pan?

– Miałem taki zamiar, ale jeżeli pani ma inne życzenie...

– Chciałam prosić, aby zechciał mi pan tam towarzyszyć. Moja znajoma gra tam jedną z ról; chciałabym ją zobaczyć i cieszyć się jej sukcesem. Byłabym też rada, gdyby mogła pójść z nami pani

Kluge, moja sąsiadka.

– Załatwię trzy bilety i będę z entuzjazmem oklaskiwał pani znajomą. Czy może znam jej nazwisko?

– Myślę, że jeszcze nie, bo to będzie jej debiut, ale wierzę, że odniesie sukces i stanie się znaną artystką.

– Z pewnością nie myli się pani! Postaram się o dobre miejsca. A więc do jutra?

Kiedy na schodach umilkł odgłos kroków Hansa, do pokoju weszła cicho pani Otylia. Zastała dziewczynę siedzącą przy stole. Głowę podpierała rękami i patrzyła przed siebie.

– Niczego panie Dorocie nie trzeba? – zapytała.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała dziewczyna jakimś roztargnionym tonem. Widząc wyczekującą minę starszej pani, dodała: – Właśnie się zaręczyłam.

– Z tym młodym człowiekiem, co tu był?

– Tak, z panem Hansem Lebrotem.

– I tak spokojnie to panienka mówi? Żadnych rumieńców, żadnego uśmiechu, a choćby i łezki?

– Jakoś nie mam nastroju do entuzjazmu – ucięła krótko Dorota.

– No to proszę przyjąć gratulacje. Pan hrabia pewnie się ucieszy...

– Mam nadzieję – mruknęła Dorota. – Na pewno za to ucieszy się moja przyszła teściowa.

– Jakieś to dziwne – nie wytrzymała pani Otylia. – Zgodziła się panienka być z tym mężczyzną do końca życia, na dobre i złe, póki śmierć was nie rozłączy, a mówi panienka o tym jak nie przymierzając... o kupnie węgla na zimę. Kiedy ja...

Nie dokończyła, bo dziewczyna położyła głowę na dłoniach skrzyżowanych na stole i rozpłakała się.

A więc to takie buty! – domyśliła się starsza kobieta. Rozsądek z sercem wzięły rozbrat i teraz siądź i płacz albo zaciśnij zęby i rób dobrą minę do złej gry. Ciężkie to życie dla dziewczyny, kiedy musi dokonywać takich wyborów!

Nie powiedziała jednak nic, tylko ze współczuciem pogładziła młodą kobietę po włosach.

– Pójdę zaparzyć herbaty. To panience dobrze zrobi – powiedziała spokojnie i wyszła cicho z pokoju.

Stół w jadalni państwa Lebrottów lśnił od sreber i kryształów. Na środku, w niskiej wazie, pyszniła się dekoracja kwiatowa. Dorota siedziała po prawej ręce pana domu, mając po swojej prawej stronie Hansa. Naprzeciw miała panią Laureę; obok niej siedział starszy syn z żoną.

Pani domu, promieniejąc z zadowolenia, podtrzymywała rozmowę, która się nie kleiła:

– Moja droga – zwróciła się do Doroty – już mogę się do pani tak zwracać, prawda? A więc droga Doroto, Hans chciałby jak najszybciej przedstawić swoje zamiary twojemu ojcu. Co prawda, żyjemy w czasach, kiedy młodzi sami decydują o sobie, ale my – tu spojrzała na swego małżonka, który milcząc jadł indyka w galarecie – my uważamy, że należy przestrzegać przyjętych form. Bardzo się cieszę, że wejdiesz do naszej rodziny...

Dorota przestała na chwilę słuchać i powiodła wzrokiem po twarzach osób zgromadzonych wokół stołu. A więc ci obcy ludzie będą jej nową rodziną? Nie mogła w to uwierzyć. Wciąż miała ochotę zapytać się: „Co ja tu robię?” – tak jej się to wszystko wydawało nierealne.

Sama też była obserwowana. Szczególnie przyglądała jej się Greta, starsza synowa. Była to młoda kobieta w widocznej już ciąży. Jasne włosy miała upięte w kok na karku, twarz o regularnych rysach przybrała trochę zatroskany wyraz. Nie wiedziała jeszcze, co myśleć o tej pannie von Belenburg. Nie obawiała się konkurencji; jej pozycja jako żony starszego syna była nie do podważenia. W dodatku wniosła do rodzinnego majątku bardzo solidny posag i stosunki swego ojca.

przedsiębiorcy budowlanego, a teraz jeszcze spodziewała się pierwszego potomka, następcy i dziedzica. Greta nie miała

wątpliwości, że to będzie syn, ponieważ ze wszystkich swoich obowiązków wywiązywała się solidnie. Takich atutów ta wiotka panna o miodowych włosach nigdy nie będzie miała. Z drugiej strony hrabianka to całkiem niezły nabytek dla rodziny. Miło będzie mówić znajomym: „Moja szwagierka, z domu hrabianka von Belenburg”.

Ważne, żeby panna hrabianka w gronie rodzinnym nie zadzierała nosa. Na razie na to nie wygląda. Siedzi tu z taką miną, jakby spadła z księżyca. Pewnie, to dla niej wielki los na loterii, złapać syna Lebrottów, choćby młodszego. Greta słyszała, że pani Laura poznała ją w sklepie jubilera, ale zabroniła wszystkim wspominać o tym. Było, przeszło. W trudnych powojennych czasach ludzie z najlepszych rodzin chwyтали się różnych zajęć. Tak powiedziała jej teściowa. Lepiej napomykać o majątku ziemskim w okolicach Salzburga. Tak, to rozsądne i Greta zastosuje się do tego.

– Inna sprawa, czy nowa synowa może pochwalić się taką znajomością prowadzenia domu, jaka jest potrzebna do życia na ich poziomie towarzyskim. Ona sama ma z tym niejednokrotnie wiele kłopotów. Kiedy musi wydać przyjęcie, zadręcza kucharkę, pokojówkę i szofera nerwowymi poleceniami. Wciąż coś sprawdza, poprawia, zmienia, bo boi się, że o czymś zapomni i skompromituje się jako pani domu. To jest jej stała obsesja. Wszystko u niej musi być najlepsze: dom bogato umeblowany i nieskazitelnie wypucowany, służba „wytresowana”, kuchnia doskonała. Ona sama wszystko osobiście co dzień sprawdza. Po zakupy wysyła służbę na targ, żeby nie przepłacać w pobliskich sklepach, wino kupuje w hurtowni, dopominając się o zniżkę dla stałych klientów.

Tak, mogła być dumna ze swojej gospodarności. Najbardziej lubiła przejść przez pachnący czystością dom, kiedy zawieszono w oknach świeżo wykrochmalone firanki, i otworzyć bieliźniarkę, w której równiutko poukładane piętrzyły się stosy bielizny i obrusów. Wtedy czuła się na swoim miejscu w tym solidnym świecie.

Teraz nie mogła sobie darować, żeby nie zaznaczyć swojej przewagi nad przyszłą szwagierką. Pochyliła się lekko do pani Laury i powiedziała:

– Znakomity jest ten indyk w galantynie. Może też każe go podać w sobotę, będziemy mieli parę osób na kolacji. Czasem się zastanawiam, co mogłabym wymyślić oryginalnego. A pani co by podała? – zwróciła się do Doroty.

– Może szparagi w beszamelu? – odparła po chwili wahania zagadnięta, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

Greta – wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z panią Laurą i z uznaniem skinęła głową. No tak, od razu widać klasę i znajomość kuchni na poziomie. Uznała, że lepiej się zaprzyjaźnić z tą elegancką panną i korzystać czasem z jej wiedzy. Już chciała zaprosić Dorotę na podwieczorek, ale teściowa nie dała jej dojść do słowa.

– No więc proponuję, żeby oficjalne zaręczyny urządzić po waszym powrocie do Wiednia, na początku sezonu. Zgadza się?

Dorota lekko skinęła głową, a Hans odpowiedział: – Naturalnie, mamo.

– Nie przeszkadza nam to jednak wznieść teraz toastu za wasze zdrowie i życzyć wam szczęścia.

Na znak pani domu lokaj wniósł szampana. Kiedy go rozlał do kieliszków, pani Laura zwróciła się do męża: – Mój drogi, wznieś toast.

Pan Lebrott chrząknął i tubalnym głosem oznajmił: – Pijemy za Dorotę i Hansa, żeby im się dobrze działo.

Wszyscy wypili, po czym w bardziej ożywionym nastroju dokończyli kolację. Na kawę pani Laura zaprosiła wszystkich do salonu. Panowie zostali jeszcze, by wypalić cygara. Hans po chwili dołączył do pań.

Na dyskretny znak dany przez matkę wyjął ozdobne czerwone pudełeczko i zwrócił się do Doroty: – Panno Doroto, to jest... Doroto, jeśli wolno mi tak mówić... proszę, przyjm ten pierścionek jako wyraz moich... najlepszych uczuć *i* nadziei. – Otworzył

pudełeczko i podał je dziewczynie. Był w nim pierścionek z brylantem w oprawie podobnej do węzowego splotu.

Dorota zaczerwieniła się, zakłopotana.

– Nie wiem, czy to nie za wcześnie – powiedziała cicho. – Zresztą ja nie mam jeszcze nic dla pana... dla ciebie. Dostanę dopiero od ojca.

Hans milczał zakłopotany, ale wyręczyła go w odpowiedzi matka:

– Proszę, przyjmij go, moja droga! Hans chciałby pewnie, żeby ten drobiazg przypominał ci go podczas waszego rozstania. Na pierścionki zaręczynowe przyjdzie pora podczas oficjalnego przyjęcia. Już zaczynam je planować. Przyjedzie cały Wiedeń! Otworzymy drzwi na taras, w ogrodzie postawi się namiot dla orkiestry i zmontuje parkiet do tańca, będzie zimny bufet...

Pani Laura zapalała się coraz bardziej, a Dorota miała wrażenie, że patrzy na to wszystko przez szybę z grubego szkła. Prawie nic do niej nie docierało. Jej nieobecne spojrzenie i brak reakcji zwróciły wreszcie uwagę pani domu.

– Dobrze się czujesz, moja droga?

– Niezupełnie – odparła Dorota. – Jeśli pani pozwoli, chętnie wróciłabym do domu.

– Oczywiście, Hans zaraz cię odwiezie! Nic dziwnego, tyle wrażeń jednego dnia! Do zobaczenia po wakacjach. Proszę, przekaz od nas ojcu wyrazy szacunku i daj znać, kiedy Hans może złożyć mu wizytę.

Delikatnie dotknęła ustami policzka dziewczyny. Greta pożegnała ją zachęcającym uśmiechem. Pan Lebrott ze starszym synem, którzy dołączyli w międzyczasie, skłonili się nad jej dłonią.

Hans otworzył przed nią drzwi. Owiało ją chłodne, pachnące jaśminem powietrze.

Nareszcie było po wszystkim, przynajmniej na razie.

Następnego dnia Dorota wstała późno. Zjadła śniadanie, posprzątała pokój, potem zaczęła się po nim kręcić bez celu. Nie

mogła sobie znaleźć miejsca; nie wiedziała, co chce robić. Postanowiła wreszcie przygotować sobie rzeczy do wyjazdu. To już za cztery dni. Właśnie rozkładała na łóżku dwie sukienki, parę spódnic i bluzek, które zamierzała spakować do walizki, kiedy do drzwi ktoś cicho zastukał. Otworzyła je i zobaczyła żonę stróża, wyciągającą do niej dwa listy.

– Właśnie przyszedł listonosz, więc pomyślałem sobie, że panienka może chciałaby zaraz przeczytać...

Dorota na jednej kopercie zobaczyła pismo ojca.

– Dziękuję pani! – ucieszyła się. – To bardzo miłe z pani strony. – Zawahała się na moment. – Może pani wejdzie na chwilę? Mam właśnie zaparzoną herbatę.

Na szczupłej twarzy o pociągłych rysach pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Nie, nie będę panience przeszkadzać. Chciałam tylko powiedzieć, że już zażywam te lekarstwa, co to je pan doktor Feldmann zapisał, i lepiej się czuję. Pojutrze wyjeżdżamy z Tereską na wieś. Doktor powiedział, że świeże powietrze ją wzmocni i już nie będzie taka podatna na choroby. Bo ja się ciągle okropnie boję, żeby jej nie zarazić, więc staram się ją jak najmniej przytulać, a tak bym chciała... Ona też się do mnie garnie i nie rozumie, że ja ją tak odsuwam, bo ją Kocham i...

Po bladych policzkach potoczyły się dwie łzy. Dorota poczuła, że też ją coś ściska w gardle.

– Proszę być dobrej myśli – powiedziała serdecznie. – A gdyby pani czegoś potrzebowała, to proszę mi dać znać, postaram się znowu pani pomóc. Nawet jeśli się stąd wyprowadzę, to pani Kluge będzie znała mój adres.

– Wyprowadzi się panienka? – w jasnoniebieskich oczach kobiety pojawił się lęk.

– Tak, kiedy wyjdę za mąż.

– A, to wspaniale! Życzę panience dobrego męża, dużo szczęścia, zdrowych dzieci i w ogóle!

Niezgrabnie wyciągnęła rękę, którą Dorota uścisnęła, potem powoli zaczęła schodzić ze schodów.

Dziewczyna usiadła przy oknie i obejrzała oba listy. Najpierw otworzyła drugą kopertę; zaadresowana była ukośnymi literami. Każda wyglądała jak wykrzyknik. To był list od jej byłego pracodawcy. Pan Berger pisał:

Szanowna Pani,

Ponieważ opuściła Pani pracę bez uprzedzenia, narażając mnie na duże niedogodności, zwalnię Panią bez wypowiedzenia i bez dodatkowego wynagrodzenia. Jeżeli spodziewa się Pani ode mnie świadectwa pracy i rekomendacji, uprzedzam, że nie będzie ona bezkrytyczna.

Z poważaniem

Julius Berger

Dorota popatrzyła z osłupieniem na trzymaną w dwóch palech kartkę papieru, po czym podarła ją na drobne kawałeczki. Wychyliła się z okna i rozsypała te strzępki na wietrze. Wkrótce zapadły w cień ulicy, unosząc ze sobą ostatnie wspomnienie po panu Bergerze i jego sklepie.

Następnie otworzyła list od ojca. Pisał:

Kochana Córko,

Zajechałem szczęśliwie. W Salzburgu czekał na mnie stary Gustaw, wysłany przez Herminę. Jechaliśmy jej przedpotopowym powozem jeszcze przez ponad godzinę. Przyznaję, że ze wzruszeniem patrzyłem na znajomy pejzaż, choć w Salzburgu nie chciałem ponownie zobaczyć bliskich mi niegdyś miejsc. No, ale dosyć o tym.

Hermina powitała mnie serdecznie i z miejsca otoczyła opieką, której przez grzeczność nie nazwę kuratelą. Prowadzę aż nadto uregulowany tryb życia, odżywiam się zdrowo i regularnie, czytam porządną, konserwatywną gazetę, wieczorami chodzę na spacer w stronę jeziora, Jedyńm szaleństwem i ekstrawagancją jest wieczorna partyjka bezika. Chociaż w Wiedniu prowadziłem życie ograniczone czterema ścianami naszego mieszkanka, to jednak

czułem wokół pulsowanie wielkiego miasta i teraz mi tego trochę brakuje, choć Hermina naprawdę okazuje mi wiele serca i troski.

Może po prostu tęsknię za Tobą? Kiedy przyjedziesz, dopełnisz swoją obecnością to wszystko, co tu jest dobre i przyjazne. Spędzimy razem wspaniałe wakacje. Czy pan Berger nie mógłby zwolnić Cię nieco wcześniej, dając kilka dni bezpłatnego urlopu? Hermina bardzo Cię do tego namawia i chce Ci to sfinansować.

Napisz, proszę, jak sobie radzisz i co u Ciebie.

Ściskam Cię i pozdrawiam jak najserdeczniej Ojciec

Gdyby tato wiedział, co się tu zdarzyło przez ten krótki czas jego nieobecności!

Dorota potrząsnęła głową, przypominając sobie zdarzenia ostatnich dni. Rozmowa z panią Laurą, dzwonki alarmowe, broniące ją przed zakusami pana Bergera, zaręczyny...

Wyciągnęła przed siebie dłoń; na jej palcu lśnił pierścienek z brylantem. Patrzyła na niego obojętnie, jak na rzecz oddaną jej na przechowanie.

Nie zdoła tego wszystkiego opisać w liście do ojca, zresztą nie ma takiej potrzeby. Zaraz po premierze Zuzy wyjedzie do ciotki. Pójdzie więc teraz na pocztę nadać depeszę. Ojciec pomyśli, że udało jej się wcześniej dostać urlop, i nie będzie się przedwcześnie niepokoił.

Kiedy wracała z urzędu pocztowego, kierowana jakimś podświadomym impulsem zaszła do „swojego” kościółka przed ołtarz świętej Katarzyny. Chłodny mrok świątyni wyraźnie odgradzał to miejsce od upału i gwaru ulicy. Usiadła w ławce i złożyła ręce na kolanach. Żadne słowa modlitwy jakoś nie przychodziły jej do głowy. Podniosła oczy i spojrzała z wyrzutem na twarz świętej.

– Myślałam, że mi pomożesz – powiedziała najcichszym szeptem. – Tak cię prosiłam... – Poczwała, że łzy napływają jej do oczu. Wytarła je szybko wierzchem dłoni. – Nie kocham Hansa – ciągnęła swoje zwierzenia. – Czy to uczciwe, że zgodziłam się zostać jego żoną? Powiedziałam mu prawdę, ale czy to była cała

prawda? Wciąż nie mogę zapomnieć o... tamtym. Wydaje mi się, że to była jakaś pomyłka, zły sen; nie mogę uwierzyć w to, że on mnie chciał oszukać. Tak mu dobrze patrzyło z oczu, miał taki szczery uśmiech, kiedy czekał na mnie i przynosił fiołki. Czy to możliwe, żeby tak się zachowywał żonaty mężczyzna, którego żona w dodatku spodziewa się dziecka? Czy można aż tak udawać? A jeżeli można, to nie uwierzę już żadnemu mężczyźnie. Nie pozwolę się więcej skrzywdzić. Tylko dlaczego ciągle mi jest tak żal?

Westchnęła ciężko. Czy nie za wiele tego uzalania się nad sobą? Życie jest twarde i cała zasługa w tym, by jego ciosy przyjmować z godnością. Tego ją uczono. Podniosła znów oczy na ołtarz.

– No, cóż, jeżeli oh rzeczywiście nie zasługiwał na zaufanie, to dobrze, że mnie nie posłuchałaś. Więc teraz cię tylko proszę, żebyś mi pomogła zapomnieć o nim jak najprędzej. I żebyś mi dała siłę na to, żebym była porządną żoną dla Hansa i spełniała swoje obowiązki...

Łzy nie pozwoliły jej dalej mówić.

Święta Katarzyna miała w oczach współczucie i obietnicę.

W garderobie teatralnej było duszno. Zuzanna czuła, jak język jej sztywnieje i z trudem obraca się w wyschniętych ustach. Poprosiła garderobianą o szklanekę wody. Starsza kobieta popatrzyła na nią ze zrozumieniem.

– Trema, co? – powiedziała kiwając głową. – Zaraz pani dam trochę letniej herbaty. Wypróbowany sposób i nie wyziębia gardła. – Cicho zniknęła za drzwiami.

Zuza dzieliła garderobę z trzema śpiewaczkami. W niedużym pokoju bez okna unosił się zapach szminki, pudru i potu. Wszystkie artystki robiły właśnie ostatnie pociągnięcia pędzelkiem i puszką na swoich mocno wymalowanych twarzach. Za niecałe pięć minut rozlegnie się gong i kurtyna pójdzie w górę. Zuzanna poczuła, że trzęsie się jak galareta. W

głowie miała pustkę; nie mogła sobie przypomnieć pierwszych słów swojej arii. Kiedy zbliżyła usta do przyniesionej przez garderobianą szklanki ze słomkową herbatą, jej zęby zadzwoniły o szkło.

Wszedł inspicjent, wywołując jej koleżanki na scenę. Ona miała wejść później. Usłyszała, jak za kulisami zapada cisza, a potem dobiegły ją dźwięki uwertury. Ogarnęło ją odrętwienie. Pomyślała przelotnie, że tak musi się czuć królik podczas spotkania z pytonem. Potem już nic nie myślała, aż do chwili, kiedy w uchylonych drzwiach garderoby ukazała się głowa inspicjenta, który oznajmił:

– Panna Kovacz na scenę!

Wstała, jakby ją podniosła niewidzialna siła, przeszła szybko kawałek korytarza, dzielący ją od kulis. Kiedy usłyszała znajomy dźwięk melodii, podniosła głowę i żywo wybiegła na scenę.

Czuła się lekka i swobodna. Nie myślała, co ma mówić i śpiewać; po prostu była wesołą i beztroską hrabianką Leni, która dokazuje z uwielbiającym ją coraz bardziej przyszłym narzeczonym.

Sala była tego wieczoru wypełniona po brzegi, choć był to już właściwie koniec sezonu. Hans z niemałym trudem załatwił trzy miejsca w szóstym rzędzie. Siedział teraz między Dorotą i panią Otylią i z zachwytem patrzył na scenę, na której błyszczało talentem i temperamentem to wspaniałe zjawisko – debiutantka, panna Zuzanna Kovacz.

W czasie przerwy, kiedy zaprosił panie do teatralnej kawiarni na szklaneczkę mrożonej orszady, nie ukrywał swojego podziwu, który wyraził ze znanstwem i entuzjazmem.

Dorota słuchała jego słów z przyjemnością, a pani Otylia z pewnym zdziwieniem: jej zdaniem nie było w dobrym tonie zachwycać się inną kobietą w obecności własnej narzeczonej. Ale ta para narzeczonych nie wyglądała na parę zakochanych. Panna Dorotka traktowała pana Hansa, jakby był – za przeproszeniem – klientem w jej sklepie, a on okazywał jej względy, jakby była jego drogą kuzynką, a nie przyszłą żoną. Za to o Zuzie mówił z takim

ogniem w oku, jakby miał ochotę na... no, wiadomo, na co.

Cóż, to nie jej sprawa. Ją samą młody Lebrott traktuje z uprzedzającą grzecznością, więc pani Otylia coraz lepiej czuje się w roli damy do towarzystwa hrabianki von Belenburg. Wszystko idzie tak jak iść powinno: starszy pan hrabia będzie z niej zadowolony.

Na zakończenie publiczność zgotowała artystom serdeczną owację. Na scenę wniesiono kosze kwiatów; bileterki rozdawały bukiety od znajomych i wielbicieli poszczególnym artystom. Zuzanna stała w pierwszym rzędzie, nieco z boku, i kłaniała się uszczęśliwiona. Jej też wręczono trzy piękne bukiety: jeden od sąsiadek, drugi od Rudiego a trzeci?

Nie widziała starszej kobiety w czarnej jedwabnej sukni, która weszła do swojej łoży już po rozpoczęciu spektaklu, a teraz stała w głębi i wzruszona patrzyła, jak jej uczennica rozpoczyna drogę do sławy. Nie czekała, aż wybrzmia ostatnie oklaski, tylko cicho wymknęła się przez obite czerwonym pluszem drzwi.

Dorota i pani Otylia chciały pójść do garderoby Zuzanny, żeby jej pogratulować sukcesu. Hans z entuzjazmem zaofiarował swoje przewodnictwo. Znał doskonale drogę za kulisy. Kiedy znaleźli się w ciasnym korytarzu, w którym tłoczyli się znajomi i wielbiciel artyków, ogarnęła ich atmosfera podniecenia, jaka towarzyszy udanej premierze. Wszyscy byli podekscytowani, rozbawieni, gotowi do dalszej zabawy.

Upłynęła spora chwila, zanim w drzwiach garderoby pokazała się Zuzanna. Powitał ją nasilony gwar i liczne okrzyki podziwu, za które podziękowała promiennym uśmiechem. Odszukała wzrokiem swoich przyjaciół i podeszła do nich.

Dorota i pani Otylia ucałowały ją serdecznie. Zuzanna spojrzała pytająco na towarzyszącego im, przystojnego mężczyznę. Jej przyjaciółka pochwyciła to spojrzenie.

Hans ucałował podaną sobie dłoń i powiedział stosowne gratulacje. Ale jednocześnie poczuł coś dziwnego: jakby iskra przeleciała między nim a tą roześmianą dziewczyną. Ona chyba też coś poczuła, bo nagle spojrzała na niego uważnie.

Oczy czarne i oczy orzechowe zatonęły w sobie na chwilę.
I stało się.
Starożytni poeci nazywali to strzałą Amora.

Zuzanna otrząsnęła się z tego dziwnego stanu, kiedy podszedł do niej Rudi. Przedstawiła go stojącym przy niej osobom. Oddany jej były wspólnik sfinansował w ostatniej chwili dodatki do jej kostiumów, tak że młoda artystka prezentowała się na scenie doskonale, co jej dodało pewności siebie.

– Dziękuję wam, kochani – powiedziała serdecznie. – nie wiem, czy przeżywałabym teraz te fantastyczne chwile, gdyby nie wasza pomoc. – Spojrzała na Dorotę. – Gdyby nie twoja suknia, nie startowałabym w ogóle do tej roli. – Zwróciła oczy na panią Otylię. – Gdyby mnie pani w ostatnich dniach nie karmiła, pewnie nie miałabym sił, żeby wyjść na scenę. – Odwróciła się do starszego mężczyzny. – Gdybyś nie sypnął groszem, nie miałabym tych wszystkich błyskotek, które tak mi się przydały! – Ucałowała go w policzek.

Hans w tej chwili oddałby wszystko, żeby być na miejscu Rudiego.

– Słuchajcie – ciągnęła rozemocjonowana debiutantka – bardzo bym chciała was zaprosić teraz na kieliszek wina, ale po premierze dyrekcja teatru organizuje bankiet; będą ważne osoby i sami rozumiecie...

– Oczywiście – pospieszyła jej z pomocą Dorota. – Wypijemy za twój sukces później. Ważne, żebyś teraz była razem z innymi artystami.

To my może już pójdziemy, żebyś mogła ochłonąć. Gratuluję ci jeszcze raz, byłam oczarowana.

– Ja także – Hans znowu ucałował dłoń Zuzanny. – Mam nadzieję, że będę miał szczęście jeszcze nie raz panią podziwiać. Do zobaczenia.

– Do widzenia – odparła miękko Zuzanna. Przez chwilę odprowadzała wzrokiem głowy swoich przyjaciół, przesuwających się w tłumie do wyjścia.

Potem energicznie zamknęła za sobą drzwi garderoby.

Kiedy grono przyjaciół Zuzanny wyszło przez wahadłowe drzwi teatru, miasto wokół wydawało się zapraszać do dalszej zabawy. Pierwszy zareagował na ten impuls Hans. Zwrócił się do pani Otylii:

– Szanowna pani, chyba nie jest jeszcze zbyt późno, by wypić kieliszek wina za powodzenie panny Kovacz? Serdecznie zapraszam do kawiarni Sachera, to niedaleko stąd; możemy się przejść. Nie odmówi pani, prawda?

Panią Otylię ten premierowy wieczór tak rozmarzył, że zgodziła się bez wahania.

– Jeśli panna Dorotka nie czuje się zmęczona – dodała dla czystego sumienia.

Dorota też miała ochotę na pozostanie jeszcze trochę w towarzystwie.

Hans zwrócił się do Rudiego, który zamierzał się pożegnać: – Pana także zapraszam. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi, prawda?

Rudi z zakłopotaną miną zrobił nieokreślony ruch ręką, jakby chciał zaprotestować, ale jego skrupuły przecięła zdecydowanie pani Otylia:

– Oczywiście, że pan pójdzie z nami. W większym gronie będzie nam przyjemniej.

Rudi posłusznie skinął głową i bez słowa ruszył u jej boku. Ta kobieta wiedziała, czego chce, a on umiał to docenić.

W kawiarni Hans zamówił szampana. Kelner z ukłonem przyjął zamówienie i poszedł w stronę bufetu. Inny kelner podjechał z wózczykiem, na którym pyszniły się najwspanialsze ciastka Wiednia. Zamówiono tort firmowy, słynny tort Sachera. Czekoladowe ciasto z delikatną powłoką marmolady morelowej pod czekoladową polewą, a na to bita śmietana. Nawet pani Otylia skinęła głową z uznaniem. Tak, to było warte grzechu łakomstwa.

Obie panie i Hans podzielili się najpierw wrażeniami z przedstawienia. Rudi milcząc przytakiwał głową i uśmiechał się

nieśmiało. Kiedy już ocenili inscenizację i talenty poszczególnych wykonawców, docenili talent i urodę Zuzanny (tu najbardziej elokwentny znów okazał się Hans), rozmowa zeszła na temat koni. Wtedy okazało się, że pani Otylia też ma na ten temat niemało do powiedzenia. Nie na darmo była wdową po wachmistrzu huzarów! Znała się na końskich felerach i fanaberiach, słyszała o dobrych stadninach, ba! pamiętała nawet przepis na najlepszy koński posiłek z owsa!

Rudi patrzył na nią w niemym podziwieniu. Co za kobieta!

Na zakończenie ich spotkania Hans wznosił toast: – Za szczęśliwą przyszłość!

Wypili zgodnie, choć każda z siedzących przy stoliku osób miała na myśli coś zupełnie innego, niż mogliby przypuszczać pozostali.

Dorota wysiadła na dworcu w Salzburgu przed ósmą rano, w poniedziałek. Była nieco oszołomiona długą podróżą, mimo że Hans, który odprowadził ją na dworzec, zadbał, by miała wszelkie wygody.

Przez pierwsze godziny podróży towarzyszył jej księżyc, który wisiał jak okrągła latarnia nad polami i wioskami mijanymi po drodze. Z tajonym wzruszeniem wypatrywała światła wiejskich domów, szczególnie tych odległych, stojących na uboczu. Zastanawiała się przez chwilę, jacy ludzie w nich żyją i czy są szczęśliwi. Dobrze jej było w podróży; na parę godzin mogła zawiesić troskę o przyszłość i konsekwencje dokonanych wyborów. Między przeszłością a przyszłością żyła chwilą obecną”, pomarańczowymi błyskami iskier, wyrzucanych przez lokomotywę, bladym odbiciem przedziału w szybie wagonu, monotonnym stukotem kół, w którym usiłowała odnaleźć jakiś znajomy rytm.

Ogarniał ją spokój. Po północy zasnęła z głową opartą o pluszowe obicie fotela.

Konduktor obudził ją na kwadrans przed Salzburgiem. Powitała

uśmiechem parę małżeńską, z którą jechała od Wiednia, potem w toalecie uczesała się i przemyła twarz wodą.

Teraz stała na peronie i rozglądała się. Nie dostrzegła nikogo znajomego. Przez chwilę poczuła niepokój: czyżby jej depesza nie doszła na czas? Nie, to niemożliwe.

Pójdę do poczekalni i tam usiądę na chwilę – postanowiła. Z Rau jest szmat drogi i mogli nie zdążyć na czas. Jeśli w ciągu godziny nie przyjadą, wyruszę omnibusem.

Właśnie schodziła z peronu, kiedy na schodach zobaczyła parę zdyszanych starszych ludzi. Tak, to była ciocia Hermina z Gustawem. Ucieszona ruszyła szybciej na ich spotkanie i po chwili wpadła w objęcia ciotki.

Była to kobieta około sześćdziesięciu lat, z mocno szpakowatymi włosami uczesanymi w kok, podpięty szyldkretowym grzebieniem. Twarz miała ładną, a sięć zmarszczek wokół oczu i ust właściwie dodawała jej nieco melancholijnego uroku. Szare oczy za to patrzyły bystro spod lekko zmarszczonych brwi.

– Mało nie pogubiliśmy nóg – wysapała, kiedy już ucałowała dziewczynę w oba policzki. – Ten stary safandula nie umiał znaleźć miejsca dla naszego powozu. – Rzuciła gniewne spojrzenie swemu służącemu, który – wcale nie przejęty naganą – uśmiechał się dobrodusznie.

– Witam panienkę – powiedział, biorąc jej walizkę. – Dobrze, że zdążyliśmy na czas.

– Ale mogliśmy nie zdążyć! – burknęła jego chlebodawczyni. Gustaw zwrócił się do dziewczyny, jakby gniew pani Belenburg w najmniejszym stopniu jego nie dotyczył: – Nasza pani jak się rano trochę nie pozłości, to potem chodzi jakaś nieswoja.

Dorota parsknęła śmiechem. Zawtórował jej wesoły śmiech ciotki.

– Jak on mnie zna, ten domorośły filozof! Nic dziwnego, pracuje u mnie tyle lat...

– Czterdzieści z okładem – uściślił stary sługa. – Przystałem do pani jako chłopak kredensowy. Akurat świętej pamięci starszy pan

zmarł i została pani sama.

– Tak – westchnęła pani Hermina. – Wiele razem przeżyliśmy. Czujemy się teraz prawie jak rodzina. Dlatego pozwalam sobie na okazywanie złego humoru, choć wiem, że nie powinnam...

– Jeśli o mnie chodzi, to może sobie szanowna pani piorunować, ile wlezie, bo ja i tak wiem, że ma pani złote serce i muchy by pani nie ukrzywdziła.

– Gustaw przesadza – oburzyła się starsza pani. – Jak potrzeba, to potrafię być twarda i nieustępliwa.

– Ma się rozumieć – przytaknął dobrodusznie – Jak trzeba pomóc, to nasza pani jest waleczna jak, nie przymierzając, pułk kirasjerów.

Tak przekomarzając się doszli do powozu, stojącego w bocznej ulicy. Pilnował go chłopiec, który za tę usługę został wynagrodzony pieniążkiem „na cukierki”.

Pani Hermina po drodze kazała się zatrzymać przy dużym sklepie, gdzie miała zrobić zakupy. Dorota w tym czasie udała się na znajdujący się nie opodal mały cmentarzyk przy kościele i położyła pęk kwiatów na grobie matki. Odeszła od niego wolno i niechętnie. Wracając do powozu, przyglądała się miastu. Opuściła je nie tak dawno, ale wydawało jej się jakieś zmienione. Nie przyszło jej do głowy, że to ona trochę się zmieniła.

Niewiele rozmawiała z ciotką podczas jazdy. Kiedy opuścili miasto i konie ruszyły rażniej bitym gościńcem, patrzyła ze wzruszeniem na znajomy krajobraz. Uderzył ją swojski zapach pól, na których dojrzewało zboże, i lasu, przez który jakiś czas prowadziła droga. To była jej ojczyzna – zalesione wzniesienia i góry zamykające horyzont, a potem jezioro – srebrzysta, lekko zmarszczona tafla wody, połyskująca w promieniach słońca.

Powóz skręcił w boczną drogę i jechali teraz wąską aleją lipową, która doprowadziła ich na okrągły gazon wysadzony ognistą szałwią i rumiankami. Okrążywszy go, powóz stanął przed schodkami, prowadzącymi do drzwi dworku.

Był to biały dom z trzema wysokimi oknami po obu bokach podpartego białymi kolumnami ganku. Piętro miało trzy okna i

okrągłe okienko pod barokowym dachem. Dworek był częściowo opleciony winoroślą. Pod oknami rosły malwy. Całość tchnęła spokojem i łagodnym urokiem. Na progu domu stanął pan Belenburg.

Dorota jednym susem wyskoczyła z powozu i zawisła na szyi ojca.

– Tatusiu! – Nic więcej nie mogła wydobyć z zaciśniętego gardła. Starszy pan poklepał córkę po plecach.

– No, no, już dobrze – uspokajał ją. – Zaraz sobie o wszystkim porozmawiamy. Mamy dla siebie mnóstwo czasu. Na razie idź do swojego pokoju i chwilę odpocznij.

– Drugie śniadanie zjemy za pół godziny – oznajmiła pani Hermina, która w międzyczasie wyszła z powozu.

Pokój gościnny, który Dorota pamiętała z poprzednich pobytów, nic się nie zmienił. Ta sama tapeta w różyczki, łóżko z mosiężnymi gałkami, nakryte samodziałową narzutą, na komódce porcelanowy dzbanek i miednica, w kącie nieduża mahoniowa szafa.. Okno wychodziło na sad, z którego aż tu dobiegało pracowite brzęczenie pszczół i granie świerszczy.

Dorota rozpakowała swoje rzeczy z walizki przyniesionej przez Gustawa, potem przebrała się w jasną domową sukienkę. Odświeżyła się trochę i już był czas na śniadanie.

Kiedy zeszła na dół, do niewielkiej, chłodnej i ciemnej jadalni, ciotka z ojcem już siedzieli przy stole nakrytym obrusem w biało-niebieską kratkę. Dorota usiadła na swoim dawnym miejscu i nagle poczuła, że jest okropnie głodna. Przed nią cudownie pachniał prawdziwy wiejski chleb, złociło się w miseczce masło. Na półmisku przygotowano pokrojone wędliny i sery, pod przykryciem grzały się jajka.

Ciotka nalala jej z dzbanka aromatycznej kawy, którą rozbieliła śmietanką. Kiedy dziewczyna wypila pierwszy łyk, poczuła, że ogarnia ją radość – tak smakowały wakacje!

– Niech się dziecko naje – zawyrokowała ciotka, widząc apetyt Doroty. – Pewnie w mieście żywiła się byle jak. – Jesteś za chuda – zmarszczyła brwi. Musimy cię tu trochę podkarmić. Panna na

wydaniu powinna wyglądać bardziej ponętnie.

– Hermino, mówisz jak Baba Jaga, która przygląda się Małgosi – wziął córkę w obronę pan Belenburg. – Uważam, że Dorotka wygląda prześlicznie.

– Lepiej powiedz: jak murzyńska swatka – odcięła się jego kuzynka. – Ale ja nie bawię się w swatkę, tylko chcę twoją córkę zmobilizować do troski o siebie, a wiadomo, że młodej panie taki argument najłatwiej trafia do przekonania.

„Młoda panna”, usłyszawszy słowa ciotki, przypomniała sobie nagle swoją sytuację. Przecież była już zaręczona! Jakoś nie pomyślała o Hansie przez cały ten czas. Pierścionek co prawda włożyła przed podróżą do torebki, żeby nie skusił jakiegoś złodzieja, ale...

– Tatusiu, muszę z tobą porozmawiać – powiedziała posmutniałym nagle głosem.

– Coś się stało? – zaniepokoił się starszy pan.

– Nie, nic, to znaczy nic złego – zdobyła się na uśmiech.

– To wy tu sobie rozmawiajcie, a na mnie czekają obowiązki – starsza pani podniosła się z za stołu. – Zamykając drzwi za sobą, dodała – Obiad będzie dziś o trzeciej.

Kiedy dziewczyna została sama z ojcem, przez chwilę milczała skrepowana. Nie wiedziała, jak zacząć. Widząc to, ojciec ośmielił ją:

– No, cóż takiego cię trapi?

– Zaręczyłam się – wypaliła Dorota i spuściła głowę, żeby ukryć rumieniec zakłopotania. – To znaczy nieoficjalnie, dopóki nie wyrazisz swojej zgody.

– Moja zgoda nie jest tu najważniejsza – powiedział spokojnie starszy pan, choć ten spokój sporo go kosztował. – Najważniejsze, czy ty jesteś pewna swojego wyboru.

– Tak – odparła dziewczyna, ale pan Herman za dobrze znał swoją córkę, żeby nie mieć wątpliwości.

– Czy ja go znam? – zapytał.

– Tak, to Hans Lebrott.

– Aha. A skąd ten pośpiech? Mam wrażenie, że znacie się od

niedawna?

Dziewczyna, ze wzrokiem wbitym w stół, zwijała mechanicznie róg serwetki.

– Hans niedługo ma wyjechać na placówkę do Lizbony i zależy mu na rychłym ślubie.

– A tobie też na tym zależy? – starszy pan ze wszystkich sił starał się powściągnąć irytację.

– No... tak.

– Jesteś dorosła i masz prawo podejmować wszystkie decyzje, dotyczące twojego życia. Nie wiem o panu Lebrocie nic takiego, co skłaniałoby mnie do odwodzenia cię od małżeństwa z nim. Zresztą jeszcze upewnię się co do tego po naszym powrocie do Wiednia. Kiedy przyjdzie do mnie, żeby mnie powiadomić o swoich zamiarach wobec ciebie, moja odpowiedź będzie zgodna z twoimi intencjami. Dlaczego płaczesz? – zapytał, widząc łzy spływające po policzkach córki.

– Bo nie będę już z tobą i w ogóle...

– To normalna kolej rzeczy – powiedział pan Herman, któremu też zaczęło się robić niewyraźnie koło serca. – Zostawmy teraz tę rozmowę. Wrócimy do niej, kiedy trochę tu odpoczniesz i nabierzesz dystansu. Wtedy wszystko sobie spokojnie omówimy, dobrze?

Dorota skinęła głową.

– Jest jeszcze coś – westchnęła.

– Co takiego?

– Nie pracuję już u pana Bergera.

– Cieszę się z tego. Będziemy mogli dowolnie ułożyć sobie wakacje, zanim wrócimy do miasta. A o pieniądze się nie martw; teraz ja się o nie zatroszczę.

Pan Herman wstał, ucałował córkę w czoło i podpierając się laską wyszedł z pokoju. Postanowił się trochę przejść, żeby uspokoić nerwy po tej zaskakującej wiadomości.

Ruszył wolnym krokiem w głąb starego parku, który zaczynał się za lewym skrzydłem domu. Doszedł do swojej ławki, ocienionej przed słońcem gałęziami starego klonu, i oparł głowę

na dłoniach skrzyżowanych na lasce.

Wiedział, że kiedyś ten moment nastąpi, i był na to przygotowany. Już wcześniej zdecydował, że nie będzie ciężarem dla swojej córki i jej męża: postanowił przyjąć ofiarowaną mu serdecznie gościnę u Herminy. Miał tu, w jej domu, kilka ocalonych z katastrofy cennych obrazów i starych brązów; sprzedając je będzie mógł łożyć na swoje utrzymanie. Nie jest to życie, o jakim marzył, bowiem jego czynna natura nadal ciągnęła go do działania, ruchu, podróży, ale obecny stan zdrowia to uniemożliwiał. Pozostało więc pogodzić się z tym, co nieuniknione.

Za to dla swojej córki pragnął szczęścia i tylko szczęścia. Dlatego wiadomość o jej zaręczynach przyjął z mieszanymi uczuciami. Na zdrowy rozum nie było w niej nic niestosownego, ale dobrymi małżeństwami rządzi nie tylko zdrowy rozum.

A głosu serca nie usłyszał w suchym komunikacie córki.

Dlaczego zgodziła się na to małżeństwo?

Może nie zna jeszcze porywów serca, nie doświadczyła ich i zadecydowała, kierując się rozsądkiem i – dość letnią – sympatią do tego Hansa Lebrotta? Czyżby nie wiedziała, że wyborem mężczyzny na całe życie mogą rządzić też inne uczucia? Kto jej ma w takim razie to powiedzieć? Nie ma już jej matki, która umiałaby to zrobić z miłością i taktem. Jak on ma wytłumaczyć córce, co czuje młoda kobieta, kiedy się zakocha?

Zdesperowany postanowił zwrócić się o pomoc do Herminy. Starsza pani miała co prawda dość obcesowy sposób wyrażania swoich sądów, ale była kobietą, która – jak pamiętał – w młodości przeżyła gorące uczucie. Wie, jak to jest, i na pewno znajdzie w sobie dość delikatności, by pomóc dziewczynie przemyśleć na nowo swoją decyzję.

Wstał z ławki.

Tak, dziś po kolacji porozmawia z kuzynką.

Dorota też na swój sposób przeżywała rozmowę z ojcem. Za dobrze go znała, żeby nie wyczuć jego niezadowolenia. Może

miał jej za złe pośpiech i decydowanie bez porozumienia z nim? Ale po co miałyby go obciążać odpowiedzialnością za decyzję, którą podjęła z poczucia obowiązku, także wobec niego! Na pewno nie życzyłby sobie żadnej ofiary z jej strony. A ona nie mogłaby patrzeć spokojnie, jak powoli niszczy go choroba. Tak, jest zadowolona z tego, co zrobiła, a ojciec z czasem przekona się, że to nie był z jej strony lekkomyślny wybór.

Czas po obiedzie, kiedy starsi państwo udali się na popołudniową drzemkę do swych pokoi, spędziła obchodząc znajome kąty, jakby miała nadzieję odnaleźć w nich część dawnej siebie – beztroskiej, ruchliwej dziewczyny, która tutaj wpadała konno z wizytą do „kochanej cioteczki” albo przyjeżdżała powozem z rodzicami na bardziej uroczyste okazje.

Kiedy zaglądała tu sama, nie zapowiedziana, czasem nie zastawała ciotki Herminy. Zachodziła wtedy do kuchni, gdzie królowała pani Rozalia. Witaa dziewczynę majestatycznym skinieniem głowy, które poruszało jej trzy podbródki, oraz kuszącą propozycją: – Może panienka na początek pozwoli kawusi i babki piaskowej?

Dorota nie zdążyła się jeszcze przywitać z panią Rozalią; postanowiła zrobić to teraz. Zapukała do kuchni, która po obiedzie była przez dwie godziny suwerennym terytorium służby. Tam wszyscy zatrudnieni w domu jedli obiad i gawędzili w czasie przerwy w pracy; nawet pani domu nie wchodziła tu o tej porze bez ważnego powodu.

Odpowiedziała jej cisza.

Wyszła przed dom i rozejrzała się. Na ławce pod kasztanem siedziała niemłoda kobieta, która wcześniej podawała im do stołu. Dorota nie znała jej.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Szukam pani Rozalii.

– Mama poszła się położyć. Ostatnio nie czuje się najlepiej. Nogi jej puchną...

– To pani jest córką Rozalii? Nie wiedziałam... – zakłopotana dziewczyna nie wiedziała, jak podtrzymać rozmowę.

– Tak, dzięki dobroci starszej pani mogłam tu przyjechać, jak

mojego zabili na wojnie... – oczy kobiety zaszklily się.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Dorota.

– Dziękuję za dobre słowo. Córka dostała posadę tu niedaleko, w dworze u nowych państwa, więc możemy się często widywać i każda z nas zarabia na siebie. Może nawet uskładamy na jej posag, żeby mogła rozejrzeć się za jakimś porządnym chłopakiem z miasteczka... – kobieta uśmiechnęła się nieśmiało.

– Z pewnością tak się stanie – Dorota. – Proszę pozdrowić ode mnie panią Rozalię, jutro ją odwiedzę.

– Bardzo się ucieszy. Dużo mi o paniencie opowiadała. Dziewczyna pożegnała siedzącą na ławce kobietę i ruszyła lipową aleją na pola, którymi niegdyś przyjeżdżała z domu. Rozpoznawała znajome drzewa, przekrzywiony płot przy wiejskim domu, nawet podwórzowego kundla, który powitał ją srogim ujadaniem.

Zawróciła i okrążyła park, który z drugiej strony łączył się z lasem. Wąską ścieżką wśród paproci doszła na tył domu, a stamtąd, przez kuchenne wejście, na schody i do siebie. Położyła się na chwilę na łóżku i zamknęła oczy.

Niby wszystko było takie samo, ale jakby mniejsze, bardziej oddalone.

Nie wiedziała, czemu przypisać to wrażenie.

Po kolacji, ku zaskoczeniu pani Herminy, jej kuzyn sam zaproponował partyjkę bezika. Dotąd to ona musiała go namawiać na tę niewinną rozrywkę.

– Dorotka jest pewnie zmęczona po podróży, więc pójdzie wcześniej spać, a my sobie troszkę pogramy – uzupełnił pan Herman swój plan na wieczór.

Dziewczyna istotnie była śpiąca, i to zarówno z powodu źle przespanej nocy w pociągu, jak i nadmiaru świeżego powietrza, które ją odurzyło. Ucałowała ojca i ciotkę i poszła na górę.

Kiedy oni oboje przeszli do saloniku i pani Hermina wyciągnęła z szufladki stolika karty, pan Herman powiedział:

– Moja droga, chciałbym najpierw z tobą porozmawiać.

– Aha, od początku podejrzewałam, że twój zapal do bezika jest udawany – skrzywiła się starsza pani. Więc z naszej partyjki nici?

– Nic podobnego – zapewnił ją kuzyn, zajmując swoje miejsce po drugiej stronie stolika – ale najpierw chciałbym ci powiedzieć coś, co mi leży na sercu.

– To coś poważnego? – pani Hermina zaniepokojona odłożyła karty i spojrzała na niego badawczo.

– Obawiam się, że tak – westchnął pan Belenburg. – Dorota zaręczyła się...

– To chyba nie jest zła wiadomość! – rozpromieniła się starsza pani. – Z kim mianowicie?

– Z Hansem Lebrottem.

Pani Hermina zmarszczyła brwi i zastanowiła się.

– Nie znam żadnych Lebrottów w naszym okręgu. Pewnie to rodzina ze wschodniej Austrii.

– Jego ojciec jest bankierem.

– To pewnie jakaś żydowska rodzina.

– O ile mi wiadomo, nie. Pan Lebrott dorobił się w czasie wojny.

– Rozumiem. – W głosie Herminy nie było już entuzjazmu. – No, ale skoro Dorotka go kocha...

– W tym właśnie jest największy problem. Podejrzewam, że ona go wcale nie kocha.

– To po co się z nim zaręczyła?

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć i proszę cię, żebyś z nią porozmawiała.

– Dlaczego ja? To ty jesteś jej ojcem!

– Ale ty jesteś kobietą, a ona nie ma matki! Nie umiem rozmawiać z młodą dziewczyną o kobiecych uczuciach. Nie nadaję się do tego! Czuję, że coś tu jest nie tak, ale nie wiem, na czym to polega. Więc bardzo cię proszę...

– A skąd ty przypuszczasz, że ja będę umiała o tym rozmawiać? W końcu też nigdy nie wyszłam za mąż.

– Miałaś narzeczonego...

– Który zginął w pojedynku na dwa tygodnie przed ślubem.

– Przykro mi. Nie chciałem poruszać bolesnych dla ciebie wspomnień.

– Już nie są takie bolesne. Pogodziłam się. Nie mogę jeszcze mu darować, że nie przepuścił swojemu koledze tej zniewagi, przez którą doszło do wyzwania na pojedynek. To była bardziej głupota niż podłość, a tak... źle wyszło. Dla nich obu i dla mnie.

– A jednak dochowałaś wierności jego pamięci...

– Z początku tak, przez pierwsze lata, ale potem już tylko nie chciałam narażać się więcej na ból i rozczarowanie. Czasy robiły się niespokojne; nie miałam ochoty, żeby mój następny mężczyzna dał się zabić... A może nie spotkałam tego właściwego mężczyzny...

Hermina zamilkła i zapatrzyła się w okno. Pan Belenburg nie chciał przerywać jej tej chwili zadumy. Wreszcie westchnęła i odezwała się;

– Sam widzisz, drogi kuzynie, że niewiele mogę pomóc twojej córce. Jestem zaskoczona jej decyzją, zwłaszcza, że roiłam sobie inną partię dla niej... No, trudno, zrobię, co potrafię, żeby przynajmniej pomóc jej upewnić się co do swoich intencji. Więcej nie mogę obiecać.

– I za to z całego serca ci dziękuję. – Pan Herman wstał, podszedł do starszej damy i z wdzięcznością pocałował ją w rękę.

Delikatnie poklepała go po ramieniu.

– Myślę, że odłożymy naszą dzisiejszą partyjkę. Idź spać, mój drogi, ja tu sobie jeszcze posiedzę.

Kiedy za ojcem Doroty zamknęły się drzwi, pani Hermina ze skupieniem zaczęła układać na stoliku wielkiego pasjansa.

Następnego dnia Dorota pierwsza zeszła na śniadanie. Usiadła przy nakrytym stole i z sentymentem spojrzała na wielki kredens, na którym pyszniła się zielona waza do kruszonu z kompletem szklaneczek z zielonego szkła. Stała tutaj chyba od zawsze; dziewczyna nie mogła sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek za

jej pamięci była używana.

Te refleksje przerwało jej wejście ciotki.

– Twój ojciec zje dziś śniadanie w swoim pokoju, a my możemy zaczynać.

Zadzwoiła srebrnym dzwoneczkiem, który stał przy jej nakryciu, i za chwilę weszła starsza pokojowa, niosąc dzbanki z kawą i mlekiem.

Pani Hermina z przyjemnością patrzyła, jak dziewczyna zajada z apetytem; nie przeszkadzała jej, rzucając tylko luźne uwagi o pogodzie i niedomaganiach Rozalii. Kiedy zobaczyła, że Dorota już skończyła jeść i pije spokojnie drugą filiżankę kawy, odetchnęła jak pływak, który ma skoczyć na głęboką wodę, i zaczęła:

– Żadna ze mnie dyplomatka, więc powiem prosto z mostu: twój ojciec powiedział mi, że się zaręczyłaś w Wiedniu i poprosił mnie, żebym z tobą o tym porozmawiała.

Dorota ostrożnie odstawiła filiżankę na spodek, starając się ukryć drżenie ręki.

– Istotnie, jestem po słowie z panem Hansem Lebrottem – powiedziała, czując lekkie zdenerwowanie. – Jeżeli ojciec będzie temu przeciwny, nie dojdzie do oficjalnych zaręczyn.

– Rozumiem twoją intencję w stosunku do ojca, ale to ty będziesz potem żyła z tym panem, a nie on. Jeżeli uważasz, że wtrącam się w nie swoje sprawy, to powiedz mi, żebym pilnowała własnego nosa, ale...

– Nie uważam, że się wtrącam, ciociu – przerwała jej Dorota. – Nie wiem tylko, o co ci chodzi.

– Szczerze mówiąc, ja też nie wiem. Twój ojciec martwi się, czy twoja decyzja została podjęta w zgodzie z uczuciami... jeżeli rozumiesz, co mam na myśli...

– Jeżeli tatko chciał wiedzieć, czy Kocham pana... Hansa, to mógł mnie sam o to zapytać. Szanuję go i lubię i uważam, że będzie dobrym mężem, a ja ze swojej strony zrobię wszystko, by dobrze spełniać swoje obowiązki.

– Obowiązki! Tylko obowiązków spodziewasz się po

małżeństwie?

– A czego innego mogłabym się spodziewać?

– Na przykład szczęścia...

Dziewczyna spuściła głowę, żeby ukryć łzy, które nie wiadomo dlaczego nagle napłynęły jej do oczu.

Pani Hermina milczała i tylko uważnie jej się przyglądała. Dorota podniosła głowę i mężnie spróbowała się uśmiechnąć.

– Mogę oczekiwać tego, co znam. A szczęście... wydaje mi się zbyt nietrwałe i ulotne, żeby na nie czekać. Zresztą, skąd to wiadomo, czy nie jest złudzeniem?

W jej głosie zabrzmiała gorycz. Starsza dama wyczuła, że tu gdzieś tkwi jakaś zadra.

– Czyżbyś doświadczyła już rozczarowania, że mówisz o tym z takim rozgoryczeniem?

Łuna rumieńca na policzkach dziewczyny wystarczyła za odpowiedź.

Pani Hermina pokiwała domyślnie głową.

– Poznałaś już kogoś wcześniej.

– Tak... właściwie to prawie nie. Widziałam go tylko parę razy.

– Nawet nie rozmawialiście?

– Tylko raz, kiedy odprowadził mnie podczas deszczu do domu.

– No to jakim cudem zdążyłaś się do niego zniechęcić?

– Widziałam go potem z żoną! – wybuchnęła Dorota i rozplakała się na dobre.

– No, tak – westchnęła ze współczuciem starsza pani. – To rzeczywiście koniec znajomości. – Ale nie wszyscy mężczyźni są tacy – próbowała pocieszyć dziewczynę. – Nie musisz z powodu jednego zawodu wychodzić za mąż za pierwszego z brzegu konkurenta. Zresztą twój przyszły mąż ma prawo oczekiwać od ciebie przychylności...

– Hans powiedział jasno, czego ode mnie oczekuje, i jest to dla mnie do przyjęcia. W zamian nie spodziewa się też tego, czego mu dać nie mogę.

– No, to wasze zaręczyny miały dość rzeczowy przebieg – w głosie pani Herminy zabrzmiała ironia.

– Wolę to, niż przynoszenie fiołków, wystawanie pod sklepem, a potem... – Dorota znowu sięgnęła po chusteczkę.

Przy jej ostatnich słowach w oczach starszej pani pojawił się błysk zrozumienia. Wstała, pogłaskała płaczącą dziewczynę po włosach i powiedziała miękko:

– No, już dobrze, już dobrze. Wszystko się jakoś ułoży. W końcu dziś nie wychodzisz za mąż. Uważam, że postąpiłaś rozsądnie i nie zamierzam cię odwodzić od tej decyzji. Słyszałam o wielu takich małżeństwach, które z czasem połączyło przywiązanie, a nawet gorące uczucie.

Nie powiedziała, że słyszała też o wielu takich, w których to się nie stało.

– Powiem twojemu ojcu – ciągnęła – że porozmawialiśmy sobie i może być spokojny, dobrze? A potem i tak będzie, co ma być – dodała enigmatycznie i wyszła z jadalni.

Udała się do kuchni i tam wezwała do siebie pokojową.

– Katarzyno, chciałabym, żebyś poszła dziś do dworu państwa Rutmayerów. – Twarz starszej kobiety pojaśniała.

– Naturalnie, zaraz się zbieram! Oj, przy okazji zobaczę moją córę!

– Tak, możesz się nie spieszyć z powrotem. Oddasz list, który zaraz napiszę. Powiedz też ogrodnikowi, żeby pożyczył ze stadniny na jakiś czas tego konia, którego tam oddałam, dobrze?

– Oczywiście, już lecę!

– Powiedz też swojej matce, żeby dziś sobie odpoczywała; sama coś ugotuję.

– Ojej, to może ja zostanę, żeby szanownej pani pomóc?

– Nie trzeba, Dorotka mi pomoże.

– Widziałam wczoraj panienkę. Taka śliczna i miła...

– Ja też tak uważam. No, za chwilę przyjdź do gabinetu.

Pani Hermiña w dawnym pokoju swego ojca napisała parę zdań i dała list Katarzynie, a potem wróciła do jadalni, gdzie Dorota siedziała nadal, wpatrując się ze smutną miną w wazę do kruszonu.

– Moja droga, wybacz, że cię angażuję w pierwszym dniu twoich wakacji, ale Rozalia leży chora, Katarzyna wybiera się do córki, a my będziemy musiały zająć się obiadem.

– To może zrobię wołowinę po meklembursku, ciociu? – zaproponowała cicho dziewczyna.

Pani Hermina o mało nie upuściła filiżanki, którą właśnie zabierała ze stołu.

– Ty umiesz gotować?!

– Trochę. Dziwi cię to?

– Niesłychanie.

– A mówiłaś mi kiedyś, że dama nigdy się nie dziwi! – w przekornym tonie dziewczyny odezwał się nagle psotny podłotek, którego starsza dama dobrze pamiętała.

– Istotnie, tak mówiłam. No więc, powiedzmy, że jestem bardzo mile zaskoczona. Tak lepiej?

Za odpowiedź musiał jej wystarczyć serdeczny całus i zapewnienie: – Bardzo cię Kocham ciociu.

– Ja też cię Kocham – powiedziała pani Hermina i ona z kolei poczuła, że ma oczy w mokrym miejscu.

Co za dzień!

Po południu Dorota poszła odwiedzić chorą Katarzynę, która mieszkała z córką w domku oficjalisty, po drugiej stronie sadu.

Zastała ją leżącą na łóżku z kolanem owiniętym liśćmi kapusty, podpartym wałkiem. Na widok gościa, chora uśmiechnęła się radośnie.

– Panienska Dorotka! Jak to miło, że panienska przyszła! Proszę mi trochę opowiedzieć, co słyhać w szerokim świecie.

Dorota zaczęła jej opowiadać o Wiedniu, swojej pracy (oczywiście, prawdziwy charakter pana Bergera przemilczała), spacerach do parku Modena, wyścigach konnych na Praterze. Katarzyna słuchała zachwycona.

W końcu rozmowa zeszała na panią Otylię i jej wkład w nauczanie dziewczyny sztuki kulinarnej. Tu pani Katarzyna

wyraźnie się ożywiła. Kiwała z uznaniem głową, a na pożegnanie obdarowała Dorotę własnym przepisem.

– To kotlety wieprzowe z jabłkami. Weźmie panienska tyle kotletów, ilu będzie stołowników, no, może ze dwa więcej dla niespodziewanych gości. Kotletów nie trzeba rozbijać, tylko lekko natrzeć solą i pieprzem. Potem trzeba obrać ze cztery renety i poszatковать. Do brytfanki – dobrze posmarowanej tłuszczem – włoży panienska kotlety, na to jabłka i to wszystko poleje szklanką śmietany. W gorącym piecu po czterdziestu minutach będą gotowe. Do tego ziemniaczki albo ryż. Może być surówka z porów. Nauczyłam się tego, jak pracowałam w Niemczech. Niech panienska pozdrowi ode mnie panią Kluge.

– Zrobię to z przyjemnością, ale jeszcze się tam nie wybieram. Myślę, że Katarzyna niedługo wstanie i sama mi jeszcze coś pokaże.

– Daj, Boże, żeby się panienska słowa spełniły, bo cknę mi się tu leżeć i jeszcze wiem, że starsza pani ma przeze mnie kłopot...

– Tym niech się pani nie przejmuje. Damy sobie radę. Proszę myśleć o wesołych sprawach, to szybciej Rozalia wyzdrowieje.

– Jedyna moja radość to wnuczka. Ma na imię Katarzyna. Pracuje u państwa Rutmayerów i bardzo sobie chwali to miejsce. Mówi, że takich dobrych i porządnych ludzi to ze świecą szukać. Ich dwór jest niedaleko, tam dawniej mieszkali Willimowie, więc w niedziele może mnie odwiedzać.

– Czy pani teraz niczego nie potrzeba? – upewniła się Dorota, stając w drzwiach.

– Nie, dziękuję panienko. Zresztą niedługo wróci córka, to mi da, co trzeba. Proszę powiedzieć starszej pani, że już mi lepiej.

Kiedy Dorota powtórzyła te słowa ciotce, starsza pani mruknęła: – Akurat, lepiej! Lekarz mi mówił, że powinna leżeć co najmniej tydzień. Ona jest taka obowiązkowa, że nie można jej utrzymać w łóżku. Ale ja już coś wymyślę. Chodź, nakryjemy do stołu.

Po kolacji pan Belenburg szarmancko zaproponował kuzynce wieczorną partię bezika. Dorota przez chwilę towarzyszyła im, a

potem z jakąś książką, wybraną z zasobnej biblioteki, udała się na górę.

Nie przeczytała nawet jednego rozdziału, gdy mocno zasnęła.

Nazajutrz rano, gdy zasiedli przy stole, pani Hermina, smarując chleb „miodem, pozornie obojętnie zaproponowała:

– Słuchaj, Dorotko, może byś po śniadaniu przejechała się trochę konno? Właśnie mam w stajni pożyczonego konia, któremu przydałoby się trochę ruchu.

– Z przyjemnością – ucieszyła się Dorota. – Tylko że nie mam tu stroju do konnej jazdy...

– Nie pamiętasz, że dałaś mi jakiś na przechowanie? Już ci go Katarzyna odświeżyła i odprasowała.

– Wspaniale! Objadę stare kąty!

– Oczywiście, tylko najpierw zajrzyj, proszę, nad jezioro. Chciałabym wiedzieć, czy Franz utrzymuje w porządku naszą budkę kąpielową i pomost na wodzie.

– Dobrze, ciociu. Czy mogę już zajrzeć do stajni?

– Jeśli ci tak pilno...

Dziewczyna, zaciekawiona, szybko udała się do stajni. Pchnęła ciężkie drewniane drzwi i stanęła przyzwyczajając się do ciepłego mroku. Z kąta dobiegło ją ciche rzenie. Podeszła bliżej, znów przystanąła, jakby nie wierząc własnym oczom, i nagle przypadła radośnie do gniadej klaczy.

– Gama! Moja Gama!

Koń przyjaźnie parsknął i pochylił głowę, szukając miękkimi wargami cukru w jej dłoni. Dorota głaskała go po szyi, tuliła policzek do delikatnych chrap i powtarzała w kółko: – Gama, moja Gama!

Nagle oderwała się od konia, jak wichler pomknęła na powrót do domu, wpadła do jadalni, objęła starszą panią, ucałowała gorąco w oba policzki i zawołała:

– Cioteczko, dziękuję! Dziękuję! Nigdy ci tego nie zapomnę! Następnie nasypała na serwetę cukru z cukierniczki, rzuciła jeszcze przez ramię: – Ona mnie poznała! – I tyle ją widzieli.

Starsi państwo wymienili porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechnęli się do siebie. To, co wspólnie zaplanowali, udało się. Dorotka wreszcie zaczyna być sobą.

Od pól wiał zapach świeżo skoszonego siana. Po obu stronach drożki, którą jechała dziewczyna na koniu, dojrzewało zboże. Po niebie przesuwwały się zamaszyste kumulusy, popielate u podstawy, białe u góry. Było rześko, przejrzyste powietrze pozwalało zobaczyć panoramę gór. Linia zarośli wskazywała brzeg jeziora.

Dorota skierowała Gamę w prawo, wzdłuż szpaleru leszczyn i olch, do miejsca kąpielowego. Była tam dość wąska piaszczysta plaża, mała, drewniana budka kąpielowa i pomost wychodzący na jezioro. Lubiła to miejsce; chętnie tu dawniej przyjeżdżała, żeby posiedzieć na wygrzanych słońcem deskach i patrzeć na jezioro, na którym od czasu do czasu przesuwwały się dzikie kaczki.

Kiedy podjechała bliżej, zobaczyła przywiązane do palika ładnego kasztanka, który spokojnie skubał trawę. Aha, więc ktoś z sąsiedztwa też tu zaglądnął. Szkoda, że nie będzie mogła pobyć tu sama. Trudno, sprawdzi tylko to, o co prosiła ją ciotka, i pojedzie dalej. Zajrzy tu jutro przed śniadaniem.

Zeskoczyła z konia, przerzuciła lejce przez niską gałąź i ruszyła do budki.

– Dzień dobry pani! – powitał ją ciepły, męski głos, którego nie mogła pomylić z żadnym innym.

Stała jak wryta, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji.

– Co za niespodziewane spotkanie, prawda? – rzekł przyjaźnie Maks Siefert, podchodząc do niej z lewej strony pomostu. Przedtem zasłaniał go gęsty krzak. Pewnie siedział na tym dużym głazie, który i jej nieraz służył za ławeczkę.

Powoli odzyskiwała przytomność umysłu podczas gdy on, widząc jej zmieszanie, ciągnął spokojną rozmowę. No, na razie monolog:

– Ostatni raz miałem przyjemność widzieć panią w Wiedniu na dworcu, kiedy odwoziłem tu moją siostrę. Z pani szanownym ojcem zamieniliśmy podczas podróży parę słów i okazało się, że

jesteśmy sąsiadami. To znaczy moja siostra z mężem, bo ja jestem tu właściwie...

Dorota właściwie nie słyszała dalszego ciągu. W głowie szumiało jej tylko jedno słowo: „siostra”. Siostra!

Więc jednak się myliła!

Zalała ją fala radości, ciepłą łuną ogarniając policzki i rozjaśniając oczy. Maks jednym, długim spojrzeniem dojrzał to, z czego ona sama może jeszcze do końca nie zdawała sobie sprawy, i poczuł, że serce wali mu jak młotem. Więc i on się mylił. Ten pozorny chłód, który go wcześniej speszył, nie był wyrazem prawdziwych uczuć, tylko przelotnym nastrojem, a prawdziwa jest ta radość, która teraz przepelnia ich oboje.

Dziewczyna pierwsza spróbowała wyrwać się z tego czaru.

– Przyjechałam tu na prośbę cioci Herminy – powiedziała, z trudem panując nad głosem. – Miałam sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– A ja przyjechałem, żeby spotkać panią – oznajmił Maks pogodnie.

– Skąd pan wiedział, że tu będę? – zdumiała się Dorota.

– Przeczucie – położył rękę na sercu. – Czy pozwoli mi pani towarzyszyć sobie podczas dalszej przejażdżki?

– Proszę, jeśli panu to odpowiada...

– Nic nie mogłoby mi w tej chwili bardziej odpowiadać – uśmiechnął się, pokazując równe, białe zęby w opalonej twarzy. – Czy mogę pani pomóc wsiąść na konia?

Dziewczyna bez słowa podeszła do Gamy, która już zdążyła poznać się z kasztankiem. Zdjęła z gałęzi lejce.

Maks zbliżył się do niej. Odniosła wrażenie, że powietrze między nimi jest naładowane elektrycznością.

Pochylił się i splótł dłonie. Dorota stanęła na ten schodek i wskoczyła na konia. Miała wrażenie, że frunie w powietrzu.

Ruszyli stępą dróżką wokół jeziora. Musieli jechać blisko siebie, czasem Maks wychodził na prowadzenie, żeby wskazywać jej drogę. Zapamiętała z tej wspólnej przejażdżki plamy słońca na ścieżce, zapach wilgoci, uśmiech mężczyzny, pochylenie głowy,

rasowe ręce swobodnie trzymające wodze i własne wrażenie, że świat nagle poszerzył się i wypiękniał, a życie nabrało intensywności. Nawet oddychała inaczej, głębiej.

Kiedy odprowadził ją do granic posiadłości ciotki, pożegnał się: – Mam nadzieję, że się niedługo zobaczymy. O ile mi wiadomo, jesteście zaproszeni do pani Belenburg na jutrzejszy podwieczorek. Już się na niego cieszę.

– Będzie mi miło – odparła Dorota zmieszana. Skinęła głową i spięła konia.

Maks odprowadził ją spojrzeniem, a ona je czuła całą sobą. Kiedy wprowadziła Gamę do stajni i rozsiodłała, przytuliła głowę do aksamitnej szyi klaczy i powiedziała: – On na mnie czekał. Jest wolny!

– Ale ona nie jest wolna!

Ta myśl przeszła ją jak błyskawica. Przecież jest po słowie z Hansem Lebrottem! Ma się poświęcić dla zdrowia ojca. Tak zdecydowała. O, Boże!

Ale wtedy nie zdawała sobie sprawy z tego, co wie dzisiaj – że znowu spotka Maksa. Uśmiechniętego Maksa, który na nią czekał nad jeziorem!

Wyszła szybko ze stajni i ruszyła do parku. Nie mogła jeszcze wrócić do domu, musiała się uspokoić.

Pan Belenburg, siedzący na swojej ławce, zobaczył idącą z pochyloną głową córkę, która coś mówiła do siebie. Nie usłyszał słów, ale odniósł wrażenie, że dziewczyna jest bardzo wzburzona.

Dorota zaś powtarzała w kółko: – Co ja zrobiłam? Co ja najlepszego zrobiłam?

*

Pan Berger tego dnia znowu musiał stanąć osobiście za ladą swego sklepu. Kolejna kandydatka do pracy, z którą rozmawiał przed chwilą, nie spełniała jego wymagań. Była nawet ładna i chętna do nauki, ale nie знаła języków, a jej sposób bycia pozostawiał wiele do życzenia; kiedy była zakłopotana, chichotała, zasłaniając usta ręką. Nie, to nie dla niego.

Irma uwijała się po sklepie, czyszcząc od nowa gabloty, które i tak już lśniły nieskazitelnym blaskiem. Bała się podpaść szefowi, który od chyba dziesięciu dni wyglądał jak chmura gradowa. W dodatku Dorota zniknęła bez słowa nie wzięła nawet swojej filiżanki z pokoju śniadaniowego. Irma bała się zapytać, co się stało z panną von Belenburg, ponieważ niejasno przeczuwała, że zły humor szefa ma coś wspólnego z tym zniknięciem.

On sam wciąż na nowo rozważał, czy przypadkiem nie postąpił nierozsądnie, pozwalając, aby chwila słabości pozbawiła go świetnej pracownicy. Nie, przecież sama go do tego zachęcała uśmiechami i tą uległą grzecznością, po której mógł się spodziewać powolności dla jego awansów. Co za gęś! Odrzucić taką szansę! Pewnie dała się złapać na haczyk temu młodemu Lebrottowi. No, to się bardzo rozczaruje. Tego paniczyka nie stać na utrzymanie; pieniądze twardo trzyma w garści jego ojciec, a ten woli baletniczki. Hans szybko będzie musiał zrezygnować z tej panny, a wtedy... albo dziewczyna przejdzie w inne ręce, albo wróci do niego. Ale on nie da się tak łatwo przeprosić; da jej odczuć, że mocno go rozczarowała. Będzie się musiała bardzo starać o jego względy.

Te rozważania przerwało wejście Hansa Lebrotta. Pan Berger poczuł przez chwilę niepokój. Czy panna Dorota nie powiedziała mu, co się tu wydarzyło? Nie, chyba by się wstydziła. Nie był przygotowany na żadne wyjaśnienia. W razie czego powie, że coś jej się przywidziało, kiedy zwykłą – no, może nieco bardziej bezpośrednią – uprzejmość wzięła za nie wiadomo co.

Ale Hans nie wyglądał na uprzedzonego; zachowywał się jak zwykle. Stał i oglądał wisiorki z rubinami.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – zachęcił go łagodnie właściciel.

– Chciałbym wybrać jakiś gustowny wisiorek, ale niezbyt ostentacyjny, na razie – powiedział Hans nieco niepewnym głosem.

Pan Berger uśmiechnął się wyrozumiale.

– To zapewne prezent dla jakiejś młodej damy? – stwierdził

domyślnie.

Hans lekko się zmieszał.

– Tak... to znaczy... chciałbym coś kupić dla mojej narzeczonej, panny von Belenburg. Nie mówiła panu, że jesteśmy po słowie? – odparł, odzyskując pewność siebie.

– Nie miałem tej przyjemności... – powiedział pan Berger. Pociemniało mu w oczach. Narzeczona!

Prawie nie wiedział, jak sprzedał Hansowi klejnocik. Potem szybko udał się do swego gabinetu i zamknął drzwi. Usiadł ciężko przy biurku i przyłożył dłoń co czoła.

Narzeczona!

A więc w niedalekiej przyszłości żona Hansa Lebrotta, synowa bankiera Lebrotta i pani Laury – jego najlepszej klientki! Ta hrabianka bez trudu zdoła przekonać teściową, żeby zaczęła kupować w innym salonie – może u Cartiera? Przecież pani Lebrott do tego stopnia liczy się z jej zdaniem, że prosi ją o radę przy zakupach!

Oczami duszy zobaczył, jak pieniądze Lebrottów są witane z radością w innej firmie jubilerskiej, i nagle ogarnęła go taka złość, że z całej siły uderzył pięścią w biurko.

Odpowiedziało mu przeraźliwe dzwonięcie uruchomionej niechcący instalacji alarmowej.

Zuza Kovacz (na afiszu, dużymi literami: ZSUS1 KOVATSCH) kłaniając się, cofała się w głąb sceny. Wreszcie kurtyna zapadła na dobre i „obiecująca debiutantka”, jak pisali o niej zgodnie krytycy, ruszyła do garderoby. Niosła kilka bukietów, wręczonych jej na scenie. Kilka innych będzie na nią czekało w garderobie. Dołączone do nich były liściki, których treść zazwyczaj się powtarzała:

Jest Pani najjaśniejszą gwiazdą moich nocy! Śnię o Pani na jawie i we śnie. Jest Pani natchnieniem moich wierszy. Czy mogę dostać zdjęcie z dedykacją lub choćby skrawek wstążki? Na

zawsze Pani

N. N.

To od studentów i poetów, których, jak się okazuje, wcale nie mała ilość chodzi do wiedeńskiej operetki. Drugi rodzaj bilecików miał mniej więcej taką treść:

Jestem wielbicielem Pani talentu i chciałbym, aby zyskał on godną siebie oprawę. Czy przyjmie Pani zaproszenie na kolację w... – tu następowała nazwa którejś z najelegantszych restauracji Wiednia.

To byli kandydaci na sponsorów, opiekunów i mecenasów. Tak to się elegancko nazywało.

Ją jednak szczególnie intrygował bukiet cudownych, purpurowych róż. Te kwiaty doręczano jej przez trzy kolejne wieczory. Dziś na bileciku, dołączonym do bukietu, znów przeczytała tylko te słowa: *Uwielbiam Panią! H. L.* Do jednej róży przymocowano małe, ozdobne pudełeczko. Kiedy je otworzyła, na granatowym aksamicie błysnął rubinowy wisiołek w kształcie serca.

Uśmiechnęła się. Co to za wielbiciel, który niczego nie chciał, tylko tak pięknie ją obdarowywał? Tego jednego chciałaby poznać. Inne zaproszenia ignorowała. Pani Selma odradzała jej wplątywanie się w niepotrzebne znajomości. Ludzie mają długie języki; zaraz zaczną ją podejrzewać o romanse i miłości.

– Dobrą reputację łatwo można stracić, a to na początku nie pomaga w karierze. Gwiazdom wolno wszystko. Ale to gwiazdy dyktują warunki, kiedy decydują się na przygodę albo trwały związek. Pamiętaj, moja droga – podniosła palec do góry – jak spaść z konia, to z dobrego.

Salon mistrzyni Zuzanny tonął w kwiatach, ponieważ wdzięczna uczennica przynosiła jej połowę swoich bukietów. W wywiadach do prasy podkreślała, ile zawdzięcza swojej nauczycielce, więc do willi pani Selmy raz po raz dzwoniли dziennikarze i kandydatki na uczennice. Pewien wydawca

zapropował jej napisanie pamiętników. Starsza dama nigdy nie pożałowała, że włożyła mnóstwo swej wiedzy i doświadczenia w kształcenie tej wesołej, utalentowanej dziewczyny z małego miasteczka na Węgrzech.

Zuzanna, przebrawszy się w garderobie, wychodziła właśnie z teatru. Przed wyjściem dla artystów czekała, jak zwykle, grupa wielbicieli. Rozdała kilka autografów i uśmiechów; podziękowała za parę zaproszeń. Kiedy wreszcie tłumek rozstał się, żeby ją przepuścić, zobaczyła stojący przy krawężniku czerwony samochód, a przy nim Hansa Lebrotta.

W klapę wizytowej marynarki miał wpiętą purpurową różę.

Dziewczyna przystanęła, zaskoczona. Co narzeczony Doroty robi tutaj? Od pani Otylii wiedziała, oczywiście, o zaręczynach. Czyżby to od niego były te róże i klejnocik?

Już wcześniej myślała sobie – jaka szkoda, że ten przystojny młody mężczyzna jest po słowie z jej najlepszą przyjaciółką, bo sama chętnie by się w nim zakochała.

Teraz uznała, że – choć z żalem – musi trzymać go na odległość parasola; tylko za kwiaty wypada podziękować. A rubinowe serce?

Podeszła do Hansa, który uklonił się szarmancko, i podała mu rękę.

– Domyślam się, że te piękne róże są od pana – powiedziała, a kiedy nie zaprzeczył, dodała: – Bardzo dziękuję. Obawiam się, że nie będę mogła przyjąć tego kosztownego prezentu... – dotknęła ręką dekoltu, ozdobionego już klejnotem.

– Ależ panno Zuzanno – zaprotestował gwałtownie Hans – to naprawdę drobiazg, skromny dowód uznania dla pani wspaniałego talentu!

– A co na to powiedziałaaby pana narzeczona?

Hans szczerze się zdziwił. – Panna Dorota? Myślę, że byłaby zadowolona. To przecież ona zachęciła mnie do przyścia na pani premierę i z zadowoleniem słuchała, jak się panią zachwycam.

– A, jeśli tak, to w porządku – zgodziła się Zuzanna, która

bardzo chciała zostać przekonana.

– Mam jeszcze do pani wielką prośbę – zaczął trochę niepewnie Hans.

– Słucham? – zachęciła go. '

– Moi przyjaciele urządzają dzisiaj skromne przyjęcie i zabawę w ścisłym gronie. Czy nie zgodziłaby się pani towarzyszyć mi? Byłbym bardzo wdzięczny...

– No, nie wiem... – zawahała się Zuza, którą znowu ogarnęły skrupuły.

– Proszę nie odmawiać! – zaczął nalegać. – Daję słowo, że jeśli pani z jakiegokolwiek powodu zechce wrócić do domu, natychmiast panią odwiozę.

– Nie jestem odpowiednio ubrana – broniła się jeszcze słabo.

– Wygląda pani cudownie! – zapewnił ją z entuzjazmem Hans.
– Jestem oczarowany!

Mówił prawdę. Zuzanna w sukience z jedwabnej żorżety w kolorze maku, z czarnymi dodatkami, wyglądała wspaniale. Gęste, czarne włosy miała upięte wysoko na głowie. Ze swoją śliczną, nieco smagłą twarzą, z rozświetlonymi radością oczami wyglądała jak płomień.

A Hans czuł się jak ćma szukająca ognia.

Nie wiedział, co się z nim dzieje. Od pierwszego spojrzenia na tę cudowną, pełną życia dziewczynę poczuł coś, czego dotychczas nie znał, ale co zmuszało go do szukania okazji do ponownego zobaczenia Zuzy. Chodził na wszystkie jej przedstawienia. Często stawał nie opodal jej bramy, chcąc zobaczyć ją choćby przez chwilę, gdy będzie wracała do domu. Kiedy o niej myślał, czuł nieodparte pragnienie, żeby zamknąć ją w ramionach i już nigdy z nich nie wypuścić. Nie mógł spać, tylko jeździł w nocy po mieście, szukając jej śladów. Marzył o tym, żeby chociaż kupiony przez niego klejnot dotknął jej cudownej, aksamitnej skóry. Podarowałby jej cały świat, gdyby tylko zgodziła się go przyjąć.

Jednym słowem, był nieprzytomnie zakochany.

Tego wieczoru zdobył się na odwagę, żeby zaprosić ją na przyjęcie. Jego koledzy wydawali kolację z okazji kawalerskiego

wieczoru ich kompana. Miało być elegancko i wesoło. Sądził, że Zuzannie taka zabawa przypadnie do gustu.

I nie pomylił się. Wschodząca gwiazdka operetki wiedeńskiej została powitana hucznym aplauzem i na jej cześć wystrzeliło pięć butelek szampana. Inne młode damy, nie mogąc z nią rywalizować, przyłączyły się do chóru zachwyty. Hans puchł z dumy, kiedy napotykał pełne zazdrości spojrzenia mężczyzn. Żadnemu nie pozwolił się do niej zanadto zbliżyć.

Zajmowali obszerny gabinet w restauracji, znanej ze znakomitej kuchni węgierskiej. Cygańska orkiestra przygrywała dyskretnie, kiedy jedli, a potem zaczęła grać do tańca. Hans porwał Zuzannę na niewielki parkiet i wziął w ramiona. Nareszcie! Teraz nie odda jej nikomu! Ją też ogarnął jakiś czar, który nie pozwolił jej myśleć. Czowała tylko bliskość tego wspaniałego chłopaka i rytm, który ich prowadził i wiązał w jedno ciało. Tańczyli niezmiernie, przerywając tylko na krótkie chwile, potrzebne do ochłodzenia się mrożonym szampanem. Pozostali goście spoglądali na siebie znacząco i uśmiechając się wyrozumiale, zostawili ich samych sobie. Zresztą oni poza sobą najwyraźniej nie widzieli świata.

Nawet gdy uczestnicy zabawy zaczęli opuszczać lokal, Hans, trzymając Zuzannę mocno w objęciach, dawał znak skrzypkowi, a muzycy grali im od nowa coraz tkliwiej, coraz goręcej, coraz bardziej namiętnie.

Nad ranem w pustej sali podpierał ścianę ostatni, zmęczony kelner, a na parkiecie tańczyła tylko jedna para, która nie mogła się rozdzielić.

Wreszcie kelner otworzył okno, przez które wpadło światło dnia.

– Już późno? – zdziwiła się Zuzanna, mrużąc oczy.

– Niestety – westchnął Hans, wypuszczając ją z objęć.

– Odwiezie mnie pan do domu? Muszę trochę odpocząć przed próbą.

– Gdybym mógł, zatrzymałbym wszystkie zegary w mieście – powiedział patrząc jej w oczy.

Zmieszała się pod jego gorącym spojrzeniem.

– To nigdy nie zjedlibyśmy śniadania – spróbowała zażartować – a ja jestem wściekle głodna.

– Wspaniale! Zapraszam panią do restauracji dworcowej na gorące kielbaski.

Zmęczony kelner dostał na pożegnanie tak suty napiwek, że z miejsca się ożywił. Wynagrodzona po królewsku orkiestra cygańska zagrała im na pożegnanie ognistego czardasza.

W restauracji dworcowej jedli kielbaski, popijając je piwem i mówili sobie różne wesołe głupstwa, z byle powodu wybuchając śmiechem. Nagromadzona w nich energia musiała znaleźć jakieś ujście.

Kiedy na perony zaczęli wychodzić pasażerowie pierwszych pociągów podmiejskich, trzeba było pomyśleć o powrocie. Wsiedli milcząc do samochodu i przez całą drogę nie odzywali się do siebie. Każde z nich na swój sposób chciało zapamiętać ostatnie chwile tej cudownej nocy. Hans sądził, że pierwszej, Zuzanna wiedziała, że ostatniej.

Kiedy pod bramą domu podała mu rękę na pożegnanie, zapytał:

– Kiedy znów będę mógł panią zobaczyć?

– Wieczorem na scenie.

– A potem?

– Nie będzie żadnego potem.

– Dlaczego? – W jego głosie był taki przestach, że aż jej się ścisnęło serce.

– Pan dobrze wie, dlaczego – odpowiedziała cicho.

– Wszystko inne nie ma znaczenia! – zapewnił ją żarliwie. Ważne jest tylko, że ja... – jego oczy dopowiedziały resztę.

– Ja też. – Raczej domyślił się tych słów, niż je usłyszał. W tej samej chwili porwał ją w objęcia i zaczął całować, czując zachwyt i jakiś gorący wir, który go wciągał w sferę mroczną, pierwotną i pełną siły.

Zuzanna w pierwszym odruchu zaczęła mu oddawać pocałunki. Czowała w nich całą słodycz życia, całe szczęście, do którego tak długo tęskniła. Po chwili usłyszała kroki jakiegoś przechodnia.

Odgłos stąpania po bruku zabrzmiał dla niej jak przestroga. Odepchnęła Hansa, który spojrział na nią błagalnie.

– Nie! – Pokręciła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Nie!

– Zuzanno!

– Tego się nie robi... Jestem porządną dziewczyną... – powiedziała nieskładnie i cofnęła się o krok.

Kiedy Hans zrobił ruch w jej stronę, odwróciła się i wbiegła do bramy. Nie wiedziała, jak znalazła się w swoim mieszkaniu. Wpadła do łazienki i wsadziła głowę pod strumień zimnej wody. Potem usiadła w fotelu. Z włosów kapła jej woda na jedyną wyjściową sukienkę, a ona uśmiechała się z rozmarzeniem. Dzięki Bogu, że przeżyła choć tę jedną szczęśliwą, przetańczoną noc! A teraz koniec, trudno.

Nie może postąpić inaczej. Nie odbije narzeczonego swojej przyjaciółce, która tak serdecznie pomogła jej w czarnej godzinie. Teraz Zuza prawie osiągnęła to, o co tak wytrwale walczyła, ale w tej chwili oddałaby to wszystko za możliwość bycia z Hansem.

Wszystkie marzenia spełniają się w połowie, prawda?

Hans za to wracał do domu oczarowany i zachwycony. Odmowa tylko zwiększyła jego determinację. Zwiększył się w nim szacunek do dziewczyny, która nie pozwoliła się całować na pierwszym spotkaniu, choć na pewno mu sprzyjała. Tego był pewien. A jeżeli ona go chce, to wszystko inne jest nieważne! Zdobędzie ją, choćby miał stanąć do walki z całym światem.

Przypomniało mu się, że jest zaręczony z panną von Belenburg.

– Och, to teraz najmniejsze zmartwienie – mruknął do siebie. – Jakoś to załatwię.

Pani Hermina sprawdzała, czy wszystko w salonie jest przygotowane na przyjęcie gości. Układała właśnie różowe gladiole w wazonie z zielonego szkła, kiedy zastanowił ją jakiś ruch w hallu. Przez uchylone drzwi zobaczyła przechodzącą Dorotę. Zdała sobie sprawę, że widzi ją chyba po raz trzeci w

ciągu pół godziny. Podeszła cicho do drzwi i zerknęła.

Dziewczyna stała przed lustrem w hallu i przyglądała się sobie krytycznie. Miała na sobie sukienkę z beżowego jedwabiu, prostą, znakomicie skrojoną, uszytą zapewne w lepszych czasach.

– Wyglądasz w niej doskonale – powiedziała starsza pani, otwierając szerzej drzwi. Udała, że nie widzi rumieńca na twarzy dziewczyny. – Jeśli chcesz, pożyczę ci do niej mój topazowy wisiołek, będzie doskonale pasował.

– Dziękuję ci, ciociu – ucieszyła się Dorota. – Powiedz, czy ta sukienka nie jest już... niemodna?

– A cóż ci po głowie chodzi! – oburzyła się starsza pani. – Rzeczy w dobrym gatunku, o klasycznym kroju nigdy się nie starzeją. Wystarczy dobrać odpowiednie dodatki.

Mówiąc to dawała szczery wyraz swemu przeświadczeniu, ponieważ modą nie interesowała się od dawna, przedkładając nad nią wygodę i solidność swoich strojów. Zdawała sobie jednak sprawę, dlaczego jej rozsądnej zazwyczaj bratanicy dziś tak szczególnie zależy na tym, by wyglądać jak najlepiej.

Za godzinę mieli przyjść z wizytą państwo Rutmayerowie z Maksem Siefertem.

Ta godzina upłynęła paniom na sprawdzeniu zastawy do herbaty, ułożeniu na ozdobnych, porcelanowych talerzach pachnących wanilią ciasteczek i owoców na kryształowej paterze. Potem każda poszła do siebie, żeby poprawić fryzurę i ostatni raz przesunąć puszkiem do pudru po twarzy.

Pan Belenburg czuł się wyłączony z tych niewieścich misteriów, dlatego taktownie wycofał się do gabinetu z fajką i gazetą. On też pierwszy wyszedł przyjąć gości, kiedy ich nieduży powozik zajechał przed schody.

– Dzień dobry – powitał go z uśmiechem Maks. – Miło mi pana znowu widzieć.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł kurtuazyjnie pan Herman. Zwrócił się do niewysokiej blondynki w luźnej, różowej sukni – Szanowna pani wygląda, jak zwykle, zachwycająco. Mam nadzieję, że pańskie zdrowie uległo poprawie? – zagadnął jej

męża.

– Tak, wczoraj odstawiłem laskę i już chodzę bez podpórek – odparł z uśmiechem Artur Rutmayer, troskliwie prowadząc swoją żonę po schodach.

Uprzejmy gospodarz zaprowadził gości do salonu i właśnie proponował im zajęcie miejsc, kiedy szybkim krokiem weszła jego kuzynka, a za nią cicho wsunęła się Dorota.

– Jak się cieszę, że państwa widzę! – powitała przybyłych pani Hermina. – Pozwólcie, że przedstawię wam moją bratanicę. Dorotko, poznaj państwa Alicję i Artura Rutmayerów. A to pan Maks Siefert, brat pani Rutmayer.

– Miałem już przyjemność poznać panią – powiedział Maks, pochylając się nad dłonią dziewczyny.

– Tak? – zdziwiła się trochę nieszczerze pani Hermina. – No, proszę, jaki ten świat jest mały.

Alicja Rutmayer podeszła do Doroty i przyjaźnie ujęła ją za rękę.

– Może usiądziemy razem? Maks mówił mi, że widział panią na koncercie Szalapina. Jak się pani podobał? Ja byłem zachwyconą, zwłaszcza że ostatnio tak rzadko mam okazję obcować z wielką sztuką...

Poprowadziła dziewczynę w stronę rozłożystej kanapy i posadziła przy sobie. Dzięki temu Dorota zdołała zapanować nad zmieszaniem.

– Nasze festiwale w Salzburgu też gromadzą najwybitniejszych artystów – dał wyraz swemu lokalnemu patriotyzmowi jej mąż.

Potoczyła się rozmowa na temat programu obecnego festiwalu. Na zamku Kammer, nad wodami Attersee odbywały się wtedy nocne przyjęcia, których gospodarzem był syn znanego poety, Rajmund von Hofmannstahl. Spotykała się tu elita artystyczna Austrii i Europy, a może nawet świata. Miejskowa arystokracja i inteligencja żywo interesowała się zarówno festiwalem, jak i jego życiem towarzyskim, czynnie w nim uczestnicząc.

– Tego roku musimy sobie darować nocne przyjęcia i przejażdżki po jeziorze – zwierzyła się Alicja Dorocie. – Mój

stan... podobno mi na to nie pozwala, choć ja czuję się znakomicie, ale Artur trzęsie się nade mną, jakbym była ze szkła. Wysłał mnie do Wiednia z Maksem, bo sam złamał nogę, ujeżdżając narowistego konia. Dzięki temu byłam przynajmniej w operze i na paru wystawach, bo mój brat nie jest takim tyranem i uwierzył lekarzowi, który mu powiedział, że mogę, w granicach rozsądku, prowadzić normalne życie.

Mówiąc to, posłała swemu „tyranowi” uroczy uśmiech. Mąż popatrzył na nią z dyskretną czułością, która zapewniała o jego oddaniu.

Dorota poczuła, że zazdrości tym ludziom ich spokojnego szczęścia.

Alicja, jakby wyczuwając jej nastrój, zaproponowała: – A może razem pomuzykujemy? – Podniosła się z nieznacznym wysiłkiem, co natychmiast poderwało jej męża na równe nogi. – Siedź, Arturze – pogroziła mu żartobliwie palcem. – Idę tylko do fortepianu. Pogrzebiemy sobie w nutach z panną Dorotą. Może znajdziemy coś, z czym obie męczyłyśmy się na pensjach podczas tych nieskończenie nudnych lekcji muzyki, i zagramy sobie na cztery ręce.

Rzeczywiście, w leżących na fortepianie nutach znalazły kilka utworów, do których miały szczególne upodobanie wszystkie nauczycielki muzyki. Alicja usiadła na szerokim taborecie i posadziła Dorotę obok siebie. Potem zaczęły grać sonatinę na cztery ręce. Alicja z humorem naśladowała swoją nauczycielkę, komenderując: – Nadgarstek miękko rozluźniony, proszę się nie garbić. Tu miało być *cis*, a nie *c*, moja panno.

Dorota, sama nie wiedząc kiedy, dała się wciągnąć w zabawę. – Za dużo pedału – oznajmiła grubym głosem. – Proszę trzymać tempo! To ma być *prestol*. Tu pisze *cantabile*, a panna gra to *staccato*.

Przez chwilę chichotały jak podlotki, nie zwracając uwagi na pozostałych gości, którzy przyglądali im się z rozbawieniem. Tylko Maks patrzył z nabożnym zachwytem na tę śliczną dziewczynę, która pomimo tylu trudnych przejść zachowała

poczucie humoru i gotowość do śmiechu.

Jego spojrzenie zauważył pan Belenburg i westchnął mimo woli. Szkoda, że jego córka wybrała inaczej. Podobał mu się ten młody, energiczny mężczyzna, który – o czym wiedział od Herminy – sam walczył o swoją pozycję w życiu.

Roześmiana Alicja nagle przerwała grę i zawołała: – Maksi, pozwól tutaj! – A kiedy jej brat zbliżył się do fortepianu, poprosiła: – Proszę, zastąp mnie przez chwilę, ja tymczasem rzucę się na te wspaniałe pachnące wanilią ciasteczka. – Zrobiła perskie oko do Doroty. – Mój błogosławiony stan ma też pewne przywileje; jednym z nich jest możliwość jedzenia większej ilości ciasteczek. Przyniosę wam też trochę.

Wstała i podeszła do pani Herminy, która podała jej filiżankę herbaty, a następnie zasiadła koło pana Belenburga i zaczęła go wypytywać o przedwojenne życie tutejszych dworów. Starszy pan z radością oddał się wspomnieniom, niezmiernie ujęty zainteresowaniem tej uroczej kobiety.

Maks zajął miejsce przy Dorocie. Siedzieli tak blisko, że ich ramiona dotykały się i dziewczyna czuła bijące od niego ciepło. Owiał ją delikatnie intrygujący zapach męskiej wody kolońskiej. To było bardzo miłe doznanie i miała ochotę tak siedzieć jak najdłużej. Nie wypadało jednak przedłużać milczenia, więc zapytała:

– Ma pan ochotę coś zagrać?

Maks wziął kilka akordów i spod jego palców popłynęło parę taktów popularnej wiedeńskiej piosenki. Przerwał i odparł: – Właściwie, to wolałbym porozmawiać.

– A o czym?

– O pani. Widzi pani to zdjęcie? – Wskazał na jej fotografię, stojącą w ozdobnej ramce na fortepianie. – Poznałem panią właśnie tutaj. Kiedy byliśmy z pierwszą wizytą u pani Belenburg, pani twarz zrobiła na mnie takie wrażenie, że zapytałem o panią. Dowiedziałem się tego, co zgadzało się z moją intuicją. Wtedy moja siostra, która zna mnie na wylot i bardzo lubi mi pomagać, uciekła się do niewinnego podstępu, żeby dowiedzieć się, gdzie

mogę panią spotkać w Wiedniu. No i spotkałem.

– Te fiołki były od pana? – zapytała dziewczyna, podnosząc na niego rozjaśnione radością oczy.

– Tak. Zdaje mi się, że raz wpadły w niepowołane ręce.

– Całkiem niepowołane – zgodziła się Dorota.

– Czyżbym naraził panią na jakieś przykrości ze strony szefa?

– Mnie nie, ale naraził się pan na podejrzenie, że jest pan włamywaczem!

– Włamywaczem! To świetny pomysł. Tylko pani szef nie podejrzewał, jaki klejnot przyciągnął mnie do jego sklepu.

Dorota poczuła, że się rumieni. Czowała zakłopotanie, bo wiedziała, że nie może pozwolić na taką swobodną rozmowę; przecież jest zaręczona z innym. Powinna o tym jak najprędzej powiedzieć, ale jak? Przecież nie oznajmi ni z gruszki, ni z pietruszki: – A wie pan, zaręczyłam się z Hansem Lebrottem! Przecież on jej o to nie pyta!

Ścierając palcem z brązowego forniru nieistniejący pył, powiedziała: – Och, proszę dać spokój komplementom. Kiedy zamierza pan wrócić do Wiednia?

– Na początku września muszę zdać ostatni egzamin, a potem wrócę na stałe do Salzburga, gdzie otwieram kancelarię adwokacką. Większość formalności już załatwiłem. Rozglądam się jeszcze za odpowiednim mieszkaniem...

Spojrzał na nią poważnie i jakby wyczekująco.

Na początku września mają zostać ogłoszone moje zaręczyny z Hansem – pomyślała Dorota czując, że zaczyna ją ogarniać straszny smutek. Gwałtownie wstała od fortepianu.

– Przepraszam, muszę trochę pomóc cioci – powiedziała lekko załamującym się głosem i wyszła z salonu, żeby przez chwilę zostać sama i zapanować nad emocjami, których naturę zaczynała pojmować. Kiedy wróciła, usiadła przy ojcu i zajęła się nalewaniem herbaty i podawaniem ciasteczek. Maks przysiadł się do siostry i włączył się do rozmowy panów na temat zalet koni różnych ras. Czasami krótkim spojrzeniem ogarniał dziewczynę, która siedziała posmutniała i jakby nieobecna.

Kiedy państwo Rutmayerowie zaczęli zbierać się do powrotu, Alicja zwróciła się do Doroty: – Czy pozwoli pani wykorzystać jeszcze jeden przywilej mego błogosławionego stanu?

– Oczywiście – uśmiechnęła się zapytana.

– Bardzo proszę, aby pani zechciała mnie jak najprędzej odwiedzić. Mąż najchętniej trzymałby mnie w domu pod kloszem, a ja bardzo tęsknię do towarzystwa, szczególnie tak miłego jak pani. Czy mogę liczyć na rychłą wizytę pani?

– Będzie mi bardzo miło – odparła dziewczyna.

– Ogromnie się cieszę! Jeździ pani konno, prawda? Dorota skinęła głową. Skąd ona to wie?

Alicja jakby wyczytała w jej oczach to pytanie.

– Domyślam się tego, bo pani ciocia trzyma pani konia w naszej stadninie, a teraz kazała go przyprowadzić. Czy jutrzejsze popołudnie odpowiadałoby pani?

– Nie wiem, czy ciocia nie będzie mnie potrzebować... – zawahała się.

– Jutro po południu mam być w wiosce na zebraniu w sprawie dorocznego święta i poświęcenia sztandaru. Dłuższa przejażdżka dobrze ci zrobi – stwierdziła stanowczo pani Hermina.

– To doskonale – podchwyciła Alicja. – W takim razie Maks przyjedzie po panią koło czwartej, a potem odprowadzi panią do domu.

– Ależ ja sama trafię – zaprotestowała Dorota. – Znam doskonale tę okolicę.

– Ale teraz, przed festiwalem, przyjeżdża tu mnóstwo nieznajomych ludzi – wtrąciła się znów pani Hermina. – Uważam, że powinnaś skorzystać z uprzejmości pana Maksymiliana; będę o ciebie spokojniejsza.

– Nie pozwolę sobie odebrać przyjemności eskortowania pani – włączył się do rozmowy Maks. – Będę tu jutro o czwartej.

Kiedy goście odjechali, serdecznie pożegnani, Dorota z ciotką zaczęły pomagać przy sprzątaniu saloniku, a pan Belenburg wrócił

do swojej fajki i gazety w gabinecie. Nie czytał jednak, tylko zamyślił się głęboko. Dlaczego jego córka zaręczyła się z Hansem Lebrottem, o którym mówiła jak o dalekim kuzynie, a na Maksą Sieferta patrzyła tak, jak niegdyś AnnaLuiza na niego?

Gdyby poszedł teraz do stajni, usłyszałby odpowiedź. Dorota, głaszcząc szyję Gamy, zwierzała się jej: – Wiesz, chyba jestem zakochana w Maksie.

Pan Lebrott wszedł, jak zwykle, o dziewiątej rano do swego biura w banku. Sekretarka powitała go z szacunkiem i zaanonsowała:

– Ma pan gościa, panie dyrektorze.

Odwrócił się w stronę fotelików dla – interesantów i ze zdumieniem zobaczył swego młodszego syna, który poderwał się na jego widok.

– Ojczy, czy mogę cię prosić o chwilę rozmowy?

W oczach Hansa była niepewność i błagalny wyraz, więc pan Lebrott poczuł niepokój. Co ten smarkacz nawywijał, że sterczy tu od rana zamiast odsypiać kolejną bibkę? I dlaczego nie idzie ze swym kłopotem do mamusi, która ochrania go jak kwoka?

Zwrócił się do sekretarki: – Czy mamy jakąś pilną pocztę?

– Nie, panie dyrektorze, jest tylko normalna korespondencja.

– A więc proszę przez pół godziny nikogo nie wpuszczać i przerywać mi tylko w naprawdę ważnych sprawach.

– Dobrze, panie dyrektorze – odparła spokojnie i wróciła do pisania na maszynie. Była doświadczoną pracownicą i szef wiedział, że może na niej polegać.

Wprowadził syna do gabinetu i wskazał mu fotel dla interesantów. Potem zapytał, nie bawiąc się w zbędne ceregiele: – O co chodzi? Mów jasno, bo nie mam wiele czasu.

– Ojczy, chciałbym pracować w bankowości albo w handlu. Oczy pana Lebrotta zaokrągliły się ze zdumienia. Spodziewał się informacji o nieślubnym dziecku, poczętym z jakąś nieostrożną panną, karcianych długach, poważniejszej rozróbie z udziałem

policji, ale nie podejrzewał swego młodszego potomka o nagłe upodobanie do uczciwej pracy.

– To już nie masz ochoty na te dyplomatyczne wygibasy? – zapytał nieufnie.

– Nie. Wolałbym pracę w bardziej konkretnym zawodzie – oświadczył zdecydowanym głosem Hans.

– A znasz się na tym choć trochę?

– Na studiach najbardziej interesowało mnie prawo handlowe i międzynarodowe umowy gospodarcze. Myślę, że jestem nieźle przygotowany. No i znam języki.

– No, no – mruknął pan Lebrott, starając się ukryć zadowolenie, jakie sprawiła mu ta informacja. – A dlaczego zwracasz się z tym do mnie?

– Pytałem o pracę w spółce handlu drewnem. Proponują mi na początek stanowisko asystenta dyrektora.

– Z jaką pensją?

Hans wymienił sporą sumę. Jego ojciec pokiwał domyślnie głową. Pewnie liczą na dobre stosunki z jego bankiem. Nie był najlepszego zdania o tym przedsiębiorstwie. Szkoda dla nich jego chłopaka. Ale najpierw musi sprawdzić, czy ten jego zapal to nie słomiany ogień.

– U mnie przez pierwsze pół roku będziesz zarabiał połowę tej sumy – oświadczył stanowczo. – Jeśli się sprawdzisz, dostaniesz samodzielne stanowisko z odpowiednim uposażeniem i możliwością awansu. Sam decyduj.

– Dziękuję, ojcze! – ucieszył się Hans. Przerwał na chwilę, zbierając odwagę. – Jest jeszcze jedno... Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Mów śmiało – zachęcał go udobruchany ojciec. – Co narozrabiałeś?

– Właściwie to nic, tylko chciałbym się ożenić.

– To już wiem. Zdaje się, że widziałem tę pannę. Chyba jest w porządku.

– Tak, ale ja nie z nią chcę się ożenić.

A więc jednak kłopoty z jakąś pannicą. Pan Lebrott westchnął

ciężko.

– Więc kto to jest?

– Panna Zuzanna Kovacz.

– Zaraz, zaraz, chyba znam skądś to nazwisko...

– Ona występuje w operetce...

Starszy mężczyzna dotknął palcami czoła. – Rzeczywiście! Pamiętam, bardzo miła czarnulka... – Urwał i spojrzał na syna; w oczach Hansa pojawił się gniew.

– To bardzo utalentowana artystka, ojcze. Krytycy wróżą jej wielką przyszłość. Jest uczennicą samej Selmy.

– Selma! – westchnął w duchu pan Lebrott. – To już nie wróci...

Spojrzał uważnie na siedzącego przed nim młodego mężczyznę. Dostrzegł w nim podobieństwo do siebie samego w młodości. Ten sam zarys brody, stanowczy kształt ust, ten sam upór w spojrzeniu. Te same upodobania. Moja krew – pomyślał z dumą.

Poprawił się w fotelu i nachylił konfidencjonalnie do Hansa.

– Słuchaj synu – powiedział miękko. – Pozwól, że udzię ci praktycznej rady. Jak to mówią, żeby się napić piwa, nie trzeba od razu kupować całego browaru...

– Ojcze, to porządna dziewczyna! – przerwał mu Hans gwałtownie.

– Wierzę, zwłaszcza że nic dwuznacznego o niej nie słyszałem, a jestem chyba nieźle zorientowany. Ale wiesz, artystki nie są najlepszymi kandydatkami na żony... Opinia publiczna...

– Gwiżdżę na opinię! – Hans wstał. – Jeżeli, ojcze, nie wyrazisz aprobaty dla mojego małżeństwa z Zuzanną, i tak to zrobię! Damy sobie radę bez niczyjej pomocy!

Ten smarkacz ma charakter i wie, czego chce. Pan Lebrott poczuł szacunek do syna.

– Nie powiedziałem, że się nie zgadzam, ale chciałbym się przekonać o trwałości waszych intencji. W końcu tej pannie Zuzannie też może się nagle odmienić...

– Nie oddam jej nikomu! – w głosie Hansa zabrzmiała stalowa nuta.

Oho – pomyślał jego ojciec – to poważna sprawa. Podniósł się z fotela i powiedział spokojnie: – To nie miejsce na omawianie takich spraw. Musimy o tym poważnie porozmawiać. Zapraszam cię na kolację do mojego klubu. Tam ustalimy warunki naszej umowy i rozważymy szanse twego ewentualnego małżeństwa. Zgoda?

– Dziękuję, ojcze. – Hans podniósł się również. – Chciałbym cię prosić, żebyś na razie nie mówił o niczym matce. Bardzo ją to rozczaruje, więc wolałbym...

– Bardzo – przyznał jego ojciec i uśmiechnął się pod wąsem, a była w tym uśmiechu odrobina złośliwej satysfakcji. – Powiadomimy ją, kiedy sytuacja się wyklaruje, dobrze?

Późnym wieczorem pani Laura, która nie mogąc zasnąć czytała w swoim pokoju, usłyszała zajeżdżający samochód, a potem ściszone głosy męża i syna na korytarzu. Zdziwiło ją to, bo zazwyczaj nie bywali nigdzie razem. Może spotkali się gdzieś przypadkiem, pewnie na jakiejś bibce, pomyślała zgryźliwie. No cóż, to były ostatnie dni wolności Hansa; niech chłopak jeszcze użyje życia, zanim weźmie go pod pantofel ta pastelowa hrabianka.

Ona tymczasem miała inne zmartwienie. Doszły ją plotki, że nazwisko Lebrotta jest łączone z nazwiskiem wschodzącej gwiazdy wiedeńskiej operetki, Zsuzy Kovatsch. Przeczytała recenzje i obejrzała jej rysunkowy portrecik. Serce jej ścisnęło się złym przeczuciem. Postanowiła udaremnić zakusy męża najszybciej, jak się da. To mogła być bardzo niebezpieczna rywalka.

Nazajutrz przy śniadaniu, składając poranną gazetę, powiedziała od niechcienia: – Słyszałam, że ta Zsuza Kovatsch to bardzo utalentowana osoba.

Jej mąż odłożył spokojnie swój dziennik i zapytał z zainteresowaniem: – Tak? A ty co o niej sądzisz?

Pani Laura poczuła lekkie ukłucie niepokoju, ale brnęła dalej.

– Z tego, co piszą o niej krytycy, można wnioskować, że ma

przed sobą wielką karierę. Podobno jest też bardzo ładna...

Jej mąż pokiwał głową z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Ja też to słyszałem.

– Niestety, ludzie plotkują, że interesuje się nią ktoś o nazwisku podobnym do naszego... – Poczowała uderzenie krwi do głowy. Chyba nie trzeba już jaśniej się wyrażać!

Pan Lebrott wstał, spokojnym ruchem odkładając serwetkę.

– Cóż, chyba nie ma dymu bez ognia... Zerwała się na równe nogi.

– Co to ma znaczyć? – zawołała, tracąc panowanie nad sobą.

– Nie denerwuj, się moja droga – powiedział jej mąż przyjaźnie. – Skoro już poruszyłaś ten temat, to muszę cię uprzedzić, że panna Kovacz zostanie prawdopodobnie naszą synową. A teraz wybacz, muszę iść do banku.

Cmoknął powietrze nad czołem pani Laury i wyszedł, zostawiając ją osłupiałą ze zdumienia, stojącą nieruchomo niczym żona Lota.

Alicja Rutmayer siedziała z Dorotą na ocienionym tarasie swego domu. Chociaż miała na sobie powiewną suknię, widać było, że upał mocno jej dokucza.

– Chyba będzie burza – westchnęła, poruszając koronkowym wachlarzem. – Tak się cieszę, że mogę sobie przy pani ponarzekać, bo powiedzenie czegokolwiek mojemu mężowi spowodowałoby natychmiast sprowadzenie dwóch lekarzy miejscowych i jednego z Wiednia albo z Monachium.

– Podziwiam troskliwość pani małżonka – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Ja też go doceniam, zapewniam panią, ale wolałabym, żeby się mniej przejmował swoim przyszłym ojcostwem, skoro ja swoje macierzyństwo staram się znosić ze stoickim spokojem. Na szczęście moja matka, to znaczy nasza z Maksem, niebawem

przyjedzie i będzie mogła się zająć zięciem przy nadziei. Może nawet zdoła mi wyjednać pozwolenie na chociaż jeden koncert i wieczorną biesiadę...

– Serdecznie pani tego życzę – zapewniła ją Dorota.

Nie potrafiła się skupić na rozmowie. Miała świadomość, że gdzieś w tym pięknym domu jest Maks, który zostawił je same, żeby mogły swobodnie porozmawiać. Sam miał do przejrzenia dokumenty, które wcześniej wziął od jej ojca. Kiedy ona przygotowywała się do wyjazdu, panowie o czymś poważnie rozmawiali w gabinecie. To też ją intrygowało. Jakie sprawy mogą ich łączyć?

– Dobrze? – wyrwał ją z zamyślenia głos pani Alicji.

– Przepraszam, przez chwilę myślałam o ojcu.

– Czy coś panią niepokoi?

– Właściwie nie. Dawno nie widziałam go w tak dobrej kondycji; humor też mu dopisuje. Może uda mi się go namówić, żeby nie wracał jeszcze do Wiednia.

– To świetny pomysł – zgodziła się pani Alicja. – Mam nadzieję, że pani też tu zostanie.

– Nie wiem – zmieszła się. – Mam pewne zobowiązania... Dlaczego nie może jej przejść przez gardło, że ma się oficjalnie zaręczyć z Hansem? Dlaczego tutaj, w tej przyjaznej, swojskiej atmosferze zarówno on, jak i jego rodzina wydają jej się nierealni, odlegli, nie związani z jej życiem? Czy to możliwe, że po Nowym Roku ona sama wyjedzie do Portugalii? Nie, nie potrafi pogodzić się z tym, zwłaszcza że gdzieś w tym domu Maks siedzi nad dokumentami, a ona ma taką straszną ochotę, żeby zajrzeć do tego pokoju, uśmiechnąć się tylko i wyjść. Tak niewiele, a jednak to niemożliwe.

– ... pytałam – powtórzyła pani Alicja, nie zrażona trochę dziwnym roztargnieniem swego gościa, – czy zgodziłaby się pani, żebyśmy sobie mówiły po imieniu? Jesteśmy chyba rówieśniczkami, poza tym mamy tyle wspólnego... Bardzo bym chciała, żebyśmy się zaprzyjaźniły.

– Ja też bym chciała, Alicjo – ucieszyła się Dorota. –

Zamierzałam ci to zaproponować, ale tobie, jako mężatce, zostawiłam inicjatywę.

– Dobrze, że kobieta zameżna też ma jakieś społeczne przywileje – Alicja podchwyciła nieco przekorny ton Doroty. A ja myślałam, że ma wyłącznie obowiązki z obowiązkiem słuchania swego męża na czele. Prawda mój drogi? – zwróciła się do pana Rutmayera, który właśnie wszedł i z galanterią ucałował dłoń żony.

– Jak najbardziej, moja droga – zgodził się z nią, usłyszawszy tylko ostatnie słowa. – A jakiej to tezy dowodzisz tym razem?

– Że mężczyźni mają dużo więcej przywilejów od kobiet – skierowała oskarżycielsko wyciągnięty palec w jego stronę.

– Moja Alicjo – powiedział podnosząc dłonie do góry – powiedz tylko, który z moich przywilejów tak się denerwuje, to ci go natychmiast oddam.

– Na przykład możliwość pojedynkowania się albo...

– Pojedynki są prawnie zabronione – wpadł jej w słowo Maks, który właśnie wszedł. Zajął fotel obok Doroty i zaczął się przekomarzać z siostrą. – Zresztą pojedynki odbywały się o świcie, a ty lubisz spać do południa. Poza tym nie umiesz obchodzić się z bronią, więc mogłabyś uszkodzić któregoś z sekundantów...

Przerwał mu zgodny wybuch śmiechu; najgłośniej śmiała się Alicja.

Jej mąż zwrócił się do szwagra: – Proszę cię, nie wyjeżdżaj; ona tylko przed tobą czuje nieco respektu. Wzięła mnie pod pantofel i przewrotnie narzeka na ucisk i zniewolenie. Ale ja się nie skarżę – uśmiechnął się do żony.

– Bo ja sprawuję władzę oświeconą – z powagą oświadczyła Alicja. – Jak królowa Wiktoria. Wszyscy moi poddani mają się dobrze i nie narzekają. Moja droga – zwróciła się do Doroty – bądź tak dobra i nalej im herbaty. Niech widzą, że wszystkie damy w tym domu są dla nich łaskawe.

Dziewczyna wstała, żeby spełnić jej życzenie. Kiedy podawała filiżankę Maksowi, on nagle podniósł na nią oczy, w których

zabłysło błękitne światło. Jego spojrzenie przez moment mówiło równie wyraźnie jak słowa: – Jestem tobą oczarowany.

Przez ułamek czasu świat zatrzymał się. Potem Dorota usiadła i wszystko zaczęło toczyć się dalej. – Jedna chwila – pomyślała, czując silne bicie serca – a tyle w niej szczęścia. I to musi mi wystarczyć? Nie zdarzy się nic więcej?

Alicja taktownie udała, że nie widzi jej zmieszania, natomiast Maks uznał je za najlepszą wróżbę. Widać, że się nie pomylił, odczytując wyraz jej twarzy tam, nad jeziorem, podczas krótkiej chwili zaskoczenia, gdy go poznała. To była radość. Czuł jednak, że coś jej przeszkadza, coś zmuszają do powściągnięcia spontanicznych reakcji, i postanowił działać powoli i ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć.

Dlatego kiedy odprowadzał ją konno do domu, starał się prowadzić rozmowę na neutralne tematy. Dorota była mu za to wdzięczna, bo z trudem panowała nad sobą.

Kiedy odprowadziła Gamę do stajni, weszła do domu. Zobaczyła, że w gabinecie, gdzie zazwyczaj przesiadywał ojciec, pali się światło.

Pod wpływem nagłego impulsu weszła i zapytała: – Nie przeszkadzam ci?

– Ale skąd! – ucieszył się starszy pan. – Brakowało mi naszej wieczornej rozmowy. Jak było u państwa Rutmayerów?

– Bardzo miło.

Dorota zaczęła wyskubywać nitkę z oparcia kanapy.

– Pan Siefert cię odprowadził?

– Tak.

Pan Belenburg zobaczył rumieniec na twarzy córki.

– To miły człowiek, prawda?

– Tak.

– Nie jesteś dziś specjalnie rozmowna – uśmiechnął się. – Może jazda konna cię zmęczyła?

– Tatusiu... – z kanapy dobiegł go błagalny szept.

– Słucham? – pochylił się w jej stronę.

– Popełniłam błąd.

– Każdy może się pomylić – odparł starszy pan, ale przez moment poczuł skurcz serca. Co się przytrafiło jego córeczce? Postarał się jednak nadać swemu głosowi spokojne brzmienie. – Wiesz, że możesz na mnie polegać.

– Wiem. Chciałam dobrze, ale nie dam rady. To nie wyjdzie.

– O czym ty mówisz?

Dorota podniosła głowę i zobaczyła troskę w oczach ojca.

– O zaręczynach z Hansem. Ja go nie kocham. Pan Herman poczuł ulgę. Chwała Bogu!

– Masz ochotę o tym porozmawiać? – zapytał ostrożnie. Odpowiedzią było niepewne skinienie głową.

– Czy od twojego przyjazdu w Wiednia coś się zmieniło? – delikatnie zasugerował starszy pan.

– Tak. To znaczy... Nie wiem na pewno. Właściwie to tylko zdałam sobie sprawę z różnych rzeczy.

– Rozumiem. W takiej sytuacji warto jest przemyśleć od nowa swoje decyzje. A co cię najbardziej trapi?

– To, że nie mam pracy, a tak chciałabym, żebyś mógł się leczyć...

– Doroto – powiedział niespodziewanie surowo – proszę cię, żebyś w swoich planach życiowych nie kierowała się moimi sprawami. Pozwól, że ja sam się o nie zatroszczę. Jestem odpowiedzialny za swoje życie i bardzo by mnie zabolalo, gdybym zaczął przypuszczać, że poświęcasz dla mnie swoje szczęście. Pamiętaj, że od twojego męża, kimkolwiek by był, nie przyjąłbym ani grosza na moje potrzeby. Zresztą prawdopodobnie stanę się znów samowystarczalny finansowo bez sięgania do rezerw.

– W jaki sposób? – zdumiała się dziewczyna.

– Pan Maks Siefert zapewnił mnie, że kancelaria mecenasa Reissa z powodzeniem odzyskała już w jednej sprawie wojenne wierzytelności od banku. Pan Siefert przejrzał moje dokumenty i zapewnił mnie, że mam bardzo duże szanse na odzyskanie sporej sumy, i to z procentami. Wziął ode mnie pełnomocnictwo i sam złożył tę sprawę w wiedeńskiej kancelarii. Tak więc mam nadzieję,

że to ja będę mógł wesprzeć cię finansowo w twoich przedsięwzięciach.

– Kiedy pan Belenburg mówił o Maksie, zobaczył, że jego córka ożywia się, a jej oczy nabierają blasku. Teraz wiedział już wszystko i był z tego bardzo zadowolony. Ten młody, energiczny mężczyzna bardzo przypadł mu do gustu. No i zamierzał otworzyć kancelarię w Salzburgu, niedaleko stąd, a nie wywieźć jego córkę gdzieś do Portugalii. On sam nie był do tego stopnia pozbawiony egoizmu, żeby mu nie zależało na możliwości częstego widywania swojej jedynej pociechy.

– W tej sytuacji – dodał na koniec – proponowałbym ci przedłużenie pobytu tutaj. Hermina bardzo cię lubi i już wzdycha znacząco, kiedy napomknąłem o naszym wyjeździe jesienią.

– Tak, tylko muszę jeszcze rozmówić się z Hansem Lebrotem.

– Istotnie, trzeba to uczciwie załatwić. Masz zamiar do niego napisać, czy też powiesz mu to osobiście?

– Wolalabym mu to powiedzieć sama.

Pan Herman skinął aprobująco głową. – Uważam to za godne rozwiązanie.

– Tylko że muszę to zrobić jak najprędzej, żeby nie liczył na wzięcie żony na placówkę. Przynajmniej mnie. Może zdąży znaleźć inną.

– Mam wrażenie, że pan Hans Lebrott ma dość utylitarny stosunek do małżeństwa – mruknął z przekąsem.

– To nie on, tylko jego matka. Nie mówiłam ci jeszcze, jaką miałam z nią rozmowę!

– Nie musisz mi powtarzać. Poznałem tę damę i potrafię się domyślić, w jaki sposób chciała zapewnić przyszłość swemu beniaminkowi. Dziwi mnie tylko, że jej się to udało z tobą!

Dorota westchnęła smutno. – Tak, to był dla mnie trudny czas; czułam się trochę zagubiona...

– I chciałaś się poświęcić dla chorego ojca? – pan Herman spojrzał na nią przenikliwie.

Dziewczyna spuściła głowę. – Myślałam, że tak będzie dobrze.

– Byłaś w błędzie, i bardzo dobrze, że postanowiłaś to

naprawić. Proszę cię jeszcze, żebyś mi coś obiecała.

– Co takiego?

– Że nigdy nie spróbujesz wybawiać mnie z kłopotów bez mojej wiedzy i zgody. Obiecujesz?

– Tak.

– To mnie cieszy. Czy chciałabyś, żebym ci towarzyszył do Wiednia?

– Nie, tatku, dam sobie radę. Za parę dni wrócę.

– Dobrze. Może przy okazji zorientujesz się, jak moglibyśmy zlikwidować wiedeńskie mieszkanie?

– Och, to niewielki problem. Mamy mało rzeczy; można je tu przesłać koleją. Wynajmę do tego firmę od przeprowadzek.

– Świetnie. Jutro dam ci na to pieniądze. Kiedy chcesz jechać?

– Może pojutrze?

– Jak sobie życzysz. Odwiozę cię na dworzec w Salzburgu. A teraz – pan Herman podniósł się z fotela – czas spać. Cieszę się, że w porę zmieniłaś swoją decyzję. Wszystko będzie dobrze.

Pogładził lekko córkę po głowie, pocałował w czoło i wyszedł z pokoju.

Dorota została sama. Wyszła na taras i popatrzyła w niebo. Migotało na nim wiele gwiazd; odcinała się wyraźnie srebrzysta smuga Drogi Mlecznej. W bezkresie nieba dziewczyna szukała tej gwiazdy, która towarzyszyła jej w pełne rozterki noce, wędrując nad dachami miasta. Pewnie to któraś z najjaśniejszych.

Zdała sobie sprawę z tego, że czuje się lekko. Ciężar niechcianego zobowiązania, który ją przygniatał, zniknął. Była wolna!

Nie wiadomo, czy Maks kiedykolwiek poprosi ją o rękę. To nawet w tej chwili nie jest ważne. Najważniejsze jest to, że ona już poznała głos swego serca i potrafi wybierać.

Świat wokół nagle wydał jej się cudownym miejscem, w którym wszystko było możliwe.

Zuzanna siedziała w swojej garderobie, ścierając szminkę z

twary. Mały pokój wypełniał duszny zapach kwiatów; wśród bukietów, które dzisiaj dostała były też purpurowe róże od Hansa. Przysyłał je wytrwale, chociaż mu zapowiedziała, że nie ma na co liczyć – nigdy nie odbierze narzeczonego przyjaciółce. Na nic się zdały jego solenne zapewnienia, że ich projektowane małżeństwo to tylko rozsądny układ, w którym oboje dają sobie wolną rękę w pewnych sprawach. Zuza była nieubłagana.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – krzyknęła do Hansa podczas ich ostatniej rozmowy. – Że zgodzę się być tą trzecią przy Dorocie? Jakim prawem proponujesz mi taką rolę? Albo będziemy tylko we dwoje, albo do widzenia, mój panie. I to Dorota będzie musiała mi powiedzieć, że zwraca ci wolność i nie ma o to do mnie żalu.

– Ale ona jest teraz gdzieś pod Salzburgiem – bronił się Hans.

– Poczekam – oznajmiła stanowczo Zuzanna i pożegnała go, nie pozwoliwszy się nawet pocałować.

Patrzyła teraz z czułością na kwiaty, które zdawały się ją zapewniać, że Hans trwa przy swoich zamiarach. To dobrze, bo ona też była w nim zakochana, choć ledwo miała odwagę przyznać się do tego przed sobą. Związek z Hansem mógłby nadszarpnąć jej reputację, bo nie miała jeszcze pozycji gwiazdy. Będą musieli być bardzo dyskretni... Przez myśl jej nie przeszło, że syn bankiera Lebrotta mógłby się z nią ożenić, ale była zdecydowana przeżyć z nim tyle szczęścia, ile się da, choćby bez ślubu. Jeśli tylko Dorota zwolni go z danego słowa...

Te rozmyślenia przerwało jej pukanie do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołała.

W drzwiach stanęła niemłoda, elegancko ubrana kobieta. Obrzuciła ciasny pokoik niechętnym spojrzeniem i zapytała: – Czy mogę z panią tu porozmawiać? Jestem matką Hansa Lebrotta.

Matka Hansa! Rzeczywiście, miała oczy podobne do jego oczu. Zuzanna zerwała się na równe nogi i podsunęła tej wytwornej damie jedyny fotelik.

– Proszę usiąść – zaprosiła ją. – Hans też tu wpadnie?

– Hans o niczym nie wie, – odparła wyniośle pani Lebrott. –

Muszę pani powiedzieć, że bardzo się o niego niepokoję.

– Stało się coś? – Zuzanna gwałtownie wstała, jakby chciała dokąś biec.

– Nie o to. chodzi. Nie jestem zadowolona z jego... romansu z panią, zwłaszcza, że stał się już publiczną tajemnicą.

– Pani się myli! My nie... – zaprotestowała dziewczyna, ale pani Laura zbyła jej słowa lekceważącym machnięciem ręki.

– Przejdę od razu do rzeczy – oświadczyła, sięgając do dużej torby ze skóry aligatora. Wyjęła z niej spory, zamszowy woreczek.

– Wiem, że Hans stracił głowę dla pani i nawet mu się nie dziwię – przyznała łaskawie, obserwując z mieszaniną uznania i zazdrości brzoskwiniową cerę, regularne rysy i orzechowe oczy Zuzy.

– Chodzi o to – ciągnęła – że Hans ma zobowiązania. Jest zaręczony...

– Wiem, z panną Dorotą Belenburg – powiedziała Zuzanna.

– Ach, więc powiedział pani? – zdziwiła się pani Laura. – No cóż, to ułatwi nam rozmowę. Chodzi mi o to, że we wrześniu mają być ogłoszone ich zaręczyny, a niedługo potem powinni się pobrać. To małżeństwo było ze wszech miar wskazane dla przyszłości mego syna. Tymczasem dowiedziałam się od mego męża, że Hans wpadł na szalony pomysł, żeby ożenić się z panią. Taka decyzja równa się zaprzepaszczeniu jego kariery w dyplomacji, do której przygotowywaliśmy się przez wiele lat. Rozumie pani, że jestem bardzo zaniepokojona i zrobię co w mojej mocy, żeby Hans dotrzymał swoich zobowiązań wobec panny von Belenburg.

Akcent położony na *von* miał przypomnieć Zuzannie przepaść społeczną, dzielącą ją od wyższych sfer.

– Rozumiem – ciągnęła pani Laura – że awanse mego syna mogły wzbudzić u pani pewne oczekiwania, a nawet... iluzje, dlatego – tutaj rozwiązała woreczek i jego zawartość wysypała na toaletkę – proponuję pani przyjęcie tego w zamian za zniechęcenie mego syna do jakichkolwiek kontaktów z panią w najbliższej przyszłości, powiedzmy, przez rok.

Zuzanna zdumionym wzrokiem patrzyła na klejnoty rozsypane na toalecie. Najwięcej było zielonych kamieni, oprawnych w ciężkie złoto. Leżał przed nią spory majątek, oceniając to kryteriami jej rodzinnego miasteczka. I to wszystko za to, żeby przez rok nie spotykała się z Hansem! Jego matka chciała kupić u niej złamanie mu serca! Ojej sercu zapewne nawet nie pomyślała. Po prostu było przeszkodą, którą można usunąć za pomocą garści złota. Siedziała w milczeniu i czuła, jak narasta w niej gniew.

Wreszcie pani Laura zapytała zniecierpliwiona: – A więc załatwione?

Dziewczyna wstała gwałtownie, wzięła chustkę do ścierania charakteryzacji i jednym stanowczym ruchem zgarnęła do niej biżuterię ze stołu. Następnie zawiązała rogi chustki i ten węzełek położyła pani Lebrott na kolanach.

– Proszę to zabrać – powiedziała głosem drżącym z hamowanego gniewu – i pozwolić Hansowi decydować o swoim życiu.

– Jeżeli mój syn zdecyduje się na jakieś głupstwo – zimno odparowała pani Laura. – Nie dostanie od nas ani grosza.

– Jeżeli zechcę być z Hansem, to nie będą mi do tego potrzebne ani pieniądze, ani ślub, ani pani pozwolenie! – wybuchnęła Zuzanna. – Damy sobie radę bez waszej pomocy!

– To się jeszcze okaże! – syknęła pani Lebrott, głośno zamykając za sobą drzwi.

Kiedy wracała taksówką do domu, wciąż trzęsła się z oburzenia. Bezczelna komediantka! Ośmieliła się odrzucić taką wspaniałomyślną ofertę i jeszcze ma czelność mówić, jak ona, matka, ma postępować z Hansem. Myśli, że on teraz będzie na każde jej skinienie. Niedoczekanie!

A jednak gdzieś w głębi duszy bała się. Ta dziewczyna ma olśniewającą urodę i silny charakter. Jest zdecydowana postawić na swoim i – co gorsza – może jej się to udać. Lepiej nie myśleć, co może z tego wyniknąć!

Zuzanna tymczasem przytuliła twarz do purpurowych róż, a potem powiedziała z radosnym zdumieniem swemu odbiciu w

lustrze: – On mnie tak kocha, że chce się ze mną ożenić!

*

Dorota weszła do dusznego mieszkania na mansardzie swojej wiedeńskiej kamienicy. Przed chwilą taksówka przywiozła ją z dworca. Podróż upłynęła jej spokojnie, choć nieunikniona rozmowa z Hansem teraz przejmowała ją lekkim niepokojem. Trudno, jakoś sobie poradzi. Chwała Bogu, że nie było między nimi zapewnień o gorących uczuciach; nie będzie też złamanego serca. Tym niemniej zdawała sobie sprawę, że Hans przyjął ich praktyczną umowę w dobrej wierze i że odpowiada ona jego życiowym planom. Teraz będzie miał prawo czuć się zawiedziony, a nawet wyprowadzony w pole, bowiem jej odmowa oznaczać będzie dla niego konieczność szukania innej, równie odpowiedniej narzeczonej.

Co ta odmowa będzie znaczyć dla pani Lebrott, wołała nie myśleć. W końcu jej nic nie obiecywała. Ale i matce Hansa gotowa była stawić czoła. Jej wolność warta była teraz każdej nieprzyjemnej czy trudnej rozmowy.

Otworzyła okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Popatrzyła na dachy miasta, przetykane pasmami zieleni, i pomyślała, że już niedługo opuści to miejsce, a roztaczający się przed nią widok pozostanie tylko w jej pamięci. Choć miała wyjechać z Wiednia na spotkanie lepszego życia, poczuła żal; przeżyła tutaj wiele trudnych chwil, ale dały jej one wiele wiedzy o życiu i o niej samej. Żadnej z nich nie żałowała.

Słońce schowało się już za dachami domów, obrysowując ich kontury złocistą poświatą. Nie miała ochoty siedzieć przez cały wieczór sama w mieszkaniu. Postanowiła zajrzeć do pani Otylii. Zeszła na niższe piętro i zadzwoniła do jej mieszkania. Nikt nie odpowiedział. Zdumiało ją to, bo starsza pani o tej porze zazwyczaj bywała w domu.

Może poszła do kościoła? – pomyślała, cofając się i wtedy zobaczyła, że drzwi do mieszkania Zuzanny są uchylone. Aha, pewnie swoim zwyczajem wstąpiła do sąsiadki z jakimś

smacznym poczęstunkiem.

Szybko pchnęła drzwi i weszła do pokoju. Tam nagle stanęła jak wryta.

Na wprost niej Hans Lebrott, jej narzeczony, obejmował w namiętnym uścisku jej przyjaciółkę, Zuzannę.

Dorota na chwilę straciła głowę. Najwyraźniej była tu intruzem. Jednocześnie poczuła ulgę, potem zakłopotanie. Co teraz? Przez myśl przeleciała jej sentencja ciotki Herminy: „Dama nigdy się nie dziwi”. Dobrze sobie! A co dama robi w takiej sytuacji?

– Dama nie bywa w takich sytuacjach – odrzekłaby zapewne starsza pani.

Dziewczyna szepnęła: – przepraszam – i chciała się wycofać z pokoju, ale w tym momencie Zuzanna ją dostrzegła.

– Rany boskie, Dorota! – wykrzyknęła. – Zaczekaj! To wcale nie jest tak, jak myślisz, przysięgam! Hans, powiedz jej!

Hans, również wytracony z równowagi, zaczął nieskładne wyjaśnienia: – Istotnie, panno... eee... Doroto, nie jest tak, jak pani myśli, ale... jest tak, jak pani widzi. To wyłącznie moja wina i jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje...

Bardzo dyplomatyczne wytłumaczenie – pomyślała, czując, jak gdzieś w głębi zaczyna w niej narastać chęć do śmiechu.

– Mówiłam mu... – żarliwie zaczęła się tłumaczyć Zuzanna, ale Dorota z uśmiechem wpadła jej w słowo:

– Może usiądziemy i porozmawiamy spokojnie? Odpowiedzieli jej speszonymi spojrzeniami, ale zajęli miejsca obok niej, przy niedużym stoliku.

Dorota oświadczyła przyjaźnie: – Zapewniam was, że nie jestem zraniona, tylko nieco... zaskoczona.

– Słuchaj! – Zuzanna już nie pozwoliła sobie przerwać. – To właściwie twoja zasługa, że się poznaliśmy. Gdyby nie twoja sukienka, nie dostałabym tej roli, gdybym nie miała premiery, nie przyszłabyś z nim do teatru, a wtedy... Stało się coś takiego, że... Ale ja nigdy...

– Zakochałem się w Zuzannie od pierwszego spotkania – podjął Hans. – Niebawem to jej wyznałem, ale ona nie pozwoliła mi się

do siebie zbliżyć, dopóki nie rozmówię się z ... narzeczoną.

– Nie odbiłabym ci go za skarby świata! – oświadczyła Zuzanna. – To teraz... było na pożegnanie, dopóki nie będzie wolny. Nie zawsze można nad wszystkim zapanować...

– Też tak uważam – oświadczyła Dorota. – Dlatego zwracam ci słowo, Hansie.

– Dziękuję! I... bardzo przepraszam. – Hans nie potrafił się zdobyć na nic innego.

– Jaka ty jesteś dobra! – Zuza wzruszona przytuliła policzek do ramienia przyjaciółki. – Ale co teraz będzie z tobą? Nie masz pracy, ani nic... My ci we wszystkim pomożemy, pozwól, proszę!

– Nie chciałabym uchodzić za kogoś, kim nie jestem – powiedziała szczerze Dorota. – Przyjechałam tu, aby prosić pana, Hansie, o rozwiązanie naszej umowy. Zrozumiałam, że nie jestem zdolna do takiego praktycznego podejścia do małżeństwa. – Zdjęła z palca pierścioneł z brylantem i włożyła go w dłoń Zuzy. – Życzę wam szczęścia z całego serca, tak jak życzę sobie.

Oczy Zuzy zaokrągliły się. – Więc ty też zmieniłaś zdanie? Jak to dobrze, że nie będę musiała mieć wyrzutów sumienia! Poznałaś kogoś, przyznaj się!, – Tak mi się zdaje... Zuzanna zerwała się z krzesła.

– Jak ja was kocham! Chyba pękne z radości!

Hans miał ochotę znowu porwać ją w objęcia, ale się pohamował.

– Przyszedłem dziś do Zuzy – powiedział – żeby ją zapewnić o moim uczuciu i obiecać, że ożenię się z nią, choćbym miał zrobić nie wiem co. Myślałem, że czeka mnie teraz podróż do Salzburga, wyjaśnienia, wstyd. A tymczasem... co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Zuzanno, niedługo zostaniesz moją żoną!

– A co na to powie twoja matka? Chciała cię ode mnie wykupić za , worek złota – zapytała przekornie Zuza.

Dorota też była tego ciekawa.

– Będę ją szanował, cokolwiek powie – oświadczył spokojnie Hans. – Ale zrobię tylko to, o czym sam zdecyduję.

Zabrzmiała w tym oświadczeniu pewność siebie dorosłego

mężczyzny. Dorota spojrzała na niego z uznaniem, Zuzanna z zachwytem.

– Czy pozwolicie się panie zaprosić gdzieś na kolację, żeby uczcić ten cudowny wieczór? – zapytał.

Dorota pomyślała, że zakochani chyba woleliby zostać sami.

– Właściwie to chciałabym jeszcze porozmawiać z panią Otylią... – zaczęła.

– To ty nie wiesz? – powiedziała poważniejąc Zuzanna. – pani Otylia jest w szpitalu.

– Co jej się stało? – zmartwiła się Dorota.

– Miała atak serca. To od tych upałów. Doktor mówi, że się pewnie sforsowała na schodach. Dobrze, że tu byłam, to w porę wezwałam pomoc i teraz jej już lepiej. Zachodzę do niej, kiedy tylko mogę.

– Ja też chcę do niej pójść, jak najprędzej!

– Dzisiaj już za późno. Jutro pójdziesz. Mówię ci, że już jej lepiej. Proszę, chodź z nami! Tak bardzo bym chciała, żebyśmy ten wieczór spędzili razem!

Dorota uległa ich naleganiom. Uszczęśliwiony Hans zawiózł je do eleganckiej restauracji z malowniczym ogródkiem na wewnętrznym dziedzińcu. Ich wejście do lokalu zostało zauważone przez siedzących w nim gości. Po sali przeszedł szmer. „To Zsusi Kovatsch”! – mówiono sobie od stolika do stolika. Hans puchł z dumy. To jego narzeczona wzbudzała taką sensację! Szef sali z ukłonem zaprowadził ich do najlepszego stolika i zapewnił, że docenia zaszczyt, jakim jest goszczenie znanej artystki z jej szanownym towarzystwem. Dorota czuła się trochę skrępowana tym powszechnym zainteresowaniem, jakie wzbudzali, ale Hans i Zuza bawili się znakomicie. Dobrali się jak w korcu maku – przemknęło jej przez głowę, gdy patrzyła na ich uśmiechnięte twarze, swobodne gesty i zakochane spojrzenia. I chociaż jej własna przyszłość wciąż była niewiadoma, to tego wieczoru też bawiła się dobrze; przez kilka godzin uczestniczyła na równych prawach w wesołej grupie młodych ludzi (ich kompania powiększyła się niebawem) i dała się całkowicie porwać zabawie.

Nazajutrz przed południem, kupiwszy po drodze najładniejszych owoców, zjawiała się w szpitalu. Był to trzypiętrowy budynek z ciemnoczerwonej cegły, o szerokich, przestronnych korytarzach i wysokich sufitach. Trochę błędziła, zanim uprzejma pielęgniarka wskazała jej właściwą salę. Gdy weszła, rozglądnęła się bezradnie; w żadnej z dwunastu bladych kobiet, leżących w biało lakierowanych łózkach nie mogła rozpoznać pogodnej, pełnej życia pani Otylii. To ona pierwsza rozpoznała gościa i przywołała dziewczynę ruchem ręki. Kiedy Dorota usiadła na metalowym stołeczku, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę, starsza pani uśmiechnęła się domyślnie.

– Zmieniłam się co? Na tym ich wikcie nikt nie będzie wyglądał kwitnąco. Jakieś grysiki, cienkie zupki i do tego mizerna kromeczka chleba. Mówią, że mam trochę schudnąć, bo ciśnienie krwi za wysokie, ale nie wiem, czy długo wytrzymam takie traktowanie.

– Przyniosłam pani trochę owoców. – Dorota zaczęła wyjmować z torby brzoskwinie, winogrona, gruszki. Zaraz to pani umyję.

– Nie śpieszy się – pogładziła ją po ręce pani Otylia. – Lepiej niech panna Dorotka opowie, co u niej słyhać. Nie spodziewałam się, że pani tak szybko wróci.

– Przyjechałam tylko na parę dni – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Dzięki temu mogłam wczoraj uczestniczyć w zaręczynach Zuzy.

– Serio? Ta wietrznica zaręczyła się? No, no, to dobra wiadomość. A z kim, jeśli wolno spytać?

– Z panem Hansem Lebrottem.

– Zaraz, zaraz – starsza pani poprawiła się w pościeli. – Podobno z sercem u mnie nietęgo, ale pamięć mam w porządku. To przecież panna Dorota jest zaręczona z mężczyzną o tym nazwisku. To ten sam?

– Tak – potwierdziła dziewczyna.

– A to nieładnie, odbić narzeczonego koleżance! Tego się nie robi – oburzyła się pani Otylia. – Zrywam z nią znajomość! Może sobie być nie wiem jak sławna i bogata, ale to jej nie upoważnia do takiego zachowania!

Na twarzy starszej pani pojawiły się wypieki. Przestraszona Dorota zaczęła ją uspokajać: – Proszę pani, to nie jest tak, jak pani myśli! To ja wcześniej zerwałam, to znaczy zamierzałam zerwać z Hansem, a on tymczasem zakochał się w Zuzie, ale ona nie zgadzała się na nic, dopóki ja nie zgodzę się na zerwanie zaręczyn, rozumie pani...

– Nie za bardzo – oświadczyła pani Otylia, posapując z irytacji.

– Skoro pani chciała z nim zerwać, to widocznie coś się pani w nim nie spodobało. Więc dlaczego on spodobał się Zuzannie? Może o niczym nie wiedziała? A jeśli to coś poważnego, to dlaczego pani jej o tym nie uprzedziła? Biedna dziewczyna, wpadnie w łapy jakiegoś hochsztaplera albo łobuza! Musimy ją ratować!

Starsza pani, wpadając z jednej skrajności w drugą, skłonna była obarczyć Dorotę winą za nie popełnione grzechy. Dopiero szczery śmiech dziewczyny przywiódł ją do opamiętania.

– Chciałam zerwać zaręczyny z panem Lebrottem nie dlatego, że coś mi się w nim nie spodobało, tylko dlatego, że ktoś inny... spodobał mi się bardziej.

– Aaa, to rozumiem – rozpromieniła się pani Otylia. – Miłość od pierwszego wejrzenia, mam rację? Ja też, gdy poznałam mego świętej pamięci Fritza, to od razu wiedziałam: ten i nikt inny! I nigdy tego nie żałowałam.

– Nie wiem, czy z nami tak będzie. On jeszcze nie...

– Będzie, będzie. Ja mam wyczucie do takich rzeczy. Kiedy widzę, z jaką miną panna Dorotka o nim mówi, to wiem, że on już wpadł po uszy. A co na to szanowny ojciec pani?

– Ojciec powiedział, że zaakceptuje mój wybór.

– Pewnie! Dobrze sobie wychował córkę, to i może zaufać jej rozeznaniu.

– Mam nadzieję. Ale dosyć już o mnie. Proszę mi powiedzieć,

jak się pani czuje i kiedy panią stąd wypiszą?

– Może by już wypisali, tylko kłopot w tym, że to moje mieszkanie trochę za wysoko, a teraz nie mogę chodzić po piętrach. Więc skoro nie mam opieki w domu, to mnie jeszcze tu trzymają, żebym nabrała sił.

– Jak to nie ma pani opieki? – oburzyła się Dorota. – A ja? A Zuzanna? A...

Urwała i zdumionym wzrokiem powitała postać znajomego mężczyzny, który niepewnym krokiem zbliżał się do łóżka jej starszej przyjaciółki.

Pani Otylia też go dostrzegła. Zmieszła się i zaczerwieniła prawie jak pensjonarka.

Był to Rudi z wielką torbą z delikatesów.

Przywitał się z Dorotą z wielką rewerencją, natomiast do pani Otyli zwrócił się nieco bardziej poufale.

– Pomyślałem – powiedział mrugając z zakłopotaniem oczami – że panią tu głodzą i z tego wszystkiego nie może pani przyjść do siebie. Więc przyniosłem coś na ząb, żeby pani szybciej stanęła na nogi.

– Co też pan, panie Alfredzie! – wzbraniała się chora, ciekawym okiem popatrując na torbę. – To naprawdę niepotrzebne...

– Ja tam nie wiem, czy niepotrzebne. Wygląda pani, jak nie przymierzając Piotrowin – oznajmił Rudi z troską.

– Naprawdę tak źle wyglądam? – przestraszyła się starsza pani.

– Nie mówię, że w urodzie jakiś feler, tylko z ciała pani opadła – wyjaśnił. – To jak, chce pani zobaczyć, co tu jest?

– No, może na troszeczkę się skuszę... – poddała się chętnie pani Otylia. – Może razem się poczęstujemy, dobrze, panno Dorotko?

Dziewczyna nie miała serca prawić morałów starszej pani, której aż oczy się świeciły do przyniesionych smakołyków. Trzeba przyznać, że pan Alfred popisał się zarówno hojnością, jak i dobrym smakiem. Był tam więc kawałek wyborowego pasztetu, kilka chrupiących kajzerek, trochę sera, suszonej kiełbasy, ciasto z

kruszonką i nawet mała buteleczka czerwonego wina.

– Kieliszeczek dziennie dobrze robi na krew – powiedział Rudi sentencjonalnie i dyskretnie, za plecami Doroty, nalał do szpitalnego kubka, – Nikt nas nie wyczai – uspokoił panie.

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy smutne odwiedziny u chorej zamieniły się w wesoły piknik, który zaczął wzbudzać zazdrość jej towarzyszek niedoli. Pani Otylia od serca podzieliła się otrzymanymi specjałami z każdą chętną kobietą, więc kiedy Dorota wreszcie zaczęła się żegnać, sala wyglądała zupełnie inaczej niż podczas jej przyjścia; panował w niej ożywiony gwar, a twarze wielu kobiet wskazywały, że wróciła im ochota do życia.

To wszystko sprawił Alfred Rudi, troszcząc się o damę swego serca.

Kiedy Dorota schyliła się, by ucałować panią Otylię, ta zapytała cicho: – Nie będzie się pani ze mnie śmiać?

– Az jakiego powodu? – zdumiała się dziewczyna.

– No, że niby stara baba, a tu ten... przychodzi.

– Nic podobnego! – zapewniła ją gorąco. – W każdym wieku można mieć przyjaciół. Bardzo się cieszę, że pan Rudi otacza panią troską.

Ostatnie słowa skierowała również do niego. Rudi zamrugał powiekami.

– Pani Kluge zna się na koniach i na kuchni. Ze świecą szukać takiej niewiasty. Dlatego bardzo ją szanuję, bardzo...

Urwał zakłopotany, ale z nieśmiałego spojrzenia, jakim obrzucił panią Otylię, Dorota wyczytała szczere uwielbienie.

Wyszła przeświadczona, że jej starsza przyjaciółka niebawem wyzdrowieje, bo ktoś na nią będzie czekał.

Pani Laura, kiedy już kazała posprzątać pokojówce skorupy stłuczonego w wybuchu złości wazonu, usiadła na fotelu i zaczęła się zastanawiać. Ilekroć pomyślała o Hansie, w jej sercu wzbierał gniew. Jak on śmie! Za tyle starań! Jakim prawem burzy jej misterne plany, i to na moment przed ich urzeczywistnieniem? Taki wstyd! Taka kompromitacja! Co ludzie na to powiedzą?

Przecież już wszystkim paniom przy bridżu i na podwieczorkach zdradziła „w tajemnicy”, że jej syn żeni się niebawem z panną von Belenburg i wyjeżdża na placówkę do Lizbony. A tymczasem, kiedy wczoraj po niego posłała, okazało się, że poszedł do biura swego ojca! Postanowił zostać gryzipiórkiem!

Pan Belenburg, spytany o nowe zajęcie Hansa, powiedział z błyskiem dumy w oku: – Nie doceniałem go. Ma chłopak dobre pomysły i smykałkę do interesów. Będą z niego ludzie! To także twoja zasługa, moja droga – dodał z galanterią wiedząc, że ją tym rozbroi.

Istotnie, trudno było pani Laurze dyskutować z tak długo wyczekiwany komplementem; tylko że usłyszała go bardzo nie w porę.

– Ale czy to prawda z tą... śpiewaczką z operetki? Pozwolisz na to?

– A co ja tu mam do pozwalania? – obruszył się jej mąż. – Kiedy mężczyzna sam zarabia na utrzymanie swoje i rodziny, ma prawo samodzielnie decydować o swoim losie. Mnie się jego wybór może nie podobać, chociaż w tym wypadku nie powiedziałbym tego. Ta mała zrobi karierę, a Wiedeń kocha swoich artystów. Taka żona może być dla niego niezłą podporą w interesach. Poza tym, kiedy przyjdą dzieci, pewnie zrezygnuje ze sceny, a ja będę miał śliczne wnuki. To znaczy, my będziemy mieli...

– Mnie do tego nie mieszaj! Jeżeli Hans ożeni się z tą... osobą, ja się go wyrzeknę! – oświadczyła dramatycznie pani Laura.

– Jak chcesz. Tylko co na tym zyskasz?

– Nieważne. Przynajmniej wszyscy się dowiedzą, że byłam temu skandalowi przeciwna.

– Jakemu skandalowi? – zaoponował jej mąż. – Słyszałem, że to porządna dziewczyna. Żaden z bywalców kulis w operetce nie mógł o niej powiedzieć nic... dwuznacznego. Jedynym mężczyzną, z którym się afiszowała, był Hans. Zakochała się, i tyle. On zresztą też.

– A cóż mnie obchodzą amory jakiejś lafiryndy z operetki!

Hans mógł sobie zapewnić jej względy na jakiś czas, i szybko by się odkochał. Myślę, że mogłeś mu udzielić pożytecznych rad w tym względzie... – urwała, żeby nie posunąć się za daleko.

– Próbowałem – przyznał pan Lebrott. – Ale on się uparł i zaproponował solidne warunki umowy. To było do przyjęcia.

– To jest małżeństwo naszego syna, a nie umowa o kredyt! – syknęła pani Laura.

– Jedno z drugim ma wiele wspólnego. Kredyt zaufania ma swoją wartość, również finansową. Hans robi wrażenie wyplącalnego, i cieszy mnie to.

– Czekala go wspaniała przyszłość w dyplomacji – zaczęła z innej beczki. – A teraz wszystko zaprzepaści tym bezsensownym małżeństwem.

– Jaka przyszłość? – odparł lekceważąco. – Wycieranie kątów w ambasadach? Latanie na posyłki jakimś nadętym ważniakom? Odprawianie protokolarnych ceregieli? To ma być przyszłość?

– Ale prestiż dla rodziny... – próbowała oponować.

– Hans ma prawo żyć dla siebie, nie dla rodziny, a dokładnie nie dla ciebie, bo mnie te dyplomatyczne dyrdymały nie przypadły do gustu. Teraz znajdzie sobie lepsze pole do popisu i widać, że ma do tego zacięcie. Już przygotowuje obiecujący projekt. Jeśli mu wyjdzie, to rodzina niemało na tym zyska.

Pan Lebrott z uśmiechem zrobił gest liczenia pieniędzy.

Jego żona umilkła pokonana. Zabrakło jej argumentów, bo w tym domu zysk był atutem nie do przebiccia. Wyciągając ostatnią broń ze swego arsenału, chwyciła się za serce i osunęła na krzesło.

– Nie wiem, jak ja to przeżyję – powiedziała omdlewającym głosem.

– Zawołać lekarza? – zapytał z troską, a na jej przeczący ruch głową, zaproponował: – Może jakiś wyjazd dobrze by ci zrobił? Baden-Baden?

O, nie! Żadnego uzdrowiska i nudów na deptaku! Pani Laura postanowiła ozdrowieć. Może jeszcze coś zdoła wymyślić. Pierwszą i drugą rundę przegrała, ale wciąż miała nadzieję na zwycięstwo.

– Zostawmy ten temat – poprosiła cicho. – Muszę się otrząsnąć z szoku.

– Doskonale. – Pan Lebrott skierował się do drzwi. – Zawołam Lindę, żeby służyła ci pomocą. Odpocznij sobie. Mam nadzieję, że wieczorem zastanę cię w lepszej formie.

Ton jego głosu sugerował niedwuznacznie, że będzie lepiej, jeżeli tak się stanie.

Teraz pani Laura czekała na Hansa, przygotowana na decydującą rozmowę z synem. Była gotowa rzucić do walki o jego przyszłość wszystkie argumenty i środki nacisku, nawet te niezbyt uczciwe.

Kiedy wszedł, powitała go serdecznie. Tylko lekkie napięcie wokół ust świadczyło o jej zdenerwowaniu.

– Siadaj przy mnie, synku. Cieszę się, że cię widzę, bo jakoś ostatnio mijaliśmy się tylko w domu.

– Byłem zajęty – zaczął się tłumaczyć, ale nie pozwoliła mu mówić dalej.

– Rozumiem, ostatnie dni kawalerskiego życia pewnie są bogate w wydarzenia. Czy dostałeś jakąś wiadomość od swojej narzeczonej?

– Nie, to znaczy tak. Panna Dorota właśnie przyjechała do Wiednia.

– I nie przyprowadziłeś jej do nas? To nieładnie z twojej strony. Rozumiem, że chcesz ją mieć tylko dla siebie, ale wiesz, jak bardzo oboje z ojcem polubiliśmy ją. Nie można być aż takim egoistą...

– Panna Dorota nie jest już moją narzeczoną. Właśnie chciałem ci to powiedzieć, ale...

– Co takiego? – Ręka pani Laury uderzyła o blat stołu, a w jej głosie pojawiły się zimne tony. – Z jakiego powodu?

– Poprosiłem ją, to znaczy... zwróciliśmy sobie słowo.

– Bez porozumienia ze mną? Nie spodziewałam się tego po tobie! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam... – pani Laura sięgnęła po chusteczkę i przytknęła ją do oczu.

Łzy matki sprawiały zawsze Hansowi dotkliwą przykrość. Już jako dziecko starał się ją wtedy pocieszać i obiecywał, że na pewno będzie grzeczny. Teraz jednak siedział milcząc i tylko posmutniałe spojrzenie mówiło, że nie jest mu łatwo zmierzyć się z tą sytuacją.

Pani Laura, nie doczekawszy się spodziewanych zapewnień poprawy, westchnęła ciężko i powiedziała:

– Nie mogłam uwierzyć, kiedy ojciec powiedział mi o tej... z operetki, ale teraz zaczynam spodziewać się najgorszego.

– Dlaczego patrzysz na to tak dramatycznie, mamo? – zaoponował Hans. – Zuzanna jest piękną, mądrą i utalentowaną dziewczyną. Bardzo się kochamy.

– Nie obchodzą mnie wasze amory! – dłoń pani Laury z siłą uderzyła znów o blat stołu. – Możesz ją sobie kochać, ile chcesz. Mnie obchodzi twoja kariera i małżeństwo, które jest jej częścią.

– Doszedłem do wniosku – powiedział Hans tonem, którego nigdy przedtem u niego nie słyszała – że zarówno jedno jak i drugie to sprawy, które mnie dotyczą i w których mam prawo decydować sam.

– Chyba nie wątpisz, że matka chce dla ciebie jak najlepiej! – jęknęła pani Laura.

– Chciałbym w to wierzyć, tylko dziwi mnie, dlaczego w takim razie tak cię denerwuje zmiana moich planów. Ojciec je zaakceptował.

– Ach, on nigdy nie troszczył się o ciebie tak jak ja!

– Ale teraz odniósł się do mnie ze zrozumieniem.

– Swój swego zawsze zrozumie – mruknęła ponuro pani Laura i zaraz ugryzła się w język. Nawet w takim wzburzeniu pamiętała, że są sprawy, o których się w porządnym domu nie mówi.

– Nie wiem, o co ci chodzi – Hans podniósł na nią zdziwione oczy.

– Ach, o nic, myślałam o męskiej solidarności.

– A co ci w niej przeszkadza? – uśmiechnął się, nagle odprężony.

– Krzyżuje rozsądne plany, wprowadza zamieszanie, a tobie

teraz może pomóc w zniszczeniu sobie świetnych widoków na przyszłość!

– Najpiękniejszy widok na przyszłość, jaki teraz jestem sobie w stanie wyobrazić, to małżeństwo z Zuzanną i praca w samodzielnej filii banku ojca.

– Jako urzędas! A mogłeś zostać ambasadorem!

Pani Laura tym razem naprawdę zalała się łzami. Hans wstał i pogładził ją serdecznie po ramieniu.

– Nie płacz, mamó – powiedział miękko. – Wiem, że chciałaś dla mnie jak najlepiej, ale jeśli dalej chcesz mojego dobra, nie sprzeciwiaj się. Pozwól mi robić to, do czego lepiej się nadaję.

– A ja? Co ja mam robić? Mogło być tak wspaniale! Byliśmy o krok od sukcesu, a teraz wszystko przepadło. I to przez ciebie!

– Kocham cię, mamó – odparł spokojnie – ale nie jestem odpowiedzialny za twoje oczekiwania pod moim adresem. Przekonałem się, że nie potrafiłbym żyć, grając rolę w cudzej sztuce.

– A teraz zagrasz w operetce! – rzuciła mściwie.

– Widzę, że jesteś zdenerwowana – rzekł smutno. – Nie chciałem cię zranić i proszę, nie licz na to, że zmienisz nasze plany. Wiem, że próbowałaś przekupić Zuzannę. Miałbym ci to bardzo za złe, gdyby nie to, że przy okazji przekonałem się, że ona mnie kocha bezinteresownie.

– Akurat, liczy po prostu na więcej po ślubie z tobą!

– W tej chwili moje zarobki są skromne, a jakie będą w przyszłości, zależy będzie wyłącznie od mojej pracy i powodzenia w interesach.

– Ode mnie nie dostaniesz już ani grosza!

– Nie obrażaj mnie, mamó, posądzeniem, że mógłbym w tej sytuacji przyjąć od ciebie cokolwiek. Żal mi, że nie zdołałem cię przekonać. Zostaje mi tylko mieć nadzieję, że sama kiedyś zechcesz zmienić zdanie.

Ucałował z uszanowaniem jej dłonie i cicho wyszedł z pokoju. Pani Laura została sama, czując w sercu lodowatą pustkę.

Wieś koło majątku Rau obchodziła coroczne święto. Tegoroczne obchody były szczególnie uroczyste, bowiem podczas nich nastąpić miało poświęcenie sztandaru, ufundowanego przez dziedziczkę, panią Herminę von Belenburg.

Na sumie, koncelebrowanej przez trzech księży, ona sama siedziała wyprostowana w ławce kolatorskiej, mając obok siebie kuzyna i jego córkę.

Murowany, barokowy kościół z wysokimi, witrażowymi oknami był pełen ludzi; wielu z nich stało na dziedzińcu przed świątynią. Wszyscy odświętnie ubrani, w radosnych nastrojach. Tego dnia czekało ich jeszcze wiele atrakcji.

Kiedy przyszedł moment poświęcenia sztandaru, pochyliły się wokół niego chorągwie innych wsi, których delegacje przybyły na uroczystości. Organy zagrały głośniej, a kościelny chór zaintonował *Te Deum*.

Dorota nie spodziewała się, że poczuje tak silną więź z tymi ludźmi, z kościołem i z tą podniosłą uroczystością. Miała wrażenie, że odnalazła z powrotem swoje miejsce na świecie. Dziękowała Bogu, że zdołała w porę naprawić popełniony błąd, i prosiła o przewodnictwo na przyszłość. Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, wzruszona, wraz z innymi powoli wyszła z kościoła.

Był piękny, sierpniowy dzień. Miło było stanąć w cieniu wielkich kasztanów, nie opodal wejścia na stary cmentarz. W tym czasie pani Hermina przyjmowała podziękowania i wyrazy uszanowania od starszyny wiejskiej. Potem była zaproszona na plebanię, na śniadanie w towarzystwie proboszcza i wybranych gości.

Pan Belenburg z córką mieli wrócić do domu na obiad, a wieczorem wziąć udział w wielkiej zabawie w gospodzie. Teraz stali, wymieniając pozdrowienia z sąsiadami.

Dorota rozejrzała się niespokojnie. Miała nadzieję, że zobaczy państwa Rutmayerów, ale nie dostrzegła ich ani na mszy, ani teraz, w przerzedzonej już grupie wiernych. Maksa też nie było.

Zrobiło jej się smutno, bo od przyjazdu, przed dwoma dniami, tęskniła do chwili, kiedy go znów zobaczy. Nie mogła szukać okazji do spotkania z nim, bo ciotka zaangażowała ją do przygotowań. Każdy dom miał się pochwalić jakimś specjałem na świątecznym, wspólnym stole, więc dziewczyna pod kierunkiem kulejącej jeszcze trochę Rozalii piekła wielkie blachy wspaniałego jabłecznika na kruchym cieście. z posypką. Pani Hermina zaś konferowała z członkami komitetu organizacyjnego, sprawdzając, czy wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Wieczorami dziewczyna stawała na tarasie, by patrzeć na błyski spadających gwiazd. Przypomniała sobie, że wypowiedziane w takim momencie życzenie powinno się spełnić. Bała się jednak narzucać losowi swoje pragnienia, choć w głębi duszy miała tylko jedno: „Żeby on mnie pokochał!”

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy oboje z ojcem przyszli do gospody „Kaspar-Moser”, prowadzonej od niepamiętnych czasów przez rodzinę obecnego oberżysty. Duży, drewniany dom z werandą otaczał już tłum świętujących mieszkańców wsi i ich gości. W środku, w ciemnej, wyłożonej dębową boazerią sali, zastawiono stoły dla honorowych gości; na zewnątrz, na dziedzińcu pod lipami, na stołach zbitych z desek, rozstawione były tace i półmiski z najlepszymi miejscowymi wyrobami: wędliną, pieczonym mięsem, sałatkami, ciastami. Na ławach siedzieli podochoceni już trochę piwem gospodarze z żonami; młodzież zebrała się przy deskach do tańca, gdzie sprowadzona specjalnie, najlepsza w okolicy orkiestra, już stroiła instrumenty.

Dorotę i jej ojca zaproszono serdecznie do jednego ze stołów, podsunęto im zaraz kufle złocistego piwa i poczęstunek. Pan Belenburg rozpoczął niespieszną, przyjazną pogawędkę ze znajomym gospodarzem; oceniali tegoroczne zbiory, wymieniali opinie na temat najlepszych odmian zbóż i ras bydła.

Dziewczyna czuła się przy nich trochę nieswojo; nie potrafiła włączyć się do rozmowy. Zauważyła to żona gospodarza i przywoławszy syna poleciła mu zaprosić „panienkę z dworu” do

tańca.

Dziarski młodzian skłonił się przed nią nisko i ująwszy jej rękę, jakby była z cukru, poprowadził do laendlera, starego tańca z tych stron. Kiedy muzyka umilkła, podziękował jej z galanterią i zamierzał odprowadzić ją na miejsce.

– Czy mogę panią prosić o następny taniec? – rozległ się głos za ich plecami.

Odwróciła się szybko i nie zdążyła ukryć radosnego uśmiechu, kiedy zobaczyła Maksa. On patrzył na nią z upodobaniem, bo w jasnej sukience rozgrzana tańcem, z radością w oczach wyglądała jak dobra wróżka.

– Wygląda pani jak dobra wróżka – odważył się wyrazić głośno swój zachwyt. – Czy spełnia pani dziś najgorętsze życzenia?

– To zależy jakie i czyje – odparła, unosząc brodę. – Tylko bardzo skromne życzenia pocziwych ludzi.

– No, cóż – błysnął w uśmiechu zębami – odkąd wyjaśniło się, że nie jestem włamywaczem, moja pocziwość nie budzi chyba wątpliwości, ale moje życzenie nie jest skromne...

– Więc nie wiem, czy zdołam je spełnić – odparła, patrząc na niego pytająco.

– Chciałbym towarzyszyć pani przez cały dzisiejszy wieczór. A ponadto chciałbym mieć nadzieję na towarzyszenie pani w przyszłości. Chyba że jest pani już zajęta... – ostatnie słowa powiedział z naciskiem i spojrzał na nią poważnie, wyczekująco.

– Nie, jestem wolna – odparła równie poważnie. Jego twarz nagle się odprężyła i rozjaśniła uśmiechem.

– To dobrze – pokiwał powoli głową. – To bardzo dobrze, bo różnie mówili... – Ujął ją delikatnie za rękę i poprowadził w stronę stołów. – Czy mogę się przywitać z ojcem pani?

Kiedy podeszli do pana Hermana, ten przyjaźnie uścisnął dłoń Maksowi.

– Dobrze, że się pan pojawił – ucieszył się. W kościele nie widziałem państwa...

– Siostra poczuła się trochę słabo, więc Artur poprosił mnie o przywiezienie lekarza.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Nie, ale mój szwagier nie chce zlekceważyć żadnego sygnału...

– Biedna Alicja! – westchnęła Dorota.

– Tak, bardzo cieszyła się na to święto. Tak bardzo chciała przyjechać, że obiecywała nam spokojnie siedzieć w cieniu i tylko wachlarzem oganiać się od much. Co najwyżej miała zabawiać rozmową poważne matrony. – W jego oczach pojawiły się żartobliwe ogniki. – To bardzo wielkie wyrzeczenie dla mojej siostrzyczki, która uwielbia tańce na wiejskich zabawach. Może mama wyjedna u Artura przywiezienie jej tu powozem.

– Z przyjemnością powitam pańską rodzinę. A pan zostanie z nami?

– Tak, jeśli pan pozwoli mi dotrzymywać towarzystwa pannie Dorocie.

– Myślę, że wystarczy jej zgoda; ja chętnie ją potwierdzam.

– A więc – tu Maks skłonił głowę przed dziewczyną – czy pozwoli pani zaprosić się do walca? Właśnie zaczęli grać.

Podał jej ramię i poprowadził ją na podium. Pan Belenburg odprowadził ich wzrokiem. Piękna z nich była para: on wysoki, wysportowany, swobodny w ruchach, ona smukła i jasna, emanująca nieuchwytnym wdziękiem. Z nachylenia ich głów ku sobie, z przyjaznej i harmonii idących obok siebie ciał widać było, jak bardzo ciążą ku sobie, jak mocno ci młodzi są sobą zajęci.

Chwała Bogu – westchnął pan Herman i uspokojony wrócił do rozmowy ze swoim sąsiadem.

Chwała Bogu – powiedziała sobie w duchu pani Hermina, kiedy przez okno dostrzegła Maksa i Dorotę idących w głąb dziedzińca. Ze swego honorowego miejsca, u boku proboszcza, mogła widzieć, co się dzieje przed gospodą. Wysłuchiwała właśnie kolejnego, solennego toastu i podniosła do ust kieliszek wina, które popijała bardzo umiarkowanie, nie pozwalając sobie dolewać. Kiedy dzwonieniem w szkło o głos poprosił następny mówca, odplynęła myślami do tej młodej pary, która teraz pewnie tańczy walca na parkiecie.

Maks spodobał jej się od pierwszego wejrzenia, więc była bardzo zadowolona, że Dorotka poszła po rozum do głowy i zerwała z tym synem bankiera. Po powrocie z Wiednia wszystko jej opowiedziała, łącznie z historią o tym, jak zastała go w mieszkaniu Zuzanny. Ładny gagatek, nie ma co! Wierność nie będzie chyba jego mocną stroną w małżeństwie. Chyba, że będzie zajęty pilnowaniem swojej żony przed rywalami...

– ... dzięki wspaniałomyślności naszej drogiej, szanownej pani dziedziczki! – usłyszała koniec toastu, przyjazny gwar głosów i zobaczyła wzniesione w swoją stronę kielichy. Podniosła swój i podziękowała uśmiechem.

Przez okno zobaczyła, jak Maks prowadzi Dorotę w stronę sadu za domem.

W sadzie było pusto i dość cicho. Wszyscy bawili się po drugiej stronie domu.

– Może usiądziemy tutaj? – wskazał ławkę pod rozłożystą jabłonią.

Dorota usiadła i oparła się o pień drzewa; odniosła wrażenie, że wciąż miał w sobie ciepło słonecznego dnia.

Maks usiadł na drewnianym kłocu, naprzeciw niej.

– Chciałbym pani coś wyznać – zaczął cicho. Podniosła na niego uważne, nieco spłoszone spojrzenie.

– Odkąd panią zobaczyłem, a potem poznałem, stała się pani dla mnie bardzo ważna, a teraz jest pani w moim sercu najważniejszą kobietą na ziemi. Najważniejszą dla mojego szczęścia i przyszłości, którą chciałbym dzielić z panią... z tobą. – Ujął w obie ręce jej dłonie i pocałował. – Kocham cię, kocham z całego serca, i chcę cię poślubić. Czy mogę mieć nadzieję?...

Spojrzał jej prosto w oczy. Widocznie wyczytał w nich odpowiedź twierdzącą, bo nagle wstał i podniósł ją, mocno obejmując. A potem zaczął ją całować, najpierw delikatnie, jakby pytająco, a potem coraz mocniej, coraz goręcej, aż Dorota oszołomiona tymi cudownymi doznaniem, wreszcie odsunęła go delikatnie od siebie.

– Poczekaj, jeszcze nie zdążyłam powiedzieć: tak! – wysapała, po czym pozwoliła znów, by objęły ją te mocne i czułe ramiona.

Zapadł zmierzch, nad sadem otwarła się sierpniowa noc, witając rozbłyskami spadających meteorów zakochaną parę.

Przed huczącą wesołymi głosami gospodę zajechał powozik państwa Rutmayerów. Alicja, podtrzymywana troskliwie przez męża, wstała i ogarnęła wzrokiem tłum bawiących się ludzi, szukając wzrokiem znajomych twarzy. Wreszcie dostrzegła siedzącego na ławie pana von Belenbura i skierowała się do niego. Ten wstał na jej powitanie i zaproponował młodej damie swoje miejsce.

– Jak to miło, że państwo do nas dołączyli! Zabawa właśnie się rozkręca.

– Cieszę się, że pana widzę – uśmiechnęła się Alicja. – Widział pan może Maksa?

– Ostatni raz go widziałem, kiedy prosił do tańca moją córkę, ale to było dość dawno temu. Może weszli do gospody...

– O, właśnie idą! – ucieszyła się Alicja, widząc sylwetki brata i Doroty zbliżające się do nich od strony sadu. Kiedy zobaczyła ich twarze, jakby rozświetlone od środka, domyśliła się wszystkiego.

– Kochani, tak się cieszę! – wykrzyknęła, nie czekając na obwieszczenie im wspaniałej nowiny. Od dawna знаła tajemnicę serca Maksa, a uczuć Doroty też zdążyła się domyślić.

– Co się stało? – spytał zdumiony pan Herman.

– Zareczyliście się, prawda?

– Prawda – odparł Maks za nich oboje. – Mam zaszczyt prosić pana o rękę pańskiej córki.

– Zgadzam się z prawdziwą radością – odparł pan Belenburg i mocno uścisnął dłoń młodego mężczyzny, po czym ucałował córkę.

– Czy teraz jesteś pewna swego wyboru? – zapytał cicho.

– Najpewniejsza! – potwierdziła bez wahania dziewczyna. – Możesz być spokojny, tatku.

– Co się tu dzieje? – rozległ się głos pani Herminy. – Ja tam

usiłuję nie zasnąć przy kolejnej przemowie, a wy tu chyba dobrze się bawicie?

– Zaraz będziemy się bawić jeszcze lepiej – powiedziała z entuzjazmem Alicja. – Obchodzimy zaręczyny Doroty i Maksa!

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – rzekła pani Hermina z ulgą i serdecznie ucałowała oboje.

Rozległy się nowe powinszowania i toasty, do których przyłączyli się zgodnie ludzie obecni na zabawie. Kobiety zaintonowały pieśń, stosowną na tę okazję, a potem wszyscy ze zdwojoną ochotą ruszyli do tańca. Alicja wymogła na mężu pozwolenie na uczestniczenie w zabawie, bowiem – jak zagroziła – beczynne siedzenie mogłoby jej bardziej zaszkodzić niż wszystkie tańce tej nocy. Po czym pociągnęła go na podest, gdzie orkiestra łapała właśnie drugi oddech.

Zabawa trwała do białego rana.

Niedługo po Nowym Roku w katedrze świętego Stefana odbył się uroczysty ślub. Panną młodą była ulubienica wiedeńskiej publiczności – Zsusi Kovatsch, a szczęśliwym oblubieńcem – Hans Lebrott, syn znanego bankiera.

W zastępstwie nieżyjącego ojca pannę młodą prowadził do ołtarza Alfred Rudi, który na tę okazję sprawił sobie nowy frak. Był tak przejęty swoją rolą, tak dumny, że wyglądał, jakby mu przybyło wzrostu.

W pierwszym rzędzie ławek, przeznaczonych dla rodziny, obok pani Otylii, siedziała starsza kobieta, przybyła z miasteczka na Węgrzech – matka Zuzanny. Patrzyła oszołomiona na tę wspaniałą ceremonię i nie mogła uwierzyć, że to jej córce przytrafiło się takie szczęście...

Pozostali goście zauważyli też nieobecność matki pana młodego.

Po wystawnym przyjęciu w Hotelu Sachera, na które pan Lebrott nie skąpił grosza, uznając po części koszty wesela za wydatek reprezentacyjny swojej firmy, państwo młodzi udali się

na dworzec, skąd odjechali w podróż poślubną, na karnawał do Wenecji. W drodze powrotnej mieli zajechać w okolice Salzburga, w odwiedziny do przyjaciółki panny, a właściwie już pani KovatschLebrott.

W tydzień później w jednej z gazet ukazała się krótka informacja: *Komitet dobroczynny, działający na rzecz upadłych dziewcząt i podrzutków, powiększył się o wielce szanowaną damę, panią Laurę Lebrott, która hojnie wsparła ochronkę, działającą pod patronatem Komitetu.*

Na początku lutego w wiejskim kościółku przy majątku Rau odbył się ślub Doroty von Belenburg i Maksymiliana Sieferta.

Tego dnia świeciło słońce, dodając blasku ośnieżonym stokom pobliskich gór. Wokół kościoła stało wiele rozmaitych pojazdów, bowiem wszyscy krewni i znajomi obu rodzin stawili się tłumnie.

W ciepłym świetle świec, migocących na ołtarzu, stary proboszcz związał stułą ręce dwojga młodych, którzy z miłością i dobrą wolą postanowili odtąd dzielić wspólne życie „... póki śmierć nas nie rozłączy”.

Pani Otylia, siedząca obok ojca panny młodej i jej ciotki, nie mogła powstrzymać łez, kiedy państwo młodzi przy dźwiękach *Marsza weselnego Mendelssohna* wychodzili powoli z kościoła.

Potem, w czasie przyjęcia weselnego w dworze, siedząc na kanapie obok pani Herminy i Alicji Rutmayer i pijąc kruszon z zielonej szklaneczki, patrzyła z zachwytem na młodych małżonków i na tych wszystkich przyjaznych, ożywionych ludzi wokół. Czy jeszcze przed rokiem mogła przypuszczać, że przeżyje tyle wspaniałych chwil dzięki swoim sąsiadkom z kamienicy?

Obruszyłyby się, gdyby jej powiedziano, że zawdzięcza je własnej dobroci i uczynności.

– Mam nadzieję, że zechce pani jeszcze jakiś czas zabawić w Rau!

– zwróciła się do niej pani Hermina, a zabrzmiało to bardzo

stanowczo.

– Poza tym oczekuję pani wizyty podczas wakacji. Proszę mi obiecać, że pani przyjedzie!

Dorota, która usłyszała ostatnie słowa, podeszła i serdecznie ucałowała starszą panią.

– Oczywiście – oświadczyła. – Przyjedzie pani również do nas, do Salzburga. Jeszcze mnie pani nie nauczyła przyrządzania szparagów w beszamelu!

Kiedy odeszła, by znów stanąć u boku męża, pani Alicja, obecnie matka ślicznej córeczki, powiedziała:

– Maks już urządził pięciopokojowe mieszkanie w centrum miasta. Będzie tam też miał swoją kancelarię. Dorotka zamierza mu pomagać w jej prowadzeniu.

– Nigdzie teraz nie wyjeżdżają? – spytała pani Otylia, mając świeżo w pamięci ślub Zuzanny.

– Na razie nie, ale kiedy pan Belenburg odzyska swoje wierzytelności z banku państwowego, co ma nastąpić niebawem, pojedą wszyscy do Szwajcarii.

– Mój kuzyn podda się kuracji, a oni sobie pozwiedzają alpejskie zakątki – dodała pani Hermina. – Oho, już im chyba spieszo do siebie – dodała, wstając z kanapy, aby razem z innymi pożegnać młodą parę, która odjeżdżała do swego domu.

Kiedy nowożeńcy znaleźli się sami w samochodzie, w drodze do miasta, milczeli. Maks tylko co jakiś czas głaskał rękę swojej żony, aby upewnić się, że nie śni, i że jego Fiołkowa Dziewczyna pozostanie przy nim na dobre.

Dorota zmrużonymi oczami patrzyła na płatki śniegu wirujące w światłach reflektorów i starała się na zawsze zapamiętać tę drogę, która ją wiodła do nowego życia, u boku ukochanego mężczyzny.